

Stefan Żeromski  
**Wierna rzeka**



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

I

Ocknęło się znów zimno targające wnętrzości — i cierpienie, co raz wraz jak toporem rozrąbywało głowę. W prawem biodrze ból szarpał się nieustannie, niby hak węzy żelaznej, wrywany na zewnątrz. Co chwila ogień niepojęty, nieznanym zdrowemu ciału, latał po plecach, a ciemność pełna wielobarwnych iskier oślepiała oczy. Ranny zawinął się i zatulił w półkożuszek, który jeszcze za dnia zdarł był z żołdaka ubitego w zaroślach na brzegu rzeki. Nagie nogi i skrwawione biodra wpychał głębiej w stos trupów, szukając tych dwu ciał, które ciepłem broczących ran rozgrzewały go w ciągu nocy, a wyciem i jękiem budziły ze snu śmierci do łaski życia. Lecz tamci dwaj ucichli, ostygli i stali się równie ohydni, jak zagon skrwawionem okryty ścierniem. Ręce i nogi, poszukujące ciepła jeszcze żyjących, trafiały wciąż na obmokłe i śliskie zwłoki.

Podźwignął głowę.

Zobaczył zmysłem wzroku dokonanie, które był przeżył — spostrzegł to dzieło nowe, które w duchu przecierpiał. Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę — podobijani, gdy padli z ran, na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca — obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana — roztrzęsieni na bagnietach — po dziesięć razy do ziemi przybici sztychem oficerskiej szpady, pchniętej na wskrós — z głowami rozwalonymi kulą z lufy przystawionej do czoła — porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego.

Zrudział daleko przypiaskowy grunt od krwi, co do ostatniej kropli z tych zwłok wyciekła. Zmiękły grudy twardej oraniny. Roztajał śnieg. Wleczeni w to miejsce ze wszech stron za nogi zamietli do czysta włosami szeroką niwę. Ugrabili ją kostniejącymi palcami. Naszeptali w zagony ostatnich słów i pokąsali je w ostatnim szlochu.

Oniemiało i zacichło małogoskie pole. Ostatni żywy żołnierz patrzył w nie przez mgłę półśmierci przy brzasku cichego poranka.

Zdało mu się — dopiero co stały w tym miejscu konie... Jeszcze dudni ziemia, gdy ze śmiertelnym krzykiem pędzą we trzystu towarzyszy na zdrajcę! Gdzież żrebiec? Gdzie pałasz? Gdzie pod stopą żelazne strzemię, ostatni towarzysz?

Nie słyhać już łoskotu granatów Dobrowolskiego, zasypujących dolinę. Znikły flankiery kozactwa i dragonów, co przez cztery z górą godziny miały tyralierski ogień. Skąd wybuchały kępy i kłęby dymów a błyskał ogień, wzgórze strome od południa

szarzeje w ciszy. W zachodniej stronie biała smuga cmentarnego muru, gniazdo Jeziorańszczyków, jazdy, armatek... A tam, pośrodku, gdzie stała piechota — nie ma nic! Z dubeltówkami, bijącymi na sto kroków — u nogi — stali pod ogniem rotowym nieprzyjaciela, co w nich celował, jak do tarczy, z karabinów, niosących na tysiąc pięćset metrów. Czekali cierpliwie z wytrwałością Greków — przyjdź i weź! — aż wróg się zbliży na strzał, aż padnie rozkaz — do ataku. Leżeli teraz zwaleni na jeden stos. W odległości kłębiły się i wałęsały nad niziną dymy miasteczka, do przyciesi spalonego przez wojsko. Raz wraz szeroki płomień jak skinienie chorągwi nieubłagania podrywał się ze zgliszcz, popielisk i dymów — migotliwym blaskiem naigrawał w mrokach śmierci i postrzępionym językiem mówił ku czarnemu niebu. Wtedy rozdzierający krzyk ludzki, spomiędzy czarnych piecowisk wybuchający, dosięgał uszu rannego — obojętny już dla serca i niezdolny podźwignąć ramienia. Podobnie jak nad zgliszczami ogień zrywały się w człowieku czucia, lecz jak on w czarnym dymie ślepych cierpień gasły.

Puścił się drobny deszcz ze śniegiem. Zawiała z lasu nad Łośną mokra mgła. Przeciągnęły tumany po nagich i stromych wzgórzach, wlokły się po nadrzeczu i przez pole. Zwilżyły twarz, jakoby mokra chusta. W tej mgle rannej dawał się widzieć włochaty od świerków, ciemny las. Z jednolitego zastępu drzew ciągnął na nagie pole jak gdyby ciepły podmuch — łaskawy poszum gałęzi. Chwiały się powolnym ruchem długie, powyciągane spławy, nisko rozpostarte, obmokłe wiechy, wołając głuchym głosem, żeby tamtędy uciekać.

Ludzi żywych nie było. Nikogo — nigdzie. W pobliżu leżał zabity człowiek, który miał na nogach brudne zgrzebne spodnie. Przekręciwszy się przez zagon, ranny począł zdzierać zeń tę odzież i co tchu wciągnął ją na swe nagie, dygocące nogi. Szukał oczyma na trupach butów, lecz ani jeden ich nie miał. Wszystkie zzuto i zrabowano. Nagle we wschodniej stronie, od Bolmina, rozległ się łoskot armatniego strzału. Po nim drugi... trzeci... Ten dźwięk obudził życie. Coś w całym jestestwie drgnęło i ruszyło siły. Bitwa! Do broni! Do szeregu! Począł w tamtą stronę czołgać się na czworakach, bruzdą, co tchu! Lecz już po kilkunastu poruszeniach zapadł na nowo, głową między skiby. Prawa noga wlokła się bezwładnie. W biodrze rwał ból. Zmacawszy to miejsce, inwalida trafił dużym palcem ręki na głęboką opuchniętą dziurę, z której skąpo, lecz wciąż krew się sączyła. Na lewe oko nie widział. Wyczuwał palcami w miejscu brwi, powieki, gałki ocznej i policzkowej kości wypukłą bulwę, w której ogień wciąż drgał, sypiąc wielobarwne iskry. Nie było już oka, lecz dziwne i rozśmieszające zjawisko wielkiej narośli. Głowa zrąbana szablami w bitwie wysączyła we włosy dużo krwi, która zastygła

w zlepiania, w sople i utworzyła na czaszce istną czerwoną czapkę. W piersiach, między żebrami, w ramionach narywały rany od wielokrotnych pchnięć bagnetu. Ale mocniejsze niż wszelki ból było zimno. Żelazną garścią chwyciła za skrwawione włosy, zapuszczała w kości i między żebra szpony, potrząsając zrąbane półwłoki dreszczem bez pardonu. Ono to gnało naprzód. Powłókł się znowu na bałyku. Raz na dwu rękach i lewym kolanie, drugi raz na stopie i dłoniach, gdy bezwładnie ciągnęła się prawa noga — czyniąc z całej figury obraz wielkiej śmieszności istotnego nieszczęścia. Tak dowlókł się do pierwszych drzew lasu. Chwiały się w zimowym deszczu i we mgle świerkowe gałęzie. Spadał z nich na ziemię niemowny szum. Ani w nim nie było żalości, ani współczucia, ani miłosierdzia, ani pogardy. Długo spływał ten zimny szum na serce półumarłe.

Samotnik dźwignął się na rękach i, objąwszy pień pierwszego w lesie drzewa, stanął na nogach. Nasłuchiwał odgłosów bitwy. Nic nie przerywało ciszy. Patrzył na pobojowisko. Nie żałował ani tych, co w czarnym polu leżeli, ani siebie, ani dzieła. Jedyne czucie osiadło w jego piersiach, jedyna myśl pod skrwawionymi włosami: bić się. Patrzył był, jak żołnierze mordowali rannych żołnierzy, jak półżywych odzierali ze szmat... Nie było czym zagasić życia, które się zmieniło w hańbę i śmieszność. Pożalował legowiska między trupami. Począł się prosić o śmierć. Padł na ręce i twarz. Duszę ogarnął mrok...

Długo trwało beczucie, bo gdy się obudził, słońce było wysoko. Z pola dochodził gwar. Uniósłszy głowy, zobaczył ludzi. Ciągnęli zwłoki kędyś popod górę. Ktoś ludziom tym wydawał rozkazy. Ranny poczuł w sobie przeraźliwą trwogę, że go żywcem zakopią. Począł uciekać. Czołgał się zaroślami świerczyny, wskroś śniegów na poły roztajających, po oślizgłych igłach sosnowych. Zdrętwiałe nogi rozgrzewały się od tego ruchu, od pełzania na kolanie i rękach. Śniło się w rozbitej głowie, że las zbiega, zakrywa zielonymi wełniakami, że przed złymi oczyma zasłania włochatym rańtuchem — że ktoś niewidzialny a przecie oczywisty chyżo-chyżo pokazuje drżącą ręką tajne dróżki między pniakami, wydeptane przez kwiczoły, szlaki przetarte stopkami i ogonami lisów. Kędyś, daleko w lesie na tej swojej zawilej drodze, w głuchym ostępie napotkał krzywy kostur, uschniętą jedli gałąź, spadłą na ziemię z wysokości drzewa. W grubszym swym końcu zeschnięty ów spław miał sęk, który się wraz nadał, jako oparcie pod ramię. Długość jego była akuratnie na kulę. Wsparłszy się na tym kijku, zbieg zadumał się przez krótkie mgnienie czasu, kto też podrzucił przed bezwładną nogą ten kostur na dzikiej drodze. Wszechmogący Bóg, czyli sam bezzałosny los? I roześmiał się z litości ich, mówiąc z

głębi swej duszy, która niczego już nie chciała, ani od Boga, ani od losu, wszystko przeżywszy w powstańczych pochodach i bitwach — że tą litością ich pogardza i, że ten jej dowód może odrzucić precz! Ale wspomniał na braci pobitych, na popieliska Małogoszcza — i przycisnął do boku tę ostatnią broń. Przez całe jestestwo przeleciał jak gdyby zemściwy krzyk orła, a w serce wstąpiła zaciekła moc. Poczul w sobie dziką, oszalałą, starą, od męki do cna okrutną duszę Czachowskiego. Poszedł teraz naprzód wsparty na swej kuli, wielkimi kroki, jak na szczudłach. Zdawało mu się, że zdąża w stronę Bolmina, na pomoc braciom. Od ruchów cielesnych bóle w biodrze, plecach i głowie stawały się nie do zniesienia, jak ciosy ognistego pręta. W kościach i żyłach zapalał się istny pożar, ogarniał głowę i dymem ciemnym zawlekał oczy. Bosa stopa w pochodzie swym raz wraz trafiała na sęki, korzenie, patyki, kolki i igły leśne ukryte w śniegu. Przebita do głębi krwawiła. Częstośćokroć zmordowane ciało waliło się w śnieg kędyś w zagaju podszewki leśnej, albo na mchu do głębi przemokłym. Objęty nagłym zimnem człowiek zrywał się na nowo i brnął w zmurszałym śniegu, w kępach zlodowaciałych borówek — brodził w długich, nieskończonych smugach leśnej niecieczy, znieruchomiałej po nizinach. Jak okiem sięgnąć, jak uchem zachwycić, las był pusty. Tam i sam leśny ptaszek zaćwierkał, spłoszony szelestem kroków człowieczych — i daleko uciekał. Nieme wokoło drzewa i nieme nad nimi niebo. Ziemia porośnięta przekłętą roślinnością, dręczącą poranione nogi. Krew sączyła się z ran. Ślady jej zostawały na śniegu, na gałęziach świerkowych, na badylach i mchu.

W oczach upadającego co chwila las ów, dobrotliwy niedawno, wydłużał się, rozszerzał, otwierał coraz dalej — ukazywał swe chodniki przedziwne i zapadnie bez wyjścia, głębie głuche i kręgi, zachylenia półkoliste i międzydrzewne korytarze bez końca. Mijały godziny, a nie przerzedzał się i nie kończył ów las olbrzymi. Tu i owdzie dźwigał się piaszczysty wzgórek, stromy i uciążliwy do przebycia, jak tatrzańska przełęcz. Leśna droga rozcięła obszary drzewne na dwie części i sama między nimi znikła. Wspierając się na swej kuli, zbieg dotarł do jednego z wydmuchów. Położył się na nim i tam postanowił spać na zawsze. Życie, czy śmierć stały się równe i takie same. Tylko już nie trząść się z zimna, nie cierpieć dziwacznych katuszy i nie myśleć! Zapomniał, w którą stronę brnąć dalej. Zmylił drogę...

Usnął od razu. Ale był to sen potworny, pełen widm i wrzawy. Las okalający zdawał się drgać i stękać. Wszystko w nim kipiało od ciosów szalonego serca. W głębi ziemi, na której strudzone ciało spoczęło, huczy — śniło się — grzmot podziemny i połyskują pioruny. Jęk boleści wyrывał się z głębin i jak miecz na dwoje rozcinał niebo.

Dreszcz gwałtowny dźwignął rozbitka znowu i pognął dalej. Na nowo zaczęło się czołganie z bezwładną nogą z prawej, sękatym kijem z lewej strony. Sunął na łokciach i kolanie, trzymając pod pachą znaną kulę. Stapienie w błocie i wodzie poły kożucha odrażającym zimnem przejmowały brzuch i piersi, a sucha jego na grzbiecie część potem krwawe rany zalewała. Stopy poprzebijane kolkami rozpuchły i zakrwawiały każdy moczar, każdą kałużę. Było popołudniu, bo słońce zachylało się za korony drzew. Ostrzejszy chłód dołem lasu pociągał. Ranny szukał dogodnego miejsca, żeby się zaszyć w leśne gęstwiny i doznać ochrony od zimna. Lecz teren wciąż był zwilgły, zarośnięty zeschniętym szuwarem. Brał się więc w bok; to w jedną, to w drugą stronę i zabrnął w szarpiące chrusty, w dzikie jeżyny przysypane śniegiem, w wikle i rokiciny, pełne nastawionych kolców, jak pazury czyhającego szatana. Ponachyłane badyle leśnych malin i dzikie głogi szarpały twarz i raniły ręce. Przebijał się przez te ostępy, przeklinając swą dolę. Wybrnąwszy zaś z tych zarośli, podniósł oczy i z głębokim zdumieniem, nagle i niespodziewanie ujrzał pole — pustą przestrzeń — nizinę łąki... Wydało się, że to Bóg odsunął wreszcie ręką dzikie głogi i dał spojrzeć w bezdrzewne pustkowie. W dali ciągnęły się ośnieżone wzgórza — pod ostatnim z nich widać było szereg chat wsi. Dymy nad nimi błękitne na niebie zaróżowionym... W pewnej odległości od tej wsi budynki szerokie o murowanych słupach, dwór z czarnym dachem rozsiadły wśród drzew. Widok ten tak był nieprawdopodobny dla powstańca po nieskończoności jednolitych drzew, że zdawał się być fenomenem snu, złudzeniem, naigrawaniem złego... Domostwa... Ludzie... Dym nad radosnym ogniem...

Nieszczęśliwy obalił się na ziemię. Leżąc, patrzył bezsilnie na białe obłoki, płynące w Wysokim niebieskim przestworzu — na pochylą ziemię — na ludzkie osiedla. Ostatnie tak samo były dalekie jak pierwsze. Nic na ziemi i niebie nie chciało tej ofiary z ran i z przelanej krwi. Wszystko jej było wrogię. Ta ziemia, na którą upadła głowa, była głucha. Ślepy i niemy był przestwór. Zimny wiatr nadciągał z dala. Tylko ten daleki dym... Błękitny, prześlicznym zwojem płynący coraz wyżej, powoływał jak niepojęte a przecie przyjazne skinienie.

Ranny wypoczął — wstał i wsparty na kosturze pociągnął w kierunku wsi. Miejsce teraz było równe, bez chrustów i kolek. Śnieg za dnia odtajały, pokrywając się cienkim szklivem od wieczornego przymrozka, ułatwiał drogę. Nogi sunęły po nim snadniej i bez bólu. To na czworakach, to na kuli chory przemierzył całą prawie szerokość równiny. Słyszał już dolatujące ze wsi szczekanie psów, ryk bydła i głosy ludzi. Lecz między nim i krańcem tego błonia ukazała się nieoczekiwana przeszkoda: — rzeka.

Ukryta w wysokich, obłych brzegach, wysłanych rudą murawą — zataczając się niezliczonymi półkolami, które tworzyły długi szereg półwyspów, rzeka biegła bystrym, czarnym nurtem. Z jednej i drugiej strony u brzegów była obmarznięta, lecz nigdzie błona lodowa nie okryła całkowitej wodnej powierzchni. Powstaniec czołgał się wzdłuż brzegu, szukając ławy lub kładki, po której mógłby się na drugi brzeg przedostać. Nigdzie czegoś podobnego nie znalazł. Był zaś tak z sił wyczerpany, że iść dalej, wzdłuż zakrętów, wijących się jakby na przekór, jakby dla wydłużenia w nieskończoność tego marszu, nie było sposobu. Jak przedtem las, tak obecnie rzeka tworzyła nieprzebytą zaporę. Linia jej brzegu, która z drogi czyniła gzygzak, wijącą się wstęgę, była dla strudzonego nową formą natrząsania się losu. Poranione nogi okrążały półwyspy, wracając — zdawało się — w to samo miejsce. Naśmiewający się diabeł rzucił oto przed te nogi rzekę i puścił je w taniec, w płas na prawo i na lewo, bez końca i bez celu...

W pewnym tedy miejscu, gdzie woda rozlewała się nieco szerzej, brzeg był łagodniejszy, a głębia płytsza — ów polski tancerz przerwał swój płas, zsunął się do wody i począł w bród ją przebywać. A skoro tylko zanurzył się, doznał ulgi szczególnej. Zaczerwieniła się wokoło niego czarna rzeczna woda. Zabułgotał, jak gdyby z głębi jęknął, wart jej środkowy. Tkliwym po tysiackroć chlustaniem, pracowitym myciem woda oczyściła każdą ranę, a jak matka ustami wycalowała z niej srogość cierpienia. Wchłonęła w siebie ta rzeka prastara i wiecznie nowa szczodra powstańca krew, zliczyła jej krople, skrętnie w siebie zabrała, pojęła w głębiny, rozpuściła w sobie, wessała i dokądś poniosła — poniosła... Zbieg opłukał w zimnej wodzie rozpuchnięte nogi i, drżąc ze strasznego zimna, wydostał się na brzeg. Zgrzebne spodnie przyłgnęły do nóg i niezdolnie ziębiły, lecz je na sobie dla wstydu zachował, idąc o kiju, w górę, ku wsi. Łąki się tam kończyły i poczynały pola, od nizin odgradzone. Środkiem ornych niwek ciągnął się wygon w opłotkach. Ten szlak szeroki, pochyły, zdeптany od kopyt bydłeczych i zryty w rozmaitych kierunkach ścieżkami głębokimi, pełen był podmarzłego błota. Ranny laźł ostatkiem sił, trzymając się żerdzi i wspierając na kiju. Na tej drodze mozolnej, która mu się wydawała być bez końca, spotkali go ludzie, idący z cebrami i wiadrami po wodę do rzeki. Byli to mężczyźni i kobiety, starzy i wyrostki.

Ujrzawszy go, przystanęli i ciekawie mu się przyglądali. Ktoś z tego tłumu huknął w kierunku wsi, ktoś inny pobiegł tam z pośpiechem. Młody powstaniec szedł dalej, ślizgając się bezsilnie po marznącym błocie.

Od strony wsi poczęli nadciągać chłopci, gospodarze w sukmanach i kożuchach. Jedni z nich zbliżali się statecznie, inni biegli, coś między sobą gadając. Na przedzie tej

gromady zstępującej z góry szedł wieśniak z blachą żółtą na piersiach. Ten postępował śmiałym krokiem, a stanąwszy w pobliżu, mierzył oczyma krwawego przychodnia.

Zapytał:

— Człowiek — coś jest za jeden?

— Widzicie, że jestem ranny... — odpowiedział zapytany.

— A każ cię to tak poranili?

— W bitwie.

— W bitwie? Toś ty powstaniec?

— Powstaniec.

— No, bracie, skoro sam powiadasz, iżeś buntownik i żeś w bitce był, to my cię w areszt zajmujemy.

— Dłaczego?

— Do miasta cię musimy odstawić.

— Wy, mnie?

— Juści. Pójdź z nami. Ja tu sołtys.

Czerwony gość tej wsi milczał. To byli właśnie ci, dla których wolności z pańskiego domu poszedł był spać w polach, w zimie, na roli — przymierać głodem — jak pies słuchać rozkazu — bić się bez broni — i tak oto z placu boju wracać. Podchodzili do niego wszyscy wraz, półkolem.

Wtedy rzekł:

— Puście mnie wolno, bo przecie ja za waszą swobodę i za wasze dobro się biłem i takie na sobie mam rany.

— E, takie gadki to my już słyszeli... Ty se ta gadaj, a tu jest przykaz. Chodź, bracie, z dobrawoli.

— Dokąd mam iść?

— Tera pójdiesz z nami do wsi. A potem, to się dowiesz.

— Co myślicie ze mną zrobić?

— Na sianie cię położymy, to se ta spoczniez. Sianem się wóz wyściele i do miasta cię odstawimy pod wodą.

— I to wy, mnie?...

— Nie nasze dzieło. Taki przykaz — i pokój.

Ranny milczał i spokojnie patrzył na nich wszystkich. Zimno go trzęsło. Uśmiechnął się smutnie do myśli, że z takim trudem przez las i rzekę brnął, ażeby wreszcie przyjść do celu...



Ktoś w tłumie odezwał się:

— Ij — takiego ta wieźć! Sprzężaju szkoda. Toć toto do figury w Borku nie dojedzie i uświerknie.

— Widzieliście, moi ludzie, jaką to magierę czerwoną ma na łbie...

— Jakiemuś chłopu ukradł te czerwoną czapkę, panie?

— Bez rzekę przelazł... Woda mu z kożucha ciecze...

— Ludzie! Boso toto idzie...

— Kajeś buty zgubił, te „wolność”?

— Z daleka to tak idziesz, panie wojskowy?

— Kożuch ma jakisi ze znaczkim.

— Pewnie ukradł...

Sołtys nastawał, swarząc się ze swoimi, jakby u całej gromady szukał potwierdzenia urzędowych czynności:

— No, chłopcy, trza go wiązać!

— Takiego ta wiązać...

— Postronka szkoda!

— Ino się człowiek spaprze...

— Zamrze i bez postronka.

— E — puścić toto... — ktoś mruknął z cicha.

— Bo i prawda — niech ta lezie skąd przyszło.

— Aby do wsi nie szło, to wygonem — nie nasze dzieło.

— Kwardego, co się bije i ludziom we łbach mąci, wiadomo, odstawiaj. Ale takie ta ciaciastwo wiązać...

— Przecie krześcijan...

— A juści! — wrzasnął sołtys — po śladach przyjdą, zobaczą, że my go w rękach mieli i wolno puścili... Ty wtedy za mnie zaświarczysz, mądrała, ty będziesz nahaje brał?...

— No, ja ta nie sołtys. Wiazać, to wiazać.

— Postronka by trza...

— Skocz ta który, postronek przynieść...

— A to niech skoczy który z brzega!

— Rusz się!

— U mnie postronka nie ma...

— Powróśłem związać...

— Bo i pewnie — brzozową witką i tyła...

Osaczony spostrzegł wyłom w zmurszałym płocie. Wszedł w otwór leniwym krokiem, opierając się na swoim kosturze i począł przebywać zagon po zagonie w ukos pola ku dworskim zabudowaniom. Tam poszedł, bo przejście w tę prowadziło stronę. Tłum za nim postępował belkocząc, naradzając się i swarząc. Ktoś szedł z tyłu i nawoływał, żeby się wrócił, to znowu, żeby stanął. Lecz że nie stanął, a zabudowania folwarczne były w pobliżu, więc zbiegowisko chłopów, ciągnące za powstańcem, coraz mniej natarczywie nalegało. Śmiech tylko rozlegał się raz wraz pospólny, głośny na widok najzabawniejszych pokracznych ruchów zbiega. Ktoś z tłumu podjął z ziemi skibę zmarzniętej ziemi i cisnął. Trafił w plecy. Ktoś inny trafił w głowę i przychylił ją niżej jeszcze, ku zagonom. Wołano nań rozmaitymi przezwiskami, lecz z dala i coraz bardziej z daleka.

Młodzieniec dowlókl się do tyłów dworskiej stodoły i oparł o murowany słup plecami. Widział po przez ognie gorączki zawlekające mu oczy chłopów, którzy stali z daleka i grozili mu pięściami. Spoczywał. Wiatr tam nie dolatał. Miejsce to w zachyleniu ścian było ciche, suche i radosne. Nie było w sercu smutku, ani żalu, ani żadnego ziemskiego popiołu.

Tylko już pragnienie wiecznego snu.

Ażeby nie mieć w oczach chłopstwa, które się nie rozpraszało i wciąż jeszcze radziło na wygonie, posunął się wzdłuż ścian stodoły. Gdy się ściana pod prostym kątem załamała, brnął obok tego załamania. Wstąpił na gumno. Pusto tam było. Nigdzie ani żywej duszy. Otworem stały stajnie. Przychodzień zajrzał we drzwi, lecz nie znalazł koni. Śnieg, nawiany dawniej, klinem leżał we wnętrzu — żłoby i drabinki nad nimi były puste. Po drugiej stronie okólnika folwarcznego czerniały zwaliska i zgliszcza spalonych obór, spichlerza, czy stodół. Nawet drzewa w przyległym ogrodzie były zwęglone na poły i dalekie płoty osmalone. Znacznie niżej, poza temi zgliszczami widać było duży, staroświecki dwór.

Powstaniec przeszedł w poprzek dziedzińca i znalazł się u wejścia do kuchni. Ponieważ drzwi były zamknięte i żadnego nigdzie nie widać ruchu, więc nieśmiało zakolatał we drzwi. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, po długim wyczekiwaniu, ujął za wyslizganą, żelazną klamkę i spróbował, czy się nie da otworzyć. Drzwi ustąpiły. Wszedł do ciemnej sieni, gdzie było pełno gratów kuchennych, pustych fasek, naczyń i koszów. Na lewo czerniały drzwi, spoza których jakiś szmer dawał się słyszeć. Znowu tedy nacisnął prostacką klamkę, otwarł drzwi i stanął w progu. Owiało go ciepło ognia, płonącego pod blachą komina. Jakże głębokie na ten widok uczuł wzruszenie! Przed

paleniskiem, twarzą do płomienia zwrócony stał wysoki, zgarbiony starzec, biały, jak gołąb, z gęstą nad wyraz czupryną — i patrzył w duży żeleźniak, w którym perkotała się rozgotowana kasza. Duża kuchnia dworska była pusta. W głębi stało wyrko z brudnym barłogiem. Przybyły zawołał, lecz stary człowiek nie obejrzał się. Zawołał po wtóre — i również na próżno. Wtedy wyciągnąwszy kostur z lekka potrącił go w plecy. Starzec drgnął i obrócił się gwałtownie. Był już bardzo wiekowy, niemal zgrzybiały, lecz rozrośnięty w barach, kościsty, prędkich ruchów i, widać, mocny. Twarz jego o kolorze żywej rdzawości zimowego jabłka była zbiegowiskiem nieprzeliczonych zmarszczek, które przecinały ją we wszelkich kierunkach, jak ślady cięć tasaka na kucharskiej desce, tworząc istne promieniska dookoła ust i oczu. Biała jak śnieg gęsta i zwarta czupryna nad tą twarzą zoraną, pełną potęgi i wiedzy o życiu, jaśniała w zmierzchu. Wielkie ręce były jak narzędzia zużyte i zdarte od pracy. Na widok przybysza twarz starego stała się sroga i okrutna. Wszystkie zmarszczki zbiegły się ku krzakom brwi i jamom oczu, otaczając je niby las igieł najeżonych.

— Wont! — zakrzyknął, tupiąc na miejscu wielkimi butami. Kolana wyłazące dziurami zgrzebnych portek tłukły się w złości jedno o drugie. Między końcami rozchelstanego kołnierza kożuszyny widać było szyję sfałdowaną jak u kondora. Jakieś wyrazy bulgotały w tych fałdach. Pięści były zaciśnięte. Dzikość zionęła z oczu. Gość nie odchodził. Chciwie patrzył na ogień. Wyjść z tego ciepła na srogi wiatr w szmatach mokrych, ziębiących nogi, brnąć znowu po grudzie na spuchniętych stopach... Zobaczyć znowu na drodze swej chłopską gromadę...

Uczuł w sercu szczęście wysokie, radosny spokój — usłyszał jakoby pieśń śpiewaną dokoła głowy. Spozrzegł, że spłacił już wszelakie długi, odkupił winy nie tylko swoje, lecz jakieś cudze i stało mu się dobrze w duszy, jak nigdy jeszcze w życiu. Poprosił gestem nie błagalnym, lecz jakby skinieniem kupca, czyby nie można zagrzać się przy ogniu.

— Wont! — powtórzył okrutny dziadyga. Powtarzając raz za razem to słowo, wlepił przecież w twarz nieznanego swe małe, czarne jak tarki, przenikliwe oczy.

— Dwór przez ciebie spala, ty jucho czerwona! Abo to już stodoła, obór nie popaliły, dyable zatracony? Wont mi zaraz!

Zbieg, nie mogąc sprawnie przekroczyć z powrotem progu, usiadł na nim w bezsilności swej. Ręce jego osunęły się na ziemię, kij z nich wypadł.

Stary kucharz zawścięgnął na sobie kożuch i lewą garścią szukał czegoś za pazuchą. Mamrotał, wyszczerzając zęby, wśród których dwu na przedzie brakowało. Z nagła

zakrzętnął się. Chwycił wymytą miskę i nabrawszy z żeleźniaka warzechą rozgotowanej jęczmiennej kaszy, wrzucił w naczynie i podał rannemu.

— Na, zeżeraj i wont mi z miejsca, bo tu za tobą po śladach przyńdą. Dwór spalą, a mnie nahajami ubiją. Żywo, rusz się!

Powstaniec pokazał gestem, że nie ma łyżki. Starzec cisnął mu na kolana drewnianą, wygryzioną. Patrzył spode łba, jak poraniony drżącymi rękoma niesie do ust war kaszy, jak łyka go z pośpiechem i niewypowiedzianą rozkoszą — parząc sobie wargi. Wkrótce miska była pusta, kasza niezrównanej dobroci i smakowitości wyjedzona do ostatniej drobinki. Ranny pokazał kucharzowi swe nogi — jedną w biodrze rozdętą, czarnosiną, koloru żelaza — drugą w stopie po stokroć przebitą, napuchniętą i krwawą. Dziad żuł wargami z odrazą, kłął straszliwym słowem, pluł i mnożył zniewagi, lecz patrzył na rany.

Wciąż tak niechętnie mamrocząc, podreptał ku swemu posłaniu na pryczy, włożył pod nią i ożogiem wyciągnął stamtąd dwa rude, zestarzałe krypcie — to znaczy zdeptane w błotach przyszwę, podeszwy i obcasy od podkutych chłopskich butów z najtwardszego juchtowego rzemienia, od których oderznięto cholewy. Krypcie te były zeszlę, twarde, jakby wyrobione z żelaznego surowca. Młody panicz wdział je na swe stopy i tak z wyciągniętymi nogami, obutymi teraz w te żelazne chodaki, siedział na progu. Kucharz spojrział mu w oczy z poprzednią srogością i kazał natychmiast iść precz ze dwora. Gdy tamten ruszyć się nie miał siły, chwycił go wpół, podźwignął, wyniósł do sieni, wypchnął na dziedziniec i drzwi za nim zatrzasnął. Wygnany zawahał się, dokąd ma iść. Na gumno nie chciał, bo za niem byli chłopci. Przed dwór nie śmiał, bo spalą z jego powodu. Ale droga sama wiodła go na dół, właśnie wzdłuż dworu. Dom to był wielki, murowany, budowla długa z dwoma gankami, z wielkim, szerniałym dachem. Przed tymi gankami ciągnęła się droga kędyś w dół, ku rzece. Tam też poszedł krwawy żołnierz.

Mijał co prędzej ten niegościnnie dom. Stokroć gorzej bolały go nogi w ciężkich chodakach, ciężył kostur w ręku, kozuch moskiewski na grzbiecie — a nade wszystko — nade wszystko ta hańba nieudźwigniona, którą na sobie niósł... Mijał pierwszy ganek, nie podnosząc oczu. Mijał drugi... Lecz oto ktoś go z tego ganku okrzyknął. Po kilku kamiennych stopniach zesza ku niemu młoda kobieta i zdumiona jego straszliwą postacią stanęła wpół drogi. Wędrowiec podniósł na nią oczy i mimo ogrom swego nieszczęścia, poprzez półmgłę śmierci patrząc, zadziwił się i zachwycił jej pięknnością. Uśmiech żalorny, a zarazem szczęśliwy wywinął się na jego wargi. Nie miał czym i nie

wiedział jak ukłonić się tej prześlicznej osobie, więc tylko ręką wykonał jakiś znak pozdrowienia. Patrzała na niego oczyma czarnymi, którym zdumienie, ciekawość i odrobina żalu jeszcze większej dodawały piękności.

— Z bitwy? — wyszeptwała.

Potwierdził, mimowolnie uśmiechając się do niej.

— Gdzie była ta bitwa?

— Pod Małogoszczem.

— To tam Czengiery pociągnął, co tu koło nas wczoraj szedł...

— A tak, lecz i inni...

Zbliżyła się jeszcze o krok, patrząc badawczo i uważnie na „połuszubok” wojskowy.

— Ja jestem powstaniec... — wytłumaczył. — A to na pobojuwisku ściągnąłem z żołdaka, bo nas z odzienia obdarli.

— Jakże pan tu doszedł?

— Lasami.

Spojrzała na jego czerwoną głowę, wybite oko, nogi zlane krwią — i zakrzętnęła się prędko, żywo, jednym tchem, a z jakowąś szczególną wesołością duszy. Chwyliła go za rękę, wyciągnęła z niej sękaty kij i rzuciła go precz za wyłamane szczątki ogrodowego płotu. Następnie ujęła rannego pod rękę i poprowadziła ku stopniom ganku.

— Dwór spala... — rzekł do niej łagodnie, ociągając się po niewoli.

— Zobaczymy, jak to tam będzie, a teraz marsz, gdzie każą! — mruknęła z pośpiechem, dźwigając go na schody.

Z trudem wygramolił się na stopnie i siadł w ganku na ławce. Panienska zapaliła latarnię, która tam stała i otworzyła ciężkie drzwi do wewnątrz, prowadząc gościa za sobą. Chodaki jego bezsilnie stukały o kamienną posadzkę wielkiej, ciemnej sieni. Znowu po dwu schodkach wstąpił we drzwi dużego pokoju i prowadzony za rękę szedł z izby do izby. Mieszkanie zalegał już zmierzch. Miejsce to w półmroku, słabo rozproszonym przez blask latarni — poprzez wielorakie ognie gorączki wydało się przychodniowi przerażające. Śniło mu się, że już nastąpiła śmierć i że go do dziwnej usypialni piękny anioł wyzwolenia prowadzi. Chciał cofnąć się, uchodzić... Lecz mała, mocna ręka nie popuszczała. Minał tak za przewodniczką duży, pusty, zimny salon i wpuszczony został do niewielkiej, ogrzanej izdebki. Niewiastka posadziła rannego na pospolitej solce, obitej kretonem, i zostawiając samego szepnęła, jakby kto podsłuchiwał:

— Pójdę ja popatrzeć, czy kto nie widział i wytrę ślady krwi na ganku.

- W kuchni mię widział jakiś starzec.
- No, ten to swój... To kucharz, Szczepan.
- Widzieli mię chłopci idącego ku dworowi.
- I to jeszcze nie takie straszne. Zresztą — cicho...

Wyszła z pokoju, unosząc ze sobą latarnię. Chory oparł się o ścianę plecami i teraz dopiero uczył wszystką swoją niemoc. Cierpienia jak gdyby czekały na tę chwilę. Rzuciły się na bezwładnego wszystkie wraz, z całą swoją bezgraniczną potęgą. Zawył z bólu... Bielmem przesłonięte oczy widziały jasny kwadrat okna, choć już wewnątrz panował mrok, muślinowe firanki, sprzęty, lecz myśl nie mogła pojąć tego szczęścia, że ciało ranami okryte jest między ścianami ludzkiego mieszkania i pod dachem. Jak sen przechodziły przez głowę obrazy bitwy, ujścia, lasu, rzeki...

Skrzypnęły drzwi. Dały się słyszeć ciche kroki. Młoda gospodyni weszła do izby, niosąc swoją latarnię. Ze śmiechem postawiła ją na stole i rzekła:

— Pokradli tu wszystko, nawet lichtarze. Została tylko ta latarnia. Przy latarni muszę siedzieć, jak w oborze. Słyszał też pan coś podobnego? No, ale powycierałam ślady na ganku. Pan osłabł?

- Tak, nie mam sił.
- A jakież to pan ma rany?
- Bardzo wiele... Tylko przez chwilę spocznę... Zaraz sobie pójdę.
- Proszę — zaraz pan idzie. I dokądże się to pan tak wybiera, jeśli wolno zapytać?
- Jest tu może jaka piwnica, drwalnia albo strych, gdzie bym się mógł położyć pod dachem. Ale i okryć czymś, jakimś sukniem, bo mi bardzo zimno...
- Zaraz, zaraz...
- Ja już mogę iść, jużem odpoczął...
- Właśnie...

Zostawiła latarnię na stole i dokądś pobiegła. Nie było jej dosyć długo.

Ranny popadł w niezwalczony sen, w głuche, bezduszne drzemanie. Dźwigał się co moment na skutek przeświadczenia, że przecie musi iść co tchu, uchodzić, kryć się — lecz nie miał siły, żeby skinąć ręką, poruszyć głową. Zapomniał, jak długo trwało to borykanie się z sennym osłupieniem. Lecz oto drzwi się otwały i ukazał się stary ów kucharz, który kaszę warzył, niosąc pospołu z młodą panną balię pełną wody. Para unosiła się nad tą balią. Przydźwigawszy naczynie do środka pokoiku, ustawili je na ziemi. Stary kucharz mruczał głośno, spluwał i z wściekłością podrzucał ramionami — ale panna nie zwracała na te objawy złego usposobienia żadnej zgoła uwagi. Musiał

czynić, co kazała. Poleciała zaś przynieść mydło, gąbkę, kilka prześcieradeł, ręczników, bandaże i szarpie. Znosił to wszystko po kolei, dopytując się o każdą rzecz, jak sługa pani i klnąc po dostarczeniu każdego szczegółu najohydniejszymi chłopskimi wymysłami, jak gdyby to on właśnie tutaj rozkazywał. Kobietka krzyczała mu polecenia do ucha ze stałym odcieniem wesołości. Gdy famulus przeniósł wszystko, co potrzeba, kazała mu iść do kuchni i gotować nowy sagan wody, ażeby zaś była wrząca, jak należy. Mruknąwszy coś najbardziej obrzydliwego, poszedł z izdebki. Wtedy ściągnęła z ramion młodzieńca, który jej bezwładnie leciał przez ręce, gruby, cuchnący kozuch i wyrzuciła do sionki. Zzula mu twarde krypcie dokuczliwe jak kajdany i cisnęła je również w to samo miejsce. Powstaniec był prawie nagi, bo tylko w mokrych spodniach. Nie bez trudu ściągnęła go z sofki na prześcieradło, rozpostarte w środku pokoju, głowę jego przechyliła poza obwód balii, do jej wnętrza, nad ciepłą wodę i poczęła gąbką moczyć zaschłe sople, gruzły i zacieki w skrwawionych włosach. Wyżymała te włosy małymi rękoma z wybroczyn, dzieliła je na wąskie pasemka, wydobywając troskliwie wciąż nowe zwitki, wbite w rany od ciosów pałasza i bagnetu. Znalazłszy zaś ranę, przemywała ją pieczołowicie, suszyła szarpią i starym płótnem. Pozakładawszy cięcia i zranienia, obwiązała całą głowę bandażami, wprawnie je w krzyż motając. Wkrótce chory miał głowę dobrze opatrzoną. Lecz po obmyciu głowy balia była pełna krwi. Pielęgniarka złożyła swego pacjenta na ziemi i przywołała kucharza. Gdy nadszedł gniewny i złowrogo sapiący, kazała mu, krzycząc rozporządzenia do ucha, zabrać przede wszystkim kozuch i krypcie. Kozuch podrzeć na sztuki i spalić. Przynieść nowy sagan ciepłej wody. Skoro przyniósł wodę, posłała go po ceber dla zlania zakrwawionej z balii. Musiał to wszystko prędko i zwinnie spełniać, bo się marszczyła i tupiała nogą. Zakrwawioną wodę poniósł na dwór i wychlusnął w gnojowisko. Panienska sama naląła czystej wody do balii i zabrała się do opatrzania policzka. Tu miała sprawę stokroć cięższą, niż z ciętymi ranami na głowie. Trudno było domyśleć się, czy oko jeszcze istnieje, bo pod brwią, na połowie twarzy była jednolita czarna bulwa, zaciekła wybroczyną, idącą z rany. Młoda lekarka długo w to oko świeciła latarnią i przy blasku łójówki badała sprawę. Prześliczne jej palce starały się znaleźć miejsce zranienia, namacać powiekę i gałkę oczną. Przyszła do wniosku, że to nie jest rana od kuli, ani nie od cięcia pałaszem, lecz sztych w oko, zadany bagnetem. Ostrze trafiło na kość policzkową i ześliznęło się po niej w stronę nosa, drąc skórę i podważając oko z orbity. Czy oko było całe, czy jeszcze istniało, nie mogła osądzić. Poczęła płukać rozdarcie wodą, wychlustywać je i oczyszczać głębie rany. Założyła dziurę szarpią, zawiązała

miejsce bandażem i przeszła do pchnięć bagnetu w ramiona i między żebra. Były to przeważnie stłuczenia i niegłębokie urazy. Na plecach znalazła rany cięte od pałasza lecz złagodzone wskutek tego, że ich gwałtowność powstrzymała była kurtka futrzana i koszula. Najcięższa i najdrastyczniejsza rana była w biodrze. Młoda lekarka musiała zapomnieć o swym panieństwie i zupełnie rannego obnażyć. Gdy dotykała rany w biodrze, opuchniętej nadzwyczajnie, powstaniec wył z bólu. Znać było, że to nie jałowe pchnięcie bagnetu i nie cios zewnętrzny, lecz że w głębi siedzi kula. Nadaremnie usiłowała ją palcami zgruntować i na pocisk trafić. Kula tkwiła gdzieś bardzo głęboko między kośćmi, żyłami i ścięgnami, gdyż sprawiała dokuczliwy ból za każdym poruszeniem. Trzeba było poprzestać na oczyszczeniu i obwiązaniu tej rany. Obmycie nóg, z których powyciągała drzazgi i kolki, dokończyło tego opatrunku. Odziawszy chorego w męską koszulę, którą w szafach znalazła, opiekunka zawięła to zbiorowisko ran w czyste prześcieradło i z niemałym trudem, po długotrwałych zabiegach, jakby się borykała z ciężarem żrebca, wciągnęła bezsilnego na swoje panieńskie łóżko. Okryła go dobrze błękitną, atlasową kołdrą, podbitą cienkim prześcieradłem i poczęła pilnie wycierać krwawe plamy z podłogi, zlewać czerwoną wodę do cebra i wynosić to wszystko przy pomocy kucharza — oraz czynić w izdebce wszelaki porządek.

Gość jej był przytomny. Nie spał. Spoglądał na prześliczną kobietę, krzątającą się po mieszkaniu, na jej głowę nadobną we wszelkiej pozie i z każdej strony, z włosami kruczej czarności, rozczesanymi pośrodku i przylegającymi do skroni — na jej rysy regularne i niewymownym owiane wdziękiem — na różane usteczka, w których radosny śmiech wieczną miał gościnę... Ubrana była w suknię szeroką u dołu, według mody, lecz nie dochodzącą do rozmiarów krynoliny. Od pracy policzki jej były zabarwione i ręce umazane we krwi. Patrząc na tę obcą, a tak czarującą istotę, która jego istotność najbardziej osobistą, jego rany i najohydniejszy brud przemyśla z wesołą naturalnością i dobrą prostotą, zachłysnął się od szlochów szczęścia. Szczęście zesłał mu Bóg po wielkim cierpieniu. Kiedy brnął przez lasy, wody i złorzeczył — czekało nań w tym domu. On sam, jeden jedyny został doń powołany...

Wspominał na nagie trupy, leżące stosem między zagonami — na zwłoki męźnych, ciągnięte za nogi do dołu pod lasem — i zatonął w Bogu...

Widma i męczarnie, zjawy straszliwe i głosy niepojęte osaczyły go ze wszech stron. Nachylały się nad nim potworne straszydła o postaciach drzew, albo spienionych zwierząt, które nad głową w locie kopyt pędziły. Ręce miał ciężkie i jak z marmuru. Dłonie wisały kędyś wysoko, niby u powały zaczepione, to znowu były w czuciu tak



małe, że ich przy sobie odnaleźć nie mógł. Nogi rzucało to tu, to tam, niby pnie drzewa w tartaku. Głowa stała się jak rozpalone kowadło, w które biją wraz od ucha młoty kilku siłaczy.

## II

Czarodziejsko świeciło słońce. Ogniste koła drżały na sosnowych deskach, które z wczorajszych plam wymyte, już były suche. Coś weseliło się i zaśmiewało ze szczęścia, kołując na tym miejscu, gdzie stała balia — migocąc raz mocniej, to znowu słabiej. Chory patrzył na plamy słoneczne i napawał się ich widokiem. Weszła młoda gospodyni. Niosła w ręku miseczkę z jakąś dymiącą potrawą i srebrną łyżkę. Przypatrywała się bardzo uważnie swemu pacjentowi. Spostrzegłszy, że nie śpi, uśmiechnęła się, jak najweselszy szkolny urwis i wykonała oczyma zabawny znak porozumiewawczy. Kiwnęła mu głową, mówiąc :

— No, widzi pan, noc przeszła, południe przyszło, a pan nie umarł.

— Naprawdę, nie?

— Ale — no! Przecie pan zaraz będzie kaszę jadł, a to chyba dowód!

— Kaszę? Tę samą, co wczoraj?

— A tę samą.

— O, jak to dobrze!

— A no właśnie i ja sobie tak pomyślałam. Tym bardziej, że my tu ze Szczepanem niczym innym przyjąć pana nie możemy. Więc proszę wybaczyć, bo czym chata bogata — no i tak dalej... Żeby mieć choć szczyptę mąki, żeby — no, odrobineczkę cukru, mleka... Nic! Kasza i kasza. To by się przecie i kurom sprzykrzyło — nie?

— Na razie to nie. Powstańcom się nie przykrzy to nawet, czego już kury dziobać nie chcą. Żeby tylko nie była tak gorąca, jak wczoraj.

— Nie jest wcale gorąca. Mogę ją zresztą łatwo ostudzić, bo dziś tęgi przymrozek. Ale pan może kaszy zupełnie nie lubi?

— Gdzież tam! W partii, mówię, zawsze kasza, czasem trochę kartofli... Tylko że tamtą poparzyłem sobie wczoraj usta.

— A też z pana obolały cierpiętnik! Wszystko pokrajane, pokłute, naszpikowane, poprzeźrzelane — jeszcze i wargi sparzone. Tego tylko brakowało...

— Przepraszam panią ...

— Nie ma za co. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Co zaś do tej kaszy, to chciałam powiedzieć, że nic nie mamy, tylko ten worek jęczmiennej. I to sekret! Proszę pana — sekret! Jak to wytropią i odbiorą nam — no, to głód.

— A gdzie państwo ten worek trzymacie?

— „Państwo”! Nie żadne państwo, tylko Szczepan, ten stary kucharz, co go pan widział. Chowa go w zapolu, w stodole. Dziurę w sianie wykopał na kilka łokci głęboką i tam na postronku worek spuszcza co rano, jak o świcie na dzień dla nas dwojga porcję wybierze.

— Proszę pani, a gdzie ja jestem? Jak się też to miejsce nazywa?

— To pan tego nawet nie wie?

— Nie wiem. Ja tu obcy, pierwszy raz...

— To jest dwór w Niezdolach. Niezdoly, taki majątek jednych państwa, Rudeckich, moich krewnych i opiekunów.

— A pani? Przepraszam, że się tak pytam...

Uśmiechnęła się wesoło i najpowabniej, mówiąc:

— Mnie na imię Salomea. Ale niechże pan sobie nie wyobraża, że jestem jaka tutejsza żydówka, bo się nazywam Brynicka i to z tych Brynickich, co dawniej mieli Mieranowice. To byli stryjostwo mojego tatki, a pani Rudecka jest moją wujenką, wprawdzie nie rodzoną, zawsze jednak pokrewieństwo.

— Ależ ja nic podobnego sobie nie wyobrażam! To jest bardzo ładne imię...

— A rzeczywiście!... — pokiwała głową z gorzkim politowaniem. — Wszyscy się nadziwić nie mogą, że też takie imię można było nadać człowiekowi. Salusia, Salcia — o Boże! — „Salcze”...

— Salce po włosku oznacza wierzbę. To ładne drzewo i ładna nazwa.

— Po włosku? To pan umie po włosku?

— Trochę umiem, ale nie nazbyt dużo, tyle, żeby się rozmówić. Nauczyłem się, sam nie wiem kiedy, jakem był we Włoszech.

— To pan był we Włoszech! Mój Boże!

— Czemu pani tak wzdycha?

— A tak sobie z zazdrości. Co to musi być za przyjemność być we Włoszech, „pod włoskim niebem”... Czy to tam jest naprawdę to jakieś niebo?

— Takie samo...

Ranny przymknął oczy, bo znów ogarnęły go szarpiące bóle i płomienie gorączki. Patrzył w przestwór błędnymi oczami. Po pewnym czasie zmocował się w sobie, oprzytomniał i rzekł:

— Pani zupełnie nie wie, kto jestem, a odstąpiła mi pani swego posłania...

— Wiem, że pan jest powstaniec.

— Nazywam się Odrowąż, a na imię mi Józef.

Po chwili dodał:

— Widzi pani — mam po rodzicach tytuł księcia...

— Księcia? — szepnęła panna Salomea, przypatrując mu się na poły z niedowierzaniem, na poły z podziwem. Twarz jej spoważniała i ruchy stały się bardziej oględne. Nie na długo zresztą.

— Posiadam znaczny majątek — mówił jeszcze — a wczoraj...

— O, wczoraj znać było pana nie tyle po cholewach, bo przypadkowo były oberżnięte, ile po kozuszkach magnackim... — uśmiechnęła się złośliwie

Chory przymknął oczy ze wstydu. Burzyło się w nim wszystko. Mówił z wolna.

— Postaram się... niezwłocznie... skoro tylko... wstać i iść z powrotem do partii, żeby pani nie narażać na takie przykrości...

— Och, z tymi groźbami!... Lepiej niech wasza książęca mość nie rozmawia i leży spokojnie. Powiem otwarcie, że od bardzo dawna, bo od jakich czterech tygodni wyspałam się pierwszy raz tej nocy porządnie pod pańską opieką.

— Co takiego! Pod moją opieką?

— No, tak. Trzeba księciu panu wiedzieć, że w tym caluteńkim domu nie ma nikogo, tylko stary kucharz, Szczepan, głuchy, jak pień wierzbowy — po włosku salcze — no i ja, także „Salcze”.

— A gdzie są wszyscy?

— Gdzie są? Nie ma. Poszli! Pana Rudeckiego, mojego krewnego i opiekuna wzięli do więzienia, już temu dwa miesiące. Było tu pięciu synów, młodych Rudeckich. Z tych Julian, Gustaw i Ksawery poszli zaraz. Tamci z domu, a Guccio — to nawet wprost ze szkół w Puławach. Dwaj najmłodszy chłopcy są na nauce w Krakowie. Julian zginął w bitwie, gdzieś w miechowskim, a biedny Guccio...

Panna Salomeą gorzko zapłakała. Po chwili wytarła oczy i mówiła:

— To samo i Ksawery nie żyje. Moja wujenka, a matka tych chłopców, pojechała szukać po obozach. Minęło już cztery tygodnie, jak jej nie ma. Jeden Żyd, karczmarz tutejszy, co końmi handluje, a właściwie koniokrad, widział się z wujenką, jak wracała

skądś z sandomierskiego. To znowu była wieść między tutejszymi chłopami, co teraz wyłapują powstańców, żeby ich do „Cyngiera” odstawiać — że się stara o uwolnienie wujaszka z więzienia w Opocznie. Podobno Ksawerego zwłoki znalazła w jakiejś szopie.

— Skądże te wieści?

— Furman Skowron, co jeździł z wujenką, opowiadał. Wyjechali czterema końmi i powozem, a furman wrócił sam i piechotą. Konie wujenczka sprzedała, powóz to samo, bo jej trzeba było pieniędzy na przepłacanie, żeby wuja uwolnić. Jak ten furman wrócił, to nawet nie zaszedł, żeby powiedzieć, co się stało, tylko zabrał się do swojej wsi. Przez dziesiąte osoby dowiedzieliśmy się od niego.

— I cóż mówił?

— Mieli podobno wszyscy pobici koszule długie ze zgrzebnego płótna aż do stóp, a pod szyją kokardy trójkolorowe jeden w drugiego. I tak przed pochowaniem leżeli w szopie pokotem. A Ksawery między nimi.

— Koszule, kokardy! Cóż za przepych, cóż za łaska! — śmiał się Odrowąż. Przekreślił się twarzą do góry i patrzył w powałę.

Panna Salomea mówiła dalej:

— A niech pan sobie wyobrazi, co z Guciem. W jednej bitwie uciekał na koniu. Wpadł w opłotki pod jakąś wsią i byłby uszedł cało, bo miał pod sobą konia-cudo, kasztana, co się tu od źrebięcia na naszym pastewniku wychował. Trzeba nieszczęścia — cielę wylazło skądś na środek drogi i kasztan się na nim potknął. Dragoni, co Gucia ścigali, wtedy dopadli. Roznieśli go tam na pałaszach, rozrąbali, rozsiekali, ale tak, że tylko kadłub bez głowy i bez rąk poniósł koń w pola. Milami, podobno, zbiegany nosił potem trupa — wreszcie włóczył go po ziemi, gdy ciało wypadło z siodła, a jedna noga w strzemieniu została. Och, taki koń! Któż to mógł przeczuć... Wszystkimi go kochali, jeździli na nim, za szczęście było dosiadać go oklep i pod siodłem. Żeby się tak podle potknąć, nie przesadzić cielęcia, zdradzić najlepszego panicza! Kochany Gucio! Taki śliczny, taki wesoły...

Krótko załkała, zaszlochała. Odrowąż milczał, bez współczucia patrząc na jej płacz. Wytarła oczy i mówiła jeszcze:

— Wszystka służba rozbiegła się z tego domu. Jednej nocy przyszli tu powstańcy pod panem Jeziorańskim, a zaraz po nich wojsko. Powstańcy się zabarykadowali w gorzelni, to samo w spichlerzu, zaczęli stamtąd oknami i z dymników strzelać. Podpałiło wojsko ten spichlerz. Zajęła się gorzelnia od dachu. Spaliło się wszystko — gorzelnia, spichlerz, obory i stodoły. Szczęście jeszcze, że wiatr niósł perzynę na łąki, bo była by i druga

stodoła nie ocalała, ani stajnia, ani nawet dwór — taki był ogień. Od tego czasu wszystko z tego domu pouciekało. Konie pobrali do ostatniego — źrebięta ktoś ukradł w nocy. Co tylko było w spiżarni, powstańcy zabrali. A już od czasu, jak mój tatko poszedł do powstania, to my się tylko ze Szczepanem zostali.

— To pani ma ojca?

— A mam. Mój tatko tu był rządcą w Niezdołach u wujostwa Rudeckich przez całe dwadzieścia dwa lata, od czasu, jak wrócił z Sybiru. Bo mój tatko w tamtą rewolucję był wachmistrem w strzelcach konnych i na Sybirze był za to.

— A mamę pani ma jeszcze?

— Moja mama umarła, jakem miała rok, to znaczy temu już dwadzieścia dwa lata — nie, dwadzieścia jeden...

— O, ujmuje sobie pani lat!...

— A może sobie mam jeszcze dodawać? Wcale nie ujmuję.

Po chwili dodała ni to z dumą, ni z pewnym zażenowaniem, jak się mówi o sprawach i szczegółach rodzinnych, które tylko w swoim kółku wielkie są i znaczne, a dla obcych nie egzystują:

— Mój tatko ma tylko sześć palców u obu rąk.

— Czemu?

— A bo mu w bitwie pod Długosiodłem kula urwała, akurat kiedy trzymał karabinek przy twarzy i celował. Tu ma dwa palce urwane i tu dwa. Jak się myje, to tak śmiesznie... Pokazała, składając dłonie.

— I tak oto samą jedną ojciec panią zostawił?

— A tak, bo dla ojczyzny jest najpierwszy obowiązek Polaka, a dopiero na drugim miejscu stoi familia... — wypowiedziała z hieratycznym namaszczeniem zdanie mądre, ustalone i powszechne.

— Jakże też pani daje sobie radę, gdy tu wojska przychodzą? Czy przychodzą?

— A ba! Czy przychodzą? Dobra ta noc, jeśli ich nie ma. A nie ma wojska, to są nasi. Wyjdą nasi, to wojsko.

— A pani zawsze sama?

— No, jest przecie Szczepanisko.

— Ten dziadyga?

— Choć on i dziadyga, ale mądry, kuty na cztery nogi, na każdą rzecz, na każde wydarzenie ma swój wybieg chłopski i sposób jaki nieomylny. Nadto powiem księciu panu, że on się nie boi. To jest bać się boi, będzie się cały trząsł, jak galareta z cielęcych

nózek, ale nigdy nie ucieknie. W tej chwili, kiedy trzeba stanąć — a on jeden wie, kiedy trzeba — na pewno nie zdradzi i wszystko weźmie na siebie. Sto razy go wypędzą, to on tam wlezie za drzwi i nasłuchuje, czeka. Tylko ja głos podniosę, on przy mnie. Gdyby mnie napadli, będzie bronił do ostatniego. On jest pewny. Zresztą na najgorszy moment mam tu jeszcze jednego obrońcę.

— Gdzie?

— A tu — oświadczyła z uśmiechem, wyciągając z kieszeni szerokiej sukni dwustrzałowy pistolet.

— Któż go pani dał? — Zapytał Odrowąż.

— Tatko.

— I tylko taką zostawił pani obronę?

— Tatko powiedział, żeby dopiero w najostatniejszej chwili, jeżeli by kto siłą napadał. A przede wszystkim tatko kazał bronić się do ostatniej chwili kobiety polskiej godnością.

— Polskiej kobiety godnością...

— Myśli księżę, że to nic nie znaczy? Już tu miałam nieraz przykład. A powiem jeszcze jeden sekret, bo to księcia pana uspokoi. Mam tu jedną współpracowniczkę. Tylko to trzeba w tajemnicy trzymać, bo bez tego źlebyśmy tu wyglądali.

— Zachowam tajemnicę...

— No, to powiem. Jest tu karczma w szczerym polu o jakie ćwierć wiorsty ode dwora, stoi na krzyżowych drogach. Siedzą w tej karczmie Żydy. Dawniej brali wódkę z niezdolskiego dworu, jak gorzelnia szła. Teraz ją biorą skądinąd, a trudnią się czym można, a głównie przemycaaniem w dalekie strony kradzionych koni. Tak ludzie mówią. Ja tam dobrze nie wiem. Nikt zresztą teraz prawdy nie dojdzie, bo wszystko idzie na karb powstania. Jakies konie w karczmie stoją, potem znikają. To niby powstańcy... Jest ich tam dużo tych żydów w karczmie. Ale między nimi jest jedno Żydzie, ma chyba ze czternaście czy piętnaście lat. Na imię temu Ryfka. Warto zobaczyć przy świetle dziennym to czupiradło. Nie myła się już ze cztery lata, włosy w strąkach, obdarte, brudne.

— Niemal jak ja wczoraj...

— Troszeczkę bardziej, tylko że aby nie pokrwawione. Kiedy Siapsia, starszy karczmarz, trzymał w pachcie krowy dworskie, Ryfka przychodziła o świcie do udoju, mleko mierzyć. Ja to samo musiałam wstawać do krów przed świtem. Tom sobie z tą Żydową rozmawiała z nudów o różnościach. Nieraz jej tam co darowałam. Czasem

znowu wypukałam ją z karczmy w lecie wieczorem i wymykałyśmy się obie w noc, w mgłę, nad rzeką w rosach, w niekoszonych trawach boso polatać... Książę pan będzie się gorszył, że ja się tak z tą Żydówką postponowałam...

— Nie, uchowaj Boże!

— Ja jej znowu do zupełnej konfidencji nie dopuszczałam, tylko tak, że to dobre do sekretu, wierne i jakieś takie przy mnie jak cień przy drzewie. Czasem znowu namówiłyśmy się na maliny dzikie i na „dziady”, tu na tę górę, co za Niezdołami stoi. Szła za mną zawsze i słuchała, co jej mówię. Ja tak, to i ona tak, ja odmienię, to i ona. Co ja lubię, to i ona. Co mi nie smakuje, to ją aż wykrzywia. Jakem sobie zaśpiewała, to ta za mną to samo, słowo w słowo, dźwięk w dźwięk, a tak strasznie śmiesznie, że boki zrywać. Musiałam sobie usta zatykać, żeby jej przykrości nie robić. Czasem to umyślnie wyśpiewywałam jakie głupstwo najwierutniejsze, układałam śmieszne piosenki, żeby się pouczyła... No, więc ta Ryfka zrobiła się moją przyjaciółką. Ale taką naprawdę. Teraz, jak wojsko nocą ciągnie, to żeby nie wiedzieć skąd i dokąd szło, o karczmę zawadzi, bo ta karczma stoi na rozstaju gościńców. Jeżeli zaś tylko pytają się o drogę do dworu w Niezdołach, Ryfka przez tylne drzwi, poprzez żydowskie zakamarki, sionki, przybudówki, przez śmietniki i gnoje, potem przez dziką górę, przez parów, przez ogród — do mnie. Jeśli idą do dworu powstańcy — stuka do mnie w to okno, w tę szybę — trzy razy. Jeżeli idzie wojsko — cztery razy. Ja wtedy do kuchni, budzę Szczepana i po ciemku przygotowujemy się, czekamy. Dopiero jak zaczną burzyć się do drzwi, walić kolbami, dobijać do okien, Szczepan idzie otwierać. Tylko już wtedy wiemy przynajmniej, czego się trzymać. Rozumie mnie książę pan?

— Rozumiem, choć bardzo boli, tu w nodze. Tylko już o tym tytule książęcym będziemy wiedzieć raz na zawsze, że był i nigdzie nie ucieka, więc trudzić się ciągiem wywoływaniem go z niepamięci nie ma powodu.

— Książę pan jest taki — jakże się to mówi? Demokrata...

— A no niby.

— Dobrze, będziemy mówić z prosta. Chodzi o to, że teraz, jak tu pan leży, to ta Ryfka jest dopiero ważna. Prawda?

— Och, prawda.

— Bo przecie oni rewizję robią za każdym razem w całym dworze, mojego łóżka nie oszczędzając. Trzęsą wszędzie. Czasem się tam który zawstydzi i każe tylko z wierzchu patrzeć. A bywają znowu i tacy, co umyślnie, z dowcipami zagląдают w każdą skrytkę.

— Cóż by tu robić, gdy przyjdą?

— Po pukaniu Ryfki będziemy wiedzieli, kto idzie. A skoro — cztery — Szczepan musi pana brać na ramiona i wnosić z domu. Myślę, że do stodoły...

— Jakże to będzie uciążliwe!

— Nie tak znowu bardzo. Dziad podola. Nawet i ten tytuł książęcy swoje zrobi, bo się Szczepanowi wytłumaczy, że pan jest naprawdę jaśnie oświecony bogacz.

— Bogacz nie bogacz, lecz moja rodzina wynagrodzi go sownie.

— Właśnie. Ça ira...

— Pani po włosku nie umie, ale za to po francusku...

— A umiem, bom się uczyła na pensji, u zakonnic, w Ibramowicach. Troszeczkę się nie douczyłam, bo mi tatko kazał wracać do gospodarstwa. Zresztą, przyznam się, że tak znowu nadzwyczajnie za tymi Ibramowicami nie przepadała. Ale ja tu rozmawiam i rozmawiam, a pan jeszcze nic w ustach nie miał. Przyniosę ja trochę cieplejszej kaszy, bo ta na klajster wystygła. Może nawet Szczepan kapeczkę mleka u żydów dostał, ale... koziego... — dodała z wstydem.

Z tem wyszła z izby.

Powróciwszy, zastała swego gościa pogrążonego we śnie nagłym, gorączkowym. Zbliżyła się na palcach i oglądała bandaż. Tu i ówdzie krew pozaciekała przez płótno. W różnych miejscach poduszka i prześcieradła były splamione. Panience żal się zrobiło pościeli, ale i tego dryblasa, który się księciem mianował, żałowała po trosze. Żal jej było, że jego regularne rysy, prosty, doskonale zarysowany nos, kształtna głowa — tak zostały zeszpecone przez rany. Siedziała cicho w kącie pokoju, powzdychując nad tą kolejną rzeczą, dopóki się nie ocknął. Wówczas zmusiła go, żeby zjadł kilka łyżek kaszy, wprowadzie bez zapowiedzianego mleka, ale cieplej. Przepraszał ją wielokrotnie za przykrości, które poniosła z jego powodu. Oburzało ją powtarzanie ciągle tego samego w kółko. Żeby temu raz kres położyć, oświadczyła:

— Jużem księciu panu meldowała, że dopiero teraz oddycham swobodniej pod jego opieką.

— Wolne żarty...

— A ładne żarty! Żeby pan wiedział dokładnie, co się tu dzieje po nocach, to by dopiero zrozumiał, o czym mowa.

— A cóż się takiego dzieje?

— Niby to łatwo wyłuszczyć wszystko!...

— Że te wojska nachodzą?

— To swoją drogą... Ale z drugiej strony...



— Cóż takiego?

— Pan widział, jaki tu jest duży dom?

— Rzuciłem okiem, ale wczoraj trudno mi było cokolwiek dokładnie zauważyć.

— Jest tu osiemnaście pokoi. Jedne duże, drugie małe. W tej liczbie trzy salony. Jeden, największy, przez całą szerokość dworu w tamtej, murowanej części, co na końcu. I na to wszystko — ja jedna.

— Boi się pani?

— Panu łatwo się nie bać jako mężczyźnie. Przy tym nie wie pan wszystkiego...

— A coż jeszcze należy wiedzieć, żeby się bać należycie?

— Proszę pana, to jest taka rzecz... — mówiła przysuwając swe krzesło do łóżka i zniżając głos aż do szeptu:

— Mieszkało tu dawniej, po rewolucji dwu braci Rudeckich. Obydwaj gospodarowali na spółkę, bo to było dziewięć folwarków, gorzelnia, tartaki, stadnina, obory — no, słowem duże gospodarstwo. Starszy brat, co już nie żyje, Dominik, służył dawniej w wojsku. Muszę to panu powiedzieć, że on to samo kochał się w wujence, zanim wyszła za mąż za tego wuja, co żyje i teraz jest w więzieniu, za Pawła.

Nieboszczyk wuj Dominik zarządzał gorzelnią, koźmi, młynami, lasem, tartakiem, całą fabryką. Wuj Paweł rządził folwarkami. Tak tu razem mieszkali. Wuj Dominik zawsze na tamtej stronie, sam, bo się z wujem Pawłem ciągle sprzeczali o pieniądze i o wszystko. Tam u siebie jadał. Posyłało mu się obiady na drugą stronę. Powiadał raz jednemu panu, to samo z rewolucji, mój tatko, że wuj Dominik zawsze się kochał w wujence i miał wielki żal do brata, że go ubiegł. Podobno z tego zdziwaczał. Nic, tylko konie, psy, charty, ogary. Ciągle polował, strzelał do celu z fuzji i pistoletów. Raz się pokłócili z wujem Pawłem o gorzelnię. Wuj Paweł udowodnił, że podobno gorzelnia źle idzie i małe daje dochody, że folwarki niszczejają przez tę gorzelnię. Wtedy wuj Dominik gorzelnię skasował, zamknął, służbę rozpędził, a wszystkie kufy, wielkie beczki, kadzie obite żelaznymi obręczami kazał z gorzelni przenieść do największego salonu obok swojego pokoju i tam je rzędem poustawiał. Meble z tego salonu wynieśli, a gorzelnię zamienili na składy drzewa i desek. Do tej pory wszystkie te kadzie w wielkim salonie stoją. No, a jednego wieczora — niech pan sobie wyobrazi — ten wuj Dominik w ostatnim pokoju za wielkim salonem, gdzie mieszkał, przywiązał nabitą fuzję do drzwi, usiadł naprzeciwko lufy i nogą pociągnął za cyngiel. Zabił się.

— Dawno to było?

— Z dziesięć lat temu. Ja wtedy byłam u zakonnicy. Mój panie, ale to dopiero początek!

— Ta śmierć?

— A tak. Zrazu nic. Odwołali tego wuja Dominika, nagrobek mu wystawili na cmentarzu naszego kościoła, msze kazali odprawiać za jego duszę. A tymczasem...

— Co pani jest? Czego się pani tak boi?

— A bo on ciągle chodzi po domu...

— Co też pani mówi?

— No, mówię, i wszyscy to samo potwierdzają. O tym wie caluteńka okolica.

— Śmiejmy się z tego!...

— Pan się pośmieje, jak sam usłyszy.

— Cóż ja mogę usłyszeć?

— Kto tylko tu był, wszyscy to samo potwierdzają, co on wyprawia. Niech pan posłucha. Bierze te wielkie kadzie, okute żelaznymi obręczami, podnosi, jak garncowe baryłki i ciska spod sufitu na posadzkę. Kadź odbija się od podłogi, podskakuje raz, drugi, trzeci, czwarty. Słychać najwyraźniej: — buch — buch — buch — buch... Potem drugą — to samo. Trzecią — to samo. I tak będzie z dziesięć, z piętnaście razy powtarzał.

— No, a chodził ktokolwiek patrzyć, jak też to on robi?

— Ba! Chodzili ze świecami, ze służbą, całym dworem. Chodzili i z księdzem proboszczem i z jednym tu świątobliwym zakonikiem z miechowskiego. Wszyscy słyszeli najwyraźniej, jak kadzie ciskał, idą ze świecami całą gromadą, wchodzi do wielkiego salonu... Kadzie stoją rzędem, jedna obok drugiej, jak stały. Pajęczyny wiszą od jednej do drugiej, pozaciągane Bóg wie kiedy, kurzem grubym przywalone, jak były przed laty.

— A no, więc widzi pani, że to złudzenie.

— Złudzenie! Kto tylko nocuje tutaj, najprzód tak mówi, jak pan teraz, a później drży ze strachu. Księża święcili kufy.

— A pani słyszała?

— Ja bym nie słyszała! Ze dwadzieścia razy. Czasem, jak zacznie używać, to caluteńki dom się wzdryga. Ale czyż to tylko? On chodzi po domu! Wszyscy go widują. W tabaczkowym rajtroku z rogowymi guzikami, w obcisłym ubraniu ze strzemiączkami. Raz o zmroku przeszedł koło wujenki tak blisko, że się tylne rogowe guziki tego rajtroka otarły o karbowaną listwę szafy, najwyraźniej, ale najwyraźniej. Wujenka zemdląca.

— Chciałbym wierzyć, bo to pani mówi, a nie mogę.

— No, to ja panu opowiem najlepszą rzecz. Wujostwo sporo dawali księżom, żeby się msze wciąż odprawiały za spokój duszy wuja Dominika. Ksiądz proboszcz, przecie starszy człowiek, świątły kapłan, sam nam to opowiadał, a ręce mu się trzęsły z przerażenia. Mówił ksiądz proboszcz, że siedzieli jednej nocy z wikarym na probostwie, w dużym pokoju i naradzali się, jakie msze mają nazajutrz odprawiać. A że było dużo wotyw zamówionych, więc choć wypadała msza żałobna za wuja Dominika, postanowili ją odłożyć na kiedy indziej. I ksiądz proboszcz wyznał, że obaj z wikarym dopuścili się grzechu, bo mówili pomiędzy sobą, że tyle się mszy za tego samobójcę odprawia, a są przecie i inne dusze pomocy potrzebujące. Zresztą, mówił ksiądz proboszcz, państwo Rudeccy jakoś czy przepomnieli, czy zaniedbali złożyć w tym czasie na tę mszę. I tak oto naradzali się proboszcz z wikarym, żeby może nazajutrz mszy za wuja Dominika nie odprawiać, a odłożyć ją na późniejszy czas. Wikary wziął pióro i miał pisać w księdze, za kogo nabożeństwo odprawiać się będzie. Żywej duszy w pokoju nie było, tylko oni dwaj. Świeca się między nimi na stole paliła. Gdy wikary pierwszą literę jakiegoś nazwiska wypisał, padł na stół z głośnym dźwiękiem dukat złoty, jakby zleciał z sufitu, zakręcił się, zawirował między nimi dwoma i spoczął w blasku świecy między rękoma tych księży. Tak to im po swojemu, szyderczo zapłacił. Mówił ksiądz proboszcz, że się obydwaj strasznie przerazili. Odnieśli ten dukat natychmiast do kościoła, złożyli go na ołtarzu jako wotum i krzyżem leżeli pod lampą, w nocy, modląc się żarliwie o spokój duszy Dominika. Na drugi dzień obydwaj odprawili msze żałobne.

— Dziwne rzeczy... A pani w tym czasie, gdy tu sama jedna została, doświadcza jakich przestraszów w tym domu?

— Nie. Teraz jakoś przycichł. Nie rzuca beczkami i nie trzaska jak zwykle. Raz tylko, ale tego nie będę mówić.

— Nie trzeba. Proszę zapomnieć...

— Niech pan tylko pomyśli. Tu przychodzą wojskowi, rewidują dom, krzyczą, hałasują, straszą. A gdy nareszcie odejdą i można by lżej odetchnąć, to zostaję sama jedna i poczynam lękać się tamtego. Teraz, gdy pan się zjawiał, już się nic a nic nie boję. To jest boję się, ale tylko wojska. Lecz to przynajmniej z ludźmi sprawa...

— Z ludźmi? Doprawdy?

— Można się bronić, nie dawać zębami i pazurami, wreszcie umrzeć — ale z takim!

— Dzisiaj się pani nie bała?

— Nic a nic! Spałam jak zabita, choć ja śpię bardzo czujnie i jak tylko Ryfka zastuka, natychmiast usłyszę.

— A gdzie pani śpi?

Panna Salomea zawstydziała się, zaczerwieniła wszystko, mówiąc:

— Tu śpię w drugim pokoju.

— Gdzie?

— W salonie.

— W tamtym zimnym salonie?

— Siennik sobie przyciągnęłam pod pańskie drzwi, to ciepło z pokoju szło, no i tak śpię. Bo, widzi pan, muszę być w pobliżu okna, żeby słyszeć, jak Ryfka stuknie w szybę.

### III

Przewidywanie bezwzględnie niepomyślnych następstw w razie, gdyby rannego znaleziono w domu, zmusiło pannę Salomee do szukania kryjówki dla pupila. Po długich ze Szczepanem naradach zgodzono się na pewne zabezpieczenie. Ze spalonych dawniej zabudowań została oprócz stajni fornalskiej na uboczu stojąca stodoła, pełna zeszlorocznego siana, które ocalało wobec wyniszczenia i rozkradzenia inwentarza. Jedno zapole tej stodoły pełne było siana aż po wiązania krokwi. Tam Szczepan krył swój worek z kaszą. Tam również postanowił przechowywać w nagłym razie powstańca. W głębi zapola, od szczytu poczynając, wybrał i wydrążył w sianie rodzaj studni na jakie siedem, osiem łokci głębokiej. Ponieważ to siano było dobrze w ciągu jesieni i zimy uležałe i spodem tego zbite, studnia owa miała ściany twarde i trzymające doskonale linię jak cembrowina. Na samym jej dnie wyborował nadto dla oddechu rodzaj leja prowadzącego w stronę otwartej ściany zapola. W ruinach gorzelni wynalazł dawne, okute drzwi, które w czasie pożaru opaliły się na rogach i miały kształt eliptyczny. Tą pokrywą — wybrawszy dla niej w sianie odpowiednią do wielkości framugę — nakrywał studnię niby wiekiem. Na wierzch drzwi kładł znowu warstwy siana, co zasłaniało kryjówkę nie do poznania. Jednocześnie pomyślano o przypuszczalnym ubraniu chorego. Wynaleziono w szafach podróżne futro pana Rudeckiego, grube i długie niedźwiedzie oraz buty futrzane. Trzymano to pod ręką wraz z dwoma nowymi postronkami znacznej długości.

Panna Salomea sypiała początkowo w zimnym salonie przytykającym do jej dawnej alkowy, a obecnie legowiska chorego. Ale obawa, żeby nie przespać ostrzegawczego sygnału, zmuszała ją do trzymania otworem drzwi do tej alkowy, gdzie było właśnie umówione okno. Nadto w owej nieopalanej sali było nieznośne zimno, co śpiącej na

sienniku, rozciągniętym na podłodze, szczególnie dawało się we znaki. Opalać sali nie było sposobu, bo Szczepan rąbał już od dawna płoty ogrodu i całego obejścia, a i tego ledwie starczyło pod komin w kuchni i do pieca sypialnej izdebki. Nie było tedy rady... Panna Salomea, zwana w rodzinie i przez wszystkich Mija — musiała przenieść się na noc do swego dawnego pokoiku, czyli do sypialni księcia. Tu na sofce, na pół tylko rozbierając się z sukien, okryta futrem niedźwiedzim drzemała przy chorym. Codziennie, gdy wypadało iść na spoczynek, wstyd ją ogniem oblewał i lęk o złe posądzenia chwycił za gardło. Trwoga przed zdradzeniem się z bytności w domu tego człowieka zmuszała do pominięcia takich względów. Gdy trzecią noc na pół śpiąc spędzała przy chorym, który bredził w gorączce, jęczał i stękał — nagle rozległy się cztery uderzenia w okiennicę. Później jeszcze raz cztery... Stukanie było gwałtowne i szybkie. Panna Mija zerwała się momentalnie na równe nogi — w skok przebiegła sionkę, dzielącą alkowę od kuchni i zbudziła kucharza. Stary natychmiast przydreptał, mrużąc po swojemu. Krzyknęła mu do ucha, że idą i co tchu zabrała się do ubierania Odrowąża. Wciągnięto mu na nogi grube dolne ubranie i futrzane buty, odziano go w szubę niedźwiedzią — pod kolana i pod pachy zarzucono pętle z postronków, a mocny starzec podsadził się pod ten ciężar, jak pod wór ze zbożem. Panna Mija zadała mu brzemień na plecy, otworzyła kluczem wyjście z sionki na tylny ogród i zamknęła drzwi na nowo. Stary Szczepan brnął w górę po śniegu, sapiąc i stękając pod nadmiernym ciężarem. Przydźwigawszy rannego do stodoły, bocznym, przygotowanym zawczasu wejściem po pochyłości siana w zapolu w gramolił się na wierzch stosu, wynalazł omackiem zapadnię, nakrytą drewnianym wiekiem i, nakazawszy księciu grobowe milczenie, zabrał się do dzieła. Odwalił wieko, ujął w lewą i prawą rękę końce postronków i począł ostrożnie spuszczać rannego w ciemny otwór. Umieściwszy go na dnie, przywiązał końce obydwu sznurów do ocalałego skobla drzwi, zamknął otwór i zawlókł, zatatral deskę sianem. Udeptał to miejsce starannie, zsunął się chyżo na dół, zamknął na klucz szopę i prędko wrócił do dworu. Po ciemku minął kuchnię, sionkę i stanął w sypialni. Pierwszą jego myślą było to, żeby przesłać łóżko powstańca. Już nad tym panna Mija pracowała. Poduszka była w wielu miejscach pokrwawiona od ran, które wciąż jeszcze broczyły i przemaczały nieumiejętnie założone bandaże. To samo było z kołdrą i materacem. Pośpiesznie zmieniali obydwójce poszewki i kładli czyste prześcieradła. Właśnie kończyli tę czynność, gdy za ścianami domu dał się słyszeć tętent koni, łoskot licznych, miarowych kroków, a gwar rozmów ze wszech stron dwór osaczył. Wnet na obydwu gankach rozległy się uderzenia we drzwi, kołatanie kolbami

w pozawierane okiennice i krzyki na całe gardło, żeby otwierać. Szczepan nie od razu poszedł spełnić ten rozkaz. Wyniósł przede wszystkim po ciemku skrwawione powłoczki oraz prześcieradła i ukrył je w jakichś niedostępnych kryjówkach chlebowego pieca, gdzie by ich sam diabeł nie odnalazł. Dopiero gdy już łomotanie we wszystkie drzwi i okiennice było tego rodzaju, że groziło wyrwaniem ich z zawias, poszedł na ganek główny i drzwi wejściowe otworzył. Dostał tam zaraz odpowiedni poczęstunek. Panna Salomea zapaliła swoją latarnię i czekała w zimnym salonie.

Drzwi się z trzaskiem otwarły i wtargnęła cała grupa oficerów w kąpi na głowach obwiązanych baszłykami, w grubych butach i zimowych szynelach, na których połyskiwały pasy od szabli i ładunków. Na czele oficerów szedł ich zwierzchnik, major czy podpułkownik, człowiek starszy wiekiem, z siwymi wąsami i bokobrodami. Wkroczywszy do dużego pokoju, oficerowie skierowali się do panny Salomei i otoczyli ją kołem. Starszy łamaną polszczyzną zapytał :

— Kto pani jesteś?

— Krewna gospodarzy tego dworu.

— A sami gospodarze gdzie są?

— Pan Rudecki, mój opiekun, jest w mieście podobno w więzieniu, a jego żona pojechała, żeby się starać o uwolnienie męża.

— A synowie ich gdzie są?

— Jedni są w szkołach...

— Gdzież to? W jakich szkołach?

— W Krakowie.

— A inni?

— Inni powyjeżdżali i nie wiem, gdzie są.

— To pani nie wiesz, gdzie oni są?

— Nie wiem.

— Panna sama jak się nazywasz?

— Brynicka Salomea.

— To ojciec pani był tu rządcą majątku?

— Tak.

— A on gdzie jest?

— Wyjechał.

— Dokądże to „wyjechał”?

— Nie wiem. Konie tu wszystkie porozkradali, cugowe i fornalskie, to tatko pojechał pewnie szukać tych koni. Podobno aż pod pruską granicę pognali złodzieje na tych koniach.

— Pod pruską granicę — proszę... Dawno też tak już pojechał „tatko” tych koni szukać?

— Już dosyć dawno.

— To jest ile tygodni?

— Nie pamiętam, cztery czy pięć...

— Pilnie tych koni skradzionych szuka. No, a my znowu ze swej strony dokładnie wiemy, że tatko nie jest tak daleko. Wiemy także, że pani we dworze powstańca ukrywasz. Kto to jest ten powstaniec? To ojciec pani?

— Tu we dworze nie ma żadnego człowieka, oprócz mnie i tego oto starego kucharza, Szczepana Podkurka.

— Zobaczymy. A ja pannie radzę przyznać się, gdzie ten buntownik jest, miejsce jego kryjówki dobrowolnie pokazać. Ja stary człowiek jestem, bez winy karać nie lubię, a znajdę rannego — i jemu, i pani źle będzie! Wtedy już pobleżać nie będę. Więc jak?

— Nie ma tu nigdzie żadnego rannego. Proszę szukać.

— Panna mnie nie proś, bo ja sam każę. A radzę jeszcze raz kryjówkę pokazać. Mam wiadomość pewną i dokładną. Tu wszedł na gumno parę dni temu człowiek poraniony, cała wieś go widziała, a nie wyszedł stąd. Gdzie on jest?

— Może wszedł, bo tu przecie nie mało ludzi się przewija. Płoty porozgradzane, budynki spalone. Gdzie tu kto może co wiedzieć?

— Więc panna nie pokażesz kryjówki?

— Nie pokażę, bo nie wiem, gdzie on tam jest. Tu w domu nie ma nikogo.

Major skinął na podoficera stojącego przy drzwiach i do pokoju wnet weszło grono żołnierzy z latarniami. Jedni z nich natychmiast zaczęli spoglądać pod kanapy, do szaf, za piece i na piece, a inni ruszyli do izb sąsiednich, przesuważąc z miejsc sprzęty, przewracając graty, stukając w ściany i podłogi. Dwaj młodszy oficerowie zwrócili się do panny Salomei z żądaniem, ażeby im otworzono zamknięte na klucz drzwi do wielkiego salonu. Młoda gospodyni kazała Szczepanowi przynieść klucz i otworzyć. Stary poszedł do sąsiednich izb i tak długo szukał owego klucza, że to wzbudziło podejrzenia i rozпалиło pożądlivość. Gdy nareszcie przyszedł z kluczem, podał go jednemu z oficerów. Ten wrzasnął nań z okrucieństwem:

— Kpie jeden, ruszaj otwierać!

Starzec nie drgnął nawet. Stał na miejscu. Z daleka podając klucz, mówił:

— Ja nie będę otwierał tych drzwi, ani tam nie pójde.

— Ty! Jak śmiesz! Otwieraj natychmiast!

— Nie otworzę. Sami otwierajcie.

— Dlaczegoż to, kochanku, nie chcesz nam tych drzwi otworzyć? — słodko zapytał major.

— Dlatego, że nie moja rzecz tam chodzić.

— Czemu?

— To panów pokój...

— Jak to panów?

— Nieboszczyka pana, Panie mu ta świeć... Chcecie, to idźcie, a ja nie pójde.

— Dlaczego?

— Bo nieboszczyk pan nie lubi, żeby mu ta łazić i spokój zamącać... — mruknął kucharz.

— Co wygadujesz, stary grzybie?

— Prawdę gadam.

— Co to takiego? Czemu on nie chce wejść do tamtego pokoju? — zapytał major zwracając się do panny Brynickiej.

— Mówi prawdę... — mruknęła niechętnie.

— Jak to?

— W tamtych pokojach jeszcze mieszka dawno zmarły brat pana Rudeckiego, Dominik.

Oficerowie zachichotali. Major spytał:

— A i pani widziała to może, jak tam mieszka ów zmarły?

— Widzieć nie widziałam, alem słyszała, jak tam u siebie gospodaruje, chodzi, trzaska, przerzuca beczki z miejsca na miejsce...

Oficerowie spojrzeli po sobie, porozumiewając się oczyma, że tu leży wybieg. Któryś z nich popchnął Szczepana Podkurka, żeby szedł przodem i świecił latarnią. Ale kucharz szarpnął się i cofnął, mówiąc:

— Niechże se też jaśnie państwo samo idzie...

— Milcz i — naprzód!

— Przyszliście i pójdziecie, a ja tu muszę z nim ostać...

— Z kim, durniu?

— Z panem, z Dominikiem.



- Toś go znał?
- Jużci, żem go znał, bo to mój pan.
- Przecie już nie żyje!
- Ja nie głupi jemu się przeciwic...

Przekręcono klucz w zamku i otwarto drzwi do wielkiego salonu. Drzwi te ustąpiły z trudem, ze zgrzytem i trzaskaniem pokostu, który z podłogi przywarł do powierzchni dolnych listw i na stałe zasechł. Z sali wionęła wilgoć i zimno pustki. Gdy wzniesiono latarnie i oświetlono tę wielką salę, ukazały się oczom oficerów kadzie okute obręczami, kufy z wielkich klepek, beczki i baryłki rzędem stojące. Między nimi wisiały stare pajęczyny, na których grubą warstwą kurz osiadł. Posadzka była wywoskowana i lśniaca. Polyskiwały złocone gzymsy stiuku, a pośrodku sufitu zamajaczał wyblakły plafon. Na jednej ze ścian wisiał portret mężczyzny o rysach surowych i pięknych, o złośliwym uśmiechu. Oprócz tego malowidła nie było tu nic z dawnego salonu — ani mebli, ani sprzętów. Kadzie, rzędem stojące w tym miejscu, sprawiały na widzach wrażenie dzikości i obłędu. Oficerowie zbliżyli się do nich, zaglądali w głąb każdej, świecąc latarniami, czy gdzie powstaniec na dnie się nie ukrywa. Ale po najszczegółowszym zbadaniu przekonali się, że te wszystkie naczynia są puste. Otwarli tedy jeszcze jedne drzwi, z tego salonu prowadzące do pokoju, gdzie mieszkał i odebrał sobie życie Dominik Rudecki. Tam oczom obcych przychodniów przedstawił się widok jeszcze bardziej przykry. Był to długi i pusty pokój z zapuszczonymi roletami. Kilka krzeseł wyplatanych stało tam i sam. Na ziemi poniewierały się jakieś stargane papiery. Szczepan, którego siłą do tych izb wprowadzono i wypchnięto naprzód, ażeby świecił, drżał na całym ciele, żegnał się, rzucając oczyma po kątach. Zbadawszy szczegółowo podłogę, ściany, okna i drzwi, po stwierdzeniu, że nie ma stamtąd wyjścia, ani drzwi ukrytych, oficerowie zabrali się do odwrotu. Te pokoje sprawiły na nich niemiłe wrażenie. Zimny dreszcz wszystkich obleciał. Nie można powiedzieć, żeby się czegokolwiek lękali, lecz poczuli szczególniejszy, odrażający niepokój. Zdawało się w istocie, że w tych dwu salonach, które od całego szeregu lat były na głucho zamknięte, ktoś stoi naprzeciwko przybywających gości i ze straszliwie szyderczą wyniosłością przyjmuje ich w tych ścianach. Oficerowie z wolna, żeby trwogi nie okazywać, opuszczali duży salon — latarnie wyniesiono — drzwi znowu na klucz zamknięto. Wtedy dopiero wszyscy uczyli, że „tamta strona” jest to w istocie miejsce obrzydłe i zrozumieli, że tam mieszkać nie sposób.

Tym pilniej zaczęto rewidować pokoje zamieszkane, aczkolwiek w danej chwili zupełnie puste. Przetrzęsnięto wszystko, przewrócono na nice — i nie trafiono na nic podejrzanego. Szczególniej badawczo oglądano pokój panny Salomei. Mebli tam było niewiele, więc ze zdwojoną uwagą ręce żołnierskie rozbierały łóżko i wywracały sofkę. Miano już w braku jakichkolwiek danych przejść do kuchni, spiżarni, a także do przyległych bokówek — aliści jeden z rewidujących spostrzegł na odwrocie materaca ślady krwi. Dał o tym znać dowódcy i jego podwładnym. Starszyzna zeszła do sypialni i oglądała z uwagą ów materac. Panna Brynicka stała w sąsiedztwie swej pościeli, otoczona przez oficerów, którzy jej się przyglądali ze śmiechem i brutalną bezwzględnością. Na zapytanie majora, co znaczy ta krew na materacu — milczała. Twarz jej była blada, oczy spuszczone na ziemię. W zaciśnięciu jej ust, w rozpostarciu się królewskich brwi, w opadłych na oczy powiekach było tyle odpychającej dumy i obojętności, że to wojskowych podburzało do zemsty.

— Co znaczą te ślady krwi? — nastawał major.

Milczała.

— Skąd się tu wzięła krew na tym materacu?

Milczała.

— Czy pani powiesz, co to znaczy?

Milczała.

— Co to jest? — krzyknął jeden z oficerów, podsuwając jej pod oczy zakrwawiony materac.

— To jest ślad krwi — odpowiedziała spokojnie.

— Czyjej?

— Mojej.

Powiedziawszy to słowo męczeńskie i bohaterskie — zdobywszy się wobec tych wszystkich mężczyzn noszących oręż na najwyższe dziewicze poświęcenie, spłonęła nagle od pożaru wszystkiej krwi, która w jej żyłach pędziła. Zdawało się, że ją krew ta zaleje i że ją wstyd udusi. Oficerowie pomrukiwali z chichotem, szturchając się i szepcząc pomiędzy sobą dowcipne komentarze. Panna Salomea uspokoiła się. Cierpliwie słuchała przyciszonych szyderstw, drwin i kpiarskich pokasywań. W pewnej chwili podniosła oczy i objęła ich wszystkich jednym spojrzeniem bezgranicznej wzgardy. W spojrzeniu tym błysnęła sobie samej wiadoma, zamknięta w milczeniu myśl, że wśród nich wszystkich ona jedna, wyśmiana kobieta, jest w istocie oficerem. Stary major, ojciec licznej rodziny, dorosłych córek, od dawien dawna w Polsce mieszkający, począł

się drapać po bokobrodach i coś zagadał do swych subalternów. Rewidującemu podoficerowi rozkazał:

— No, szukać tam dalej! Marsz! Tu nic ciekawego nie ma.

Sam wyszedł do sąsiedniego pokoju. Tam oficerowie — jedni na kanapie, inni na sofie, a reszta wprost na dywanie podłogi rozciągnięci w ubraniach — pociągali z manierek.

W drugim skrzydle dworu, w kuchni i spiżarni, w składach i drwalniach odbywała się rewizja. Nadszedł podoficer i zameldował, że we dworze nic podejrzanego nie znaleziono. W spiżarni nie ma ani kawałka chleba, ani szczypty mąki. Oficerowie kleli i stękali.

Panna Salomea pozostała w pokoiku sama, w głębokim pogrążona zamyśleniu. Obok niej na stole płonęła latarnia, oświetlająca twarz i postać. Wojownicy zgromadzeni w salonie patrzeli ze swych miejsc na pannę Miję i nie mogli oderwać od niej oczu. Pewien chudy, kościsty blondyn z długimi wąsami leżąc na dywanie potrzącił nogą towarzysza i szepnął z westchnieniem:

— Ależ dziewczka!

— Krasawica... — zgodził się tamten.

— Raskrasawica! — dorzucił trzeci niepytany.

Po chwili znów rozszerzył się między nimi szept:

— Ależ dziewczyna!

Major, stękający na najszerszej sofie, mruknął do zachwyconych:

— No, panowie, dajcie no pokój tym szeptom. Spać trzeba, nie szeptać...

— Spać tu trudno...

— Zamknąć oczy i spać...

— I oczy zamknąć trudno.

— No, nic z tego, nic z tego.

— My też tylko platonicznie wzdychamy.

— A platonicznie wzdychać można, byle po cichu i każdy na swym poślaniu... Ja bym się choć z kwadrans rad zdrzemnąć.

Oficer jazdy, dragon jak topola, nazwiskiem Wiesnycyn, wszedł ze dworu z doniesieniem, że polecił pilnie zrewidować stodołę, gdzie jest zapole pełne siana — oraz, że tam wprowadzone zostały wszystkie konie jego oddziału. Raportował nadto, że żołnierze półszwadronu dragońskiego ułożyli się do snu pokotem na sianie — że warty są daleko porozstawiane i wszystko w porządku. Major podziękował jeźdźcowi za

wypełnienie ściśle rozporządzeń, tudzież za raport — przekreślił się na bok i zabrał do snu. Panna Salomea słyszała ów raport i rozważała w myślach jego sens i znaczenie. Serce w niej zadrżało i obumarło. W ciemnym rogu salonu przysiadł na wolnym stołku wysoki dragoński oficer, Wiesnycyn. Patrzał w oświetlone drzwi pokoju i na stojącą w głębi dziewczynę. Doświadczał zarazem szczęścia i męczarni. O takiej chwili widzenia tej istoty marzył w szarugi, podczas zimnych pochodów po lasach i ciągnąc zapadłymi drożynami. Była w nim ta twarz, ta postać jak czarodziejskie widziadło, nieprawda marzeń, żądza i zemdlenie — rozkosz — pasja — tęsknota... Raz ją był ujrzał, krasawicę, gdy tymi stronami ciągnął jednego z pierwszych dni po wybuchu powstania. Zapamiętał od pierwszego spojrzenia, zachwyił się raz na zawsze. Coś w nim rozegrało się, jakoby głos niewiadomej, niesłychanej muzyki od wspomnienia tej twarzy. Tęsknił za nią dzień i noc. Och, jakże straszliwie pragnął, żeby rozkazy pognały go w tę stronę, żeby jeszcze choć raz jeden w życiu iść na ten dwór! Zobaczyć, popatrzeć!... Tylko popatrzeć!... I oto los dał mu chwilę. Szczęście nie tylko pozwoliło tu przyjść, lecz nadto otwarło drzwi. Stała tam sama jedna, od wszystkich opuszczona. Burza wściekła huczała w duszy jeźdźca, gdy podparty na rękę patrzył...

Przy drzwiach prowadzących do sionki stał żołnierz z karabinem. Panna Salomea nie mogła iść do kuchni, żeby się ze Szczepanem naradzić. Usiadła tedy na łóżku i, podparłszy głowę na rękach, czekała. Serce jej targało się w piersiach jak dzwon. Zdawało się, że bicie usłyszą śpiący i że ten alarm serca wszystko wyda. Każdy odgłos i każdy szelest był zwiastunem nieszczęścia. Jakże nieskończenie długo trwały minuty tej nocy! Tymczasem Szczepan, którego pociągnięto, żeby pokazywał zabudowania, piwnicę w ogrodzie, ruiny gorzelni i doły po kopcach kartoflanych, asystował po zbadaniu całego obszaru przy czynnościach przygotowawczych do noclegu żołnierskiego w stodole. Patrzał, jak wprowadzano tam konie, jak wydzierano dla nich z zapola wielkie półkopy siana. Przysłuchiwał się głuchymi uszama... Żołnierze wdrapywali się na wierzchołek masy siana, a rozpostarli na nim szynele, walili się spać, zarówno w kątach, jak nad kryjówką powstańca. Zachodził w głowę, czy on żyje, czy już skapiał. W prostackiej szczeroci i bezwyjściu uczuć prosił Boga o to drugie. Powinien by był stać obok panny, gdyż była sama jedna wśród oficerów, lecz nie mógł odejść, ponieważ wachmistrz oddziału dragonów nie puszczał go na krok od siebie. Szczepan rozmyślał, co czynić, jeżeli stodołę podpalą — czy nie ma jakiego środka ratunku dla ukrytego „chudziaka”. Gruby, brodaty wachmistrz kazał mu nadrzeć siana i usłać łoże na klepisku stodoły. Stary kucharz pracował nasłuchując, o ile się to na co

zdać mogło przy jego głębokiej głuchocie. Umizgał się do wachmistrza, na wszystko się zgadzał, potakiwał i przytwierdzał, śmiał się doń, raz wraz wystawiając ku niemu dziurę w górnej szczęce. Wachmistrz poganiał go i niepobłaźliwie szturchał, ziewając na całą stodołę. Toteż starowina biegał to tu, to tam, znosił nowe wygraby siana, słał równo, układał coś w rodzaju poduszki pod głowę, a wciąż niewolniczo przymilał się potentatowi. Gdy ten runął wreszcie w szyneli i w butach na przygotowane legowisko, Szczepan przycupnął w kącie, zwinął się w kłębek i niepostrzeżony czekał, patrząc w grubą ciemność. Zapomnieli o nim. Rozlegało się ze wszech stron chrapanie żołnierzy. Parskały konie. Starzec począł ostrożnie i z wolna czołgać się w górę stosu siana, ku miejscu, gdzie była kryjówka. Czynił to umiejętnie, wymijając śpiących żołnierzy. Gdy się znalazł na miejscu wiadomym, gdzie bezpośrednio nikt nie leżał, zagrzebał się w siano i, przyłożywszy ucho do deski, słuchał z całej mocy zmysłu. Nie dochodził go z dołu odgłos, ni szmer. Nic. Szczęk kopyt końskich na klepisku, chrupanie siana, chrzęst żelastwa, strzemion i trzęzli, senny pomruk ludzki — i szum wewnętrzny, wieczysty starczej głuchoty, jakoby odgłos morza nieskończoności, który w sobie wszystko pochłania. Chłop westchnął. Żał mu było młodzieńca, przydźwiganego na to miejsce z takim trudem, w tym celu, żeby tu zginął. Żał mu było własnego dzieła, które tak dobrze, widziało się, obmyślił.

— A światłość wiekuista niechże mu ta świeci... — wzdychał, patrząc w mrok próżni, wygrzebanej własnymi rękoma, którą niemal widział pod sobą. Targały się w nim wszystkie siły i wytrwała, żelazna wola, żeby wieko odwalić i wyciągnąć nieszczęśliwego — lecz chłopski, przebiegły rozum zabraniał. Szczepan leżał na tym miejscu długo w martwej, bezsilnej męce, okrutniejszej niż wszelkie słowo. Krwawiło się w nim stare serce, z którego łyż wszystkie dawno już wyciekły.

Znowu na bałyku wyczołgał się ku pewnej dziurze w dachu, sobie tylko wiadomej — wysunął się na zewnątrz i po drabinie zlął na ziemię. Jak cień przemknął się ogrodem, po zastodolu, przez chwasty i rozgrodzone okólniki, w mroku obszedł warty i niby bezszelestny upiór wcisnął się do kuchni. Minął omackiem tę kuchnię i sionkę przyległą. Przez dziurę od klucza padał w ciemne przejście wytrysk światła. Szczepan przyłożył do otworu oko i zobaczył pannę Miję, siedzącą na łóżku z głową podpartą na ręce. Coś jak radosne szczekanie psa w ciemną noc rozległo się w ogłuchłym na wszystko, zestarzałym jestestwie, w mrocznym obszarze ducha, gdzie była tylko samotność i odraza. Tak już został za plecami żołdata, za drzwiami, z okiem przy dziurze od klucza, skulony, bezsenny pod progiem.

## IV

Wczesnym rankiem wojsko zebrało się i uformowane w szeregi odeszło. Padał rześisty deszcz ze śniegiem. Wył wiatr. Odchodzący byli źli, głodni, niewyspani i strudzeni, zanim ten nowy marsz rozpoczęli. Najpóźniej opuścił obejście w Niezdołach półszwadron konnicy, który był zajmował stodołę. Po odejściu wojska zostało w domu i na dziedzińcu mnóstwo odpadków, brudów i zaduchu. Panna Salomea, stojąc w ganku, patrzyła na szeregi żołnierzy zatapiające się w szarudze poranka. Trzęsło ją zimno wewnętrznie. Pragnęła co prędzej, co prędzej biec do stodoły i wyciągać rannego z kryjówki. Tymczasem Szczepan, zamiast iść do stodoły, wdrapał się po schodkach z kuchni prowadzących — na strych dworu. Pobiegła za nim. Stary wczołgał się w okienko dymnika i obserwował wojsko, niknące we mgle. Na prośby, żeby tym ostrożnościom dać pokój, odpowiadał pogardliwym milczeniem. Wtuliwszy się w tenże występ dymnika, patrzyła, zaciekawiona, co stary tyle ważnego w dali spostrzega. Nic nadzwyczajnego nie było widać. Piechota w postaci ciemnych kwadratowych brył posuwała się drogą przez łąki — zagłębiła w daleką wieś pod lasem — wreszcie znikła. Za nią w półwiorstowej odległości ciągnęła w tymże kierunku ruda grupa dragonów. Konie z jeźdźcami stopiły się w jednolitą masę uderzającego kształtu, który zdawał się rozdzierać szarugę. Panna Salomea oczyma zgasłymi od bezsenności przypatrywała się tej ciemnej figurze, gdy wtem kucharz trącił ją w ramię z pogardliwym chichotem. Zmrużonymi oczyma patrzył w przestrzeń i pokazywał tam coś palcem. Przyjrzała się temu i zobaczyła, że od owej bryły dragońskiej odpadł jak gdyby odszczep końcowy i przemierza szybko przestrzeń w odwrotnym kierunku.

— Co to znaczy? — zapytała.

— Chciały nas zmamić i chycić na gorąco. Chodźwa na dół, każde do swego miejsca.

— Myślicie, że się tu wrócą?

— No!

— Przecie już zrewidowali wszystko...

— Znam ja jeich manier. Chodźwa!

Zeszli na dół z pośpiechem. Szczepan udał się do kuchni, rozpałił ogień i począł spokojnie szorować garnki i sagany. Słysząc było odgłos jego miarowej, od niezliczonego szeregu lat tej samej pracy — i głos monotonnej, zgryźliwej śpiewki, którą zawsze mruczał, przedrzeźniając nieudolnie jakąś pańską melodię:

„U mojej mamy niebogi  
Pływają w zupie stonogi...”

Panna Salomeą przyczała się z „robótką” w ręku pod oknem dużego pokoju, gdzie poprzednio nocowali oficerowie. Nie siedziała tam kwadransa czasu, gdy za oknem rozległ się tętent koni pędzących galopem i osadzenie ich na miejscu. Oficer dragonów Wiesnicyn z trzaskiem roztworzył drzwi, przebiegł sień i stanął na progu pokoju. Roziskrzonymi oczyma mierzył samotną mieszkankę tego dworu. Wstała po jego wejściu ze swego miejsca i patrzyła weń z pogardliwym wyczekiwaniem. Nie zdjął czapki, ani nie rozwiązał końców swego baszłyka. Z butów i rzemiennych pasów jego uzbrojenia woda ściekała na podłogę. Kilku szeregowców weszło za nim do pokoju. Skinął, żeby przeszukali dwór. Żołnierze rozbiegli się po stancjach. Wiesnicyn został sam z panną. Patrzył na nią ze swym niesłabnącym, obłąkanym zachwytem. Mruknął z ruska po polsku:

— Pani nie spodziewała się takich gości...

Wzruszyła ramionami i nic nie odrzekła. To go zmieszało i obezwładniło. Nie wiedział, co mówić. Czekał na rezultat ponownej rewizji. Po pewnym czasie niezręcznie i niepotrzebnie mruknął w sensie tłumaczenia :

— Ja tu nie ze swej chęci... Rozkaz taki. Służba nie družba...

Nie zwróciła na to uwagi. Czując dobrze w spojrzeniu i ruchach tego oficera wrażenie swej piękności, uczyniła się świadomie, z umysłu stokroć piękniejszą i z całej mocy tego powabu, pewnego siebie, stworzyła sobie jakby puklerz obronny. Usiadła w rogu kanapy i poczęła obojętnie szyc nucąc półgłosem, jakby obok niej nikogo w pokoju nie było. Niedbale poziewała. Tarła zziębnięte ręce. Wyjrzała oknem. Oficer stał w tym samym miejscu, patrząc na nią oczyma, które zawlekło bielmo rozkoszy i żalu. Po pewnym czasie, gdy rewidujący żołnierze nie nadchodzili, spytała wyniośle:

— Czy to ja jestem aresztowana w tym pokoju?

— Nie.

— Zimno mi. Chcę sobie wziąć chustkę z tamtej stancji.

— Proszę.

— Może pan pośle żołdata, żeby patrzył, jak będę brała chustkę.

— Nie trzeba.

— Cóż za łaska!

Odeszła do swego pokoju i, siadłszy tam pod oknem, wyglądała na świat. Oficer przez otwarte drzwi wciąż na nią patrzył spode łba. Łagodny blask smutnego dnia spływał na jej czarne włosy, prosto przygładzone, świecące się jak migotliwy atlas — na szyję niepokalanie pięknego kształtu — na zaróżowioną barwę policzków — na zagięte długie brwi i pąsowe usta. Postać jej tworzyła obraz, którego widok doprowadzał zachwyty do szału. Każdy ruch jej głowy był kształtem, albo skinieniem doskonałości. Gdy westchnęła, nieopisany wyrzut uderzał w serce żołnierza. Skoro spojrzała pogardliwie, dosięgało uderzenie jak pocisk hańbiący. Świat, w którym błędziły jej myśli, przez który szła jej dusza — kraina, gdzie był jej smutek — to było olśniewające widzenie piękna, które się zawierało natychmiast. Oficer nie ruszył się z tego miejsca, na którym stanął. Gdy żołnierze jego wrócili z doniesieniem, że nic podejrzanego nie znaleźli — odwrócił się i, nie rzekłszy słowa, nie rzuciwszy okiem — wyszedł — wskoczył na siodło i odjechał na czele swego oddziału. Panna Salomea również nie odwróciła głowy. Płakała. Obfite, gorzkie łzy lały się z jej oczu na skutek odczucia nędzy, wśród której ciągle żyła. Przewidywała, że powstaniec ukryty w sianie zadusił się albo umarł z upływu krwi. Myślała o ojcu terającym się w obozowiskach — o chłopcach krewniakach, co tak straszliwie w zaraniu młodości poginęli — o wszystkich, którzy się z tego domu rozpięchli. Wspominała na niepokój i strach nocny, co czekał rozpostarty za mijającym dniem, co się rozciągał na nieprzeliczony szereg bezdennych nocy... Wpatrywała się w brutalstwo siły, której nic nie mogło złamać, której okrucieństwu nic nie mogło położyć tamy. Cóż począć, jeśli Szczepan ucieknie? Co począć, jeśli go powieszą po odnalezieniu powstańca? Co począć, gdy już nikt z krewnych nie wróci do tego przeklętego domu, gdzie rządzi sam jeden, tryumfujący Dominik? Zatargała nią głucha i ślepa boleść. Szarpnęła nią rozpacz, jak wichurę gałązką drzewiny. Nie chciało się już myśleć o niczym, żadnej roboty przedsiębrać, nic, co należy wykonać. Była od tyłu nocy niewyspana, przemęczona, wewnętrznie zziębnięta i pełna rozstroju. Łkała bez ulgi i bez nadziei pocieszenia, wisząc na poręczy łóżka.

Szczęknęła klamka. Wszedł stary. Spode łba spojrzał na płaczącą i coś po swojemu wybełkotał. Wzruszał ramionami.

- Trza będzie iść... Cóż ta z beków!
- Gdzie znowu iść?
- Po tamtego. Panna nie wie...
- Chodźmy!
- Ale! Trza jeszcze naglądać.



— Już trzeci raz nie wróca.

— Czort ich ta wie, czy gdzie podglądacza nie zostawiły.

— Będziemy uważać.

— To niechże panna Samoleja, zamiast buceć po próżnicy, wyjdzie oto za dwór i pochodzi se ogrodem to tu, to tam. A patrzeć, czy gdzie jakiego nie ma. Może taki i na górze w krzakach siedzieć i dopiero patrzeć.

— Pójdę na tę górę!

— To jest dobre. Ino iść z nieobaczka, tak se ta. Postać, popatrzeć — i znowuj na inne miejsce. Z góry dobrze naglądać, co jest w okolicy. Jak by się zaś gdzie kto wałęsał, dać mi znać w te pędy.

— Dobrze — idę.

Wymknęła się za dwór i spacerowała, jak Szczepan kazał. Weszła powoli na górę, jałowcem i chrustami zarosłą, która wznosiła się tuż za ogrodem. Śnieg tam leżał, od deszczu przemoknięty. Tulił się w dołach i w głębi kęp zarośli. Och, jakże odrażające było to miejsce, widziane z góry! Spalone budynki, rozerwane płoty, wyrąbany i na pół zwęglony ogród... Pustkowie... Opuszczony, czarny, jak gdyby hańbą przyciśnięty stary dwór... To są Niezdoły, gdzie przez tyle lat bawiła się cała okolica, gdzie hulano do białego dnia, przez następny po balu — i znowu w nocy, co się zowie do upadłego...

Rozpatrując się po okolicy, panna Mija nie dostrzegła nikogo. Ani jeden człowiek nie poruszał się w tym obszarze. Wojsko dawno w lasach znikło. Zaczajona między krzakami patrzyła pilnie. Nareszcie!... Szczepan wyszedł z kuchni i ruszył nad rzekę. Czaił się za ogrodem, wałęsał poza gorzelnią, nawracał. Wreszcie, dobrze opatrzywszy miejsce, szybko wszedł do stodoły. Mijały długie minuty. Serce poczęło bić w piersiach panny Salomei. Zdawało się jej, że upłynęły godziny, odkąd starzec otworzył wrótnię... Nie mogła wytrzymać. Chyłkiem zbiegła z owej góry — przebyła ogród i dziedziniec... Wsunęła się do stodoły, wdrapała na siano. Wbrew oczekiwaniu Szczepan nie powitał jej złorzeczeniem. Odwalił był już wieko znad studni w sianie i wyciągał chorego. Nie mógł mu dać rady. Co go wydostał na połowę wysokości dołu, to się pośliznął w sianie, padał na wznak, a z nim razem Odrowąż w swój grób. Ranny jęczał w ciemnicy. Usłyszawszy ten jęk, obydwójce uradowali się bardzo i podwoili wysiłek. Szczepan polecił pannie Salomei zarzucić koniec jednej z linek na ramię i ciągnąć. Sam ujął drugą i przerzucił ją także przez ramię. Poczęli obydwójce odsuwać się we dwie strony od dołu, ciągnąc postronki z całej mocy. W taki sposób wydobyli na wierzch nieszczęśliwego. Dostawszy go na powierzchnię, zbadali, że żył jeszcze, aczkolwiek był bezsilny i na pół

uduszony. Szczepan rozkazał pannie znowu iść na górę i obserwować teren. Sam wytoczył z drugiego zapola stodoły ręczny wózek do ściągania drzewa. Zniósł na ten wózek chorego, przykrył go sianem, nawalił na wierzch suchej podściółki i gałęzi z opróżnionego kąta stodoły — i potoczył wózek do kuchni. Tam chorego rozebrał z futra i butów — oczyścił, otrzepał, zaniósł i położył do łóżka.

Gdy panna Salomea wróciła do domu, zastała już swego protegowanego w pościeli. Był nieprzytomny, jakoś nadmiernie czerwony i opuchły. Oczy miał błędne i przekrwione — twarz zsiniała. Rany pootwierały się i przemoczyły bandaże tak dalece, że trzeba było na pościel położyć grube zgrzebne płachty, aby powtórnie nie mieć w krwistych plamach świadectwa przeciwko sobie. Panna Salomea zabrała się do zmiany bandażu i przewinięcia ran. Pasma pousuwały się z miejsca i rany były obnażone. Opatrując je na nowo, doświadczyła szczególnego wrażenia, jakie jej się nigdy jeszcze nie przytrafiło w życiu. Oto każdą ranę poczęła mieć w swym jestestwie i nie tylko ją widzieć, ale i czuć — cierpieć w sobie tam, gdzie była w ciele chorego. W głowie, pod okiem, w ramionach, między żebrami i w prawym biodrze wynikły jak gdyby stygmaty, sobowtóry i żywe wizerunki zranień. Poczęła, opatrując rozdarcia i urazy, ciosy i uderzenia — wwiadywać się w nie, rozumieć je i pojmować w całości przedziwne, wzniosłe ich życie. Bez odrazy patrzyła na krew broczącą i żywe, poszarpane ciało. Gdy skończyła opatrunek, już zbliżał się zimowy wieczór. Chory usnął w głębokiej gorączce.

Przypadła na sofce i sama usnęła jak kamień. Jakże się uczuła szczęśliwą, gdy po ocknieniu zobaczyła promienny dzień! Minęła tedy noc bez rewizji i bez zmor, przespana jednym tchem, szczęśliwie od początku do końca. Kanarek, jedyny przyjaciel, zaśpiewywał się we framudze okiennej na widok tak pięknego słońca. Kanarek ów nosił, nie wiadomo dlaczego, tajemnicze nazwisko — Pupinetti. Miał na głowie czarną krymkę, czy piuskę z ciemnych piórek, aczkolwiek sam był nieposzlakowanej żółtości. Panna Mija przywitała się z nim serdecznie, wołając nań ustalonym od dawna okrzykiem, który się między ich zażyłość nie wiedzieć skąd i jak zaplątał:

— A bas la calotte!

Pupinetti przekrzywił główkę i rozdymając gardziółek począł wydzwaniać na cześć słońca pieśń najweselszą, najradośniejszą pod tym słońcem. Widząc, że zbliża się jego dobra pani, jął skakać z pręta na pręt i kołysać się w ruchomej huśtawce. To dziobnął ziarenko kaszy, to skubnął kapuścianego liścia okruszynę. Napił się wody i wołał przyjaciółkę prędkim, radosnym pokrzykiem. Nie lękał się ani jej groźnych rozkazów —

a bas la calotte! — ani ręki wsuniętej do klatki. Przychylał tylko głowę, jak gdyby w istocie obawiał się o swą piuskę, gdy go wzięła w rękę i całowała w dzióbek najśliczniejszymi usteczkami na obszarze ziemi.

Chory powstaniec rozwarł oczy półoślepie z gorączki. Zwrócił ku swej opiekunce czerwoną twarz. Jakiś bełkot wypadł spomiędzy jego rozdętych warg. Stała nad nim z Pupinettim w ręce i pokazywała ptaszka biednemu wojownikowi. Zobaczywszy kanarka, coś pojął. Żałośnie — żałośnie uśmiechnął się... Panna Salomea puściła ptaszę z ręki. Przyuczony do siadania na jej poduszce, Pupinetti przyfrunął do wezgłowia nieznajomego intruza, zasiadł na poręczy, otrząsnął się, sprostował pióra. Zaśpiewał najradośniejszą, najpromienniejszą ze swych piosenek. Chory uśmiechnął się znowu. Zapomniał o męce życia i z rozkoszą słuchał.

## V

Kilka następnych nocy upłynęło spokojnie. Nikt nie nachodził opuszczonego dworzyszczka. Chory powstaniec spał po całych dniach i nocach w gorączce. Nie wiadomo było, czy przyczyną tej gorączki są rany, czy jaka inna wewnętrzna choroba. Opuchnięcie oka zmniejszyło się bardzo i czarna barwa podskórnych zacieków zaczęła ustępować. Ukazały się powieki i zdrowa między nimi źrenica, która dobrze widziała. Założono tedy rozdarcie podocznej rany szarpnięciem i obwiązano znowu policzek. Gdy ślady ciosów i stłuczeń zniknęły, wyłaniała się spod opuchlizny twarz jak gdyby inna. Odmienne zarysował się kościsty, kształtny nos, białością zajaśniało nad czarnymi brwiami rozumne czoło. Najszybciej goiły się rany na głowie. Dawno niestrzyżone włosy, które panna Salomea co pewien czas myła i rozczesywała, zdawały się same, jak szarpie, kurować blizny zaschłe, choć jeszcze wciąż czerwone. Najgorzej było z postrzałem w biodrze. Ranny nie mógł wykonać najzwyczajszego ruchu ani gestu bez kłuszącej wciąż męczarni. Kula opuszczała się, widocznie, między ścięgnami i żyłami, bo ból wychodził z miejsc coraz niżej w udzie położonych. Rana ta była wciąż otwarta i gnoić się w sposób odrażający. Nie pomagało mycie jej i ciągle oczyszczanie.

Pewnej nocy obudził pielęgniarzkę rumor do drzwi i okien, ale odmienny, nie od Ryfki pochodzący. Ktoś kołatał wielokrotnie i natarczywie. Burzono się także do okien części niezamieszkannej i do drzwi od ogrodu. Szczepan, natychmiast zbudzony, nie mógł już wynieść chorego na dwór, gdyż całe obejście było, widać, otoczone. Po ciemku tedy wzięli obydwójce z panną Salomeą biedaka na ręce razem z pościelą, wynieśli co

tchu do salonu Dominika i złożyli w jednej z pustych kadzi. Ledwie zdążyli tego dokonać, gdy łoskot dosięgnął najwyższego stopnia. Skoro drzwi zostały otwarte, okazało się, na szczęście, że byli to rodacy. Mały szczątek oddziału, odbity z partii Kurowskiego po straszliwej klęsce miechowskiej, uchodząc dubeltowymi marszami pośród kolumn rosyjskich, dowodzonych przez Czernickiego i Ostrowskiego — błakając się po lasach, ostępach i wądołach — dniem i nocą ścigany, trafił po ciemku na Niezdoły. Wskutek ucieczki dwu z kolei dowódców, oddziałek był bez zwierzchnika. Składał się z ludzi zgłodniałych, przeziębłych, zdrożonych do ostatka i bezprzykładnie rozbitych na duchu. Nie były to już fizyliery, nie kosyniery — nawet nie „drągaliery”, tak pospolite w powstaniu — lecz ludzie niemal bezbronni. Ledwie weszli pod dach, natychmiast padli pokotem na ziemię i poczęli chrapać jak na komendę. Kilku z nich wzięło się do szukania we dworze jadła i wódki. Zrewidowali spiżarnię, kuchnię i pokoje, ale nic nie znaleźli. Przy tych poszukiwaniach musiała asystować panna Salomea. Gdy przetrząsnięto wszystkie faski i skrzynie, nie znajdując nic zgoła, zrozpaczeni i zgłodniiali poczęli grozić. Jeden z nich wyrwał zza pasa pistolet i w rozbewstwie, sięgającym granic obłędu, przystawił otwór lufy do czoła młodej gospodyni.

Wytrzymała z obojętnością diabelstwo jego wzroku i czekała na strzał. Biedny okrutnik nie odrywał pistoletu — i nie wiedział, co dalej robić. Stał z tą bronią, skierowaną między cudne oczy panny i bladł coraz bardziej.

— Czemuż pan nie strzelasz? — spytała.

— Dwa razy nie pytać!

— Więc albo pan strzelaj, albo szukajcie sobie dalej, bo szkoda czasu na komedie.

— Gdzie kasza?

— Kaszy jest trochę, ale ta jest niezbędnie potrzebna dla tych, co tu są i dla jednego rannego.

— Gdzie ta kasza?

— Zobaczymy zaraz. Najprzód schowaj pan pistolet, który powinien być wymierzony w stronę wroga, a nie między oczy bezbronych kobiet po spiżarniach.

— Milczeć! Gdzie kasza?

Szczepan, który stał tuż za plecami panny Salomei, wmieszał się do rozmowy.

— Tej kaszy jest mało — i kaszą się partya nie pożywi. Przyniosę ziemniaków.

— Gdzie są te ziemniaki?

— Jest ich ta jeszcze miareczka w kopcu.

— Ile tego?

— Mówię, że będzie ćwiartka, może się uzgarnia z półkorca.

— Przemarznięte?

— Niekoniecznie, bo były dobrze okryte.

— Gdzie to jest?

— A gdzie jest, to jest. Sam przyniesę. Jak wszyscy pójdą brać, to ino rozdepcą i pomaszczą. Wszystkiego, co ta jest, nie zjecie...

— Zjemy tyle, ile nam się zechce!

— A przyjdą inne, czym ich żywić?

— Niech glinę żrą!

— Znowuj pistolce do łba będą przystawiać.

— Dziadu przekłety, lepiej milcz! — wrzasnął zgłodniały powstaniec.

Chwycił starca za kołnierz i potrząsał nim do woli. Ale Szczepan szarpnął się śmiało raz i drugi. Wydarł swe ramię z garści tamtego. Panna Salomea przysłała mu z pomocą. Odtrąciła silnie napastnika. Ten patrzył na nią wzrokiem najbezwzględniej zdziżałym, który nic dobrego nie wróżył. Czują w oczach jego bezrozumną wściekłość. Lada chwila mógł podnieść pistolet i wypalić. W celu rozweselenia go zaczęła wszystko w żart obracać — a chcąc skierować jego pasję w inne łożysko, opowiedziała anegdotę o kucharzu.

— Widzi pan — mówiła — że on ma na przodzie zęby wybite...

— Ja mu je do reszty wybiję!

— Niechże pan posłucha, zanim resztę tych starych zębów wybijać, historii o tamtych, których już nie ma.

— Co mię tam jego zęby obchodzą!

— O, ładnie, tak traktować konwersację z kobietami!

— Konwersację... To niech pani mówi, jeśli jest co ważnego...

— A kiedy pan nie słucha. Jakże tu mówić?

— Ale słucham, tylko że pani nie słyszy, jak we mnie głód wniebogłosy wrzeszczy.

— No, to niedługa historia — i głód posłucha. Widzi pan, było tak. Jak ten nasz staruszek był jeszcze młody, służył tutaj w tym samym dworze przy kucharzu za popychadło. Ani się obejrzał, jak go do wojska zawołali. Żal mu się zrobiło tej kuchni, rondli i sosów — przed wojaczką strach — dwadzieścia pięć lat pod karabinem — to nie żarty! Przyszedł sołtys brać go do superrewizji. Nasz kuchcik uskoczył za węgiel dworu, wziął kamień z ziemi i wytłukł nim sobie dwa przednie zęby, jak to pan wie, niezbędne

do odgryzania ładunków przy skałkowym karabinie. Sołtys go za kark, postronkiem wiązać, a ten się w głos śmieje i pokazuje zakrwawioną dziurę na przedzie szczęki.

— No i cóż z tego.

— Nic, tylko taki morał, że szarpać o byle co nie mamy potrzeby! A on tu nie jedno jeszcze spletał w tym rodzaju.

— Wszelkie historyjki pozwolę sobie odłożyć na później, gdy już te kartofle oskrobiemy. *Primum edere deinde philosophari*. Wie pani, co to znaczy?

— Nie wiem, ale coś musi być o jedzeniu.

— A właśnie... Dalej go! Gdzie worek?

Ruszył, znalazłszy worek, za przewodnictwem Szczepana i wrócił wkrótce z kartoflami.

Rozpalono ogień, pchając pod blachę polana, urąbane z żerdzi rozgrodzonego plotu. Wszyscy zabrali się do skrobania kartofli. Okazało się, że partia miała w swym skarbie skibę zabranej gdzieś słoniny. Szczepan wydzielił się w noc i przyniósł w rogu worka z garniec kaszy ze swej kryjówki. Począł i kaszę, i kartofle z wielkim kucharskim znanstwem gotować. Wybiegał zresztą raz wraz, ażeby pełnić wartę — nasłuchiwać tępymi uszama, czy ziemia nie jęczy pod stopą nadchodzącej nieprzyjaciela piechoty...

## VI

Rana w biodrze powstańca nie dość, że się nie goiła, lecz stawała się przyczyną niebezpieczeństwa. Niżej od postrzału, w lędźwi, począł formować się wielki wrzód, sprawiający tyle cierpienia, że chory krzyczał całymi godzinami, a nawet wzgląd na bezpieczeństwo domu i trwoga o życie nie mogły uciszyć nieludzkich jego krzyków, podobnych do wycia. Panna Salomea nie tylko nie sypiała po nocach, ale nie przykładła głowy do pościeli w obawie niespodziewanej inwazji żołnierzy. Wynoszenie księcia do stodoły, po ostrzegawczym żydowskiego dziewczęcia stukaniu w szybę, stawało się bezcelowe, bo chory jęczał, zakopany w sianie. Pewnego razu, posłyszawszy jakieś głosy w stodole, oddział żołnierzy chodził pod dowództwem oficera po całym zapolu, przebijając głęboko stos siana bagnetami. Tylko wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że na kryjówkę nie trafiono — a wzgląd na przydatność stodoły i jej zawartości na legowisko dla żołnierzy powstrzymał oficera od rozkazu spalenia budynku. Było rzeczą oczywistą, że kula opuszcza się wzdłuż goleni, sprawiając tak niesłychane cierpienia i powodując formowanie się wrzodów. Życie w podobnych

okolicznościach było nad wyraz ciężkie. Panna Salomea zdecydowała, że nie ma innego wyjścia, tylko należy sprowadzić chirurga. Jakże to jednak mogła uczynić, nie posiadając ani grosza pieniędzy — gdyż wszystko, co miała, zabrały przechodzące partie w ciągu tej zimy — i nie mając do rozporządzenia koni ani sanek. Najmować furmankę we wsi nie było bezpiecznie, gdyż chłopci żywili wrogie usposobienie i obecność chorego we dworze mogłaby się wydać. Wyprawić zaś powstańca z domu nie miała serca. On sam znalazł był środek nieomylny. Oto pewnego razu, gdy stała obok pościeli, dając mu pożywienie, sięgnął zniecacka do kieszeni jej sukni i wyrwał pistolet, który mu niegdyś, gdy przybył, pokazywała. Odebrała mu z rąk pistolet. Ale odtąd całymi godzinami ją błagał, wyjąc w bólach, żeby mu wystrzałem między oczy skróciła tę nędzę istnienia. Skoro tylko dorwał się do jej rąk, chwycił je rozpalonymi dłońmi, jakby kleszczami z żelaza do białości rozpalonymi, skamlał o zadanie śmierci. Ileż to próśb i jakich, w jakie zaopatrzonych argumenty wyrzucał ze siebie, błagając o ten strzał jedyny!

Tylu zginęło! Czcigodni, najszlachetniejsi, waleczni... Buty żołdatów wdeptały ich w błoto dzikiego pola! Padali z ran, bez pomocy, po lasach, bez sławy — na nic! Zwaliała się ze swego ołtarza święta idea! Chłopi polscy zwozili rannych do urzędu po klęsce miechowskiej i oddawali w ręce kata! Niezlomna niewolniczość ducha możnych i straszliwa ciemnota ubogich podały sobie dłonie... Cóż za nierozum, jaka tyrania wśród tylu niebezpieczeństw pielęgnować jedno bezsilne cierpienie! Umrzeć! Nie wiedzieć, co się dzieje i co się stało! Nie pamiętać! Nie znosić piekła ponizenia, gdy trzeba ukrywać się w sianie przed żołdatami!

— Siostrze! — wołał — łaski! Zabij! Daj się zabić samemu! Nie chcę żyć! Tu mnie zakopiecie bez trudu, w nocy, nad rzeką, gdzie się ze krwi obmył. Przyjdiesz na wiosnę, zasadzisz kwiatek. Będę szczęśliwy...

W rozpacz, nie wiedząc, co już począć, w sekrecie nawet przed Szczepanem panna Salomea poszła pewnego wieczora do przyjaciółki Ryfki. W karczmie było już ciemno, drzwi zamknięte na głucho. Okna od wewnątrz, w obawie inwazji, pozabijane zostały rzynami desek w ten sposób, że tylko szpary między jedną a drugą dawały nieco światła dziennego do środka. Panna Mija poczęła majstrować około jednego z tych okien — chwierutać gwoździe, którymi rama była zabita na głucho — obłupywać glinę, chroniącą od zimna — aż je wreszcie otwarła. Wtedy, wsunawszy przygotowany przedtem długi z pleciaka pręt w szparę między deskami, jęła szturchać na oślep w kierunku, gdzie, jak z doświadczenia wiedziała, śpi na tapczanie Ryfka. Długo jej się to nie udawało, gdyż Żydóweczka twardo zasnęła, budzona wciąż i tylekroć po nocach.

Wreszcie, poznawszy od razu, kto to ją wzywa, skoczyła do okna. Zaczęły szeptać przez szparę między deskami, a tak cicho, jakby wiatr szumiał — aby zaś nie zbudził się nikt z rodziny karczmarzkiej, która spała w tej izbie i w sąsiednich. Panna Salomea wyłożyła krótko, o co idzie. Potrzeba koni. Musi na jedną noc dostać parę koni i sanki. Wypada przejechać do miasta co koń skoczy, wrócić i jeszcze raz gnać — a żeby o tym żywa dusza nie wiedziała. Ryfka musi te konie wynająć od kogo. A że na wynajęcie furmanki trzeba pieniędzy, których nie ma, więc trzeba chyba ukraść. Później się to odda. Co robić? Ryfka przelękała się. Co robić? Aj — aj! Parę koni i sanki, dwa razy tam i nazad do miasta w jedną noc... Aj — aj! Co robić? Drapała się po kudłatej głowie i w rozterce cmokała wargami. Głos jej z zimna i strachu drżał, a zęby głośno szczękały.

— Radźże mi co! — mówiła panna Mija.

— Co ja poradzę? Ja nie wiem.

— Po tom tu szła, żeby tyle od ciebie usłyszeć!

— Ja chcę, ale co tu zrobić?...

— Czego się tak trzęsiesz? Boisz się?

— Ja się boję.

— Czego?

— Bo tu są konie... Trzy... Cuganty.

— Czyje?

— Nie wiem.

— A skąd się wzięły?

— Wczoraj je przyprowadzili.

— Kradzione?

— Nie wiem.

— Ty nie wiesz! Pytam się, oślico jedna, czy kradzione?

— No, jakie mają być? Podarowane?

— Gdzie te konie są?

— W stajni stoją.

— Na przechowaniu tu są?

— Czy ja to wiem? Na co ja mam dużo gadać! Te konie stoją w stajni.

— Mów prawdę! Nie ty kradłaś, nie ty przechowujesz. Mnie prawdy nie powiesz, toś teraz taka, Żydowico niewierna!

— Co ja nie mam prawdy powiedzieć? Te konie są pewno na przechowaniu. Po co gadać takie rzeczy? Tu jeden śpi na strychu, co na tych koniach przyjechał.



— Kiedy pojedzie dalej?  
— Jutro na noc.  
— W którą stronę?  
— Nie wiem.  
— Dajże mi parę tych koni!  
— Aj-aj! Ja się boję.  
— No, to się bój! Przecie wrócą nad ranem! Ryfka!  
— Nie mogę! Ony mnie zabiją!  
— Kto?  
— Ojciec — i ten, co przyjechał.  
— Nie będą wiedzieć.  
— Jak to nie będą wiedzieć! Ony by nie wiedziały o takim interesie!... Kto potrafi tak zrobić?

— A ja! Sanki tu macie?

— Sanki są, ale małe, nasze pachciarskie.

— Niech sobie będą pachciarskie. Chodź! Przynoś klucze! Wyłaź z dziury!

Ryfka zaszlochała z cicha, rozpaczliwie. Stała za deskami, łkając.

— Nie dasz?

— Na śmierć mnie zabiją. Łeb mi obedrą.

— No, to wycierpisz.

Ten argument jakoś trafił do jej przekonania. Uspokoila się, zapytała jeszcze.

— Kto by pojechał?

— Ja sama.

— To nikt nie będzie wiedział?

— Nikt! Ja i ty.

— Jak zobaczą, jak oni zrozumieją, kto to zrobił, dopiero zaczną bić, dopiero zaczną!...

— Mojaże niedotknięta, delikacik!

— Ten, co przyjechał... On ma taki kańczug!...

— Przynoś klucze!

Ryfka poszła cicho jak widmo, w głąb domostwa i nie wracała przez czas długi.

Panna Salomea myślała już, że nie przyjdzie wcale. Mróz trzymał. Ostry wiatr pociągał. Podmuchy wzdychające wałęsały się dookoła murów i narożników tej karczmy niemej i ciemnej. Noc była czarna, bezgwiezdna. Wreszcie drzwi tylne,

prowadzące na gnojowisko dziedzińca, z cicha skrzypnęły i mała Ryfka wyszła z domu. Przywarła drzwi ostrożnie i wciąż nasłuchiwała, czy kto za nią nie idzie. Upewniwszy się, że nikt nie usłyszał i nie spostrzegł, gdy drzwi otwierała, skoczyła ku murowanej stajni i poczęła działać nadzwyczaj energicznie. Otworzyła co tchu drzwi stajenne, później wrota do wozowni. Panna Salomea weszła za próg i śmiało zbliżyła się do koni. Nieufnie pochrapywały i biły nogami w ciemności. Namacała rękoma łby tych koni i spostrzegła, że stoją w doskonałych i całkowitych chomątach, przygotowane do natychmiastowej drogi na wszelki wypadek. Konie były rosłe i, widać, dobrze utrzymane, bo się wiły na miejscu i dziko chrapały. Zbadawszy dłońmi sprzączki lejców, podpinki uzd, naszelniki i postronki — okiełznała dwa z tych koni. Wyprowadziła je ze stajni. Już Ryfka wypchnęła na świat z wozowni sanki małe, bose, istotnie żydowskie. Szybko obydwie zaprzęły konie do sanek. W mig wyrównały lejce i znalazły bat. Gdy panna już siedziała na przednim miejscu, Ryfka przyniosła z wozowni wygrabek siana i wrzuciła w tył sanek, żeby było co dać koniom po drodze. Sama co tchu zamknęła na klucz stajnię i wozownię. Jak ciemny nietoperz wionęła z powrotem we drzwi karczmy. Zamknęła je po cichu. Panna Salomea ostrożnie ruszyła wodzami i noga za nogą jadąc wydostała się z podwórza karczemnego na pole. Zajechała przed ganek dworu. Uwiązawszy konie u słupa, weszła do domu. Kazała Szczepanowi spać przy chorym, u drzwi do pokoju i czuwać na oba uszy. Sama ubrała się ciepło, wzięła ze sobą futro na nogi, dywan do okrycia siedzenia — i wybiegła. Zasiadła się dobrze, ujęła lejce i dała koniom po tęgim bacie. Skoczyły z miejsca i pomknęły. Okrążyła karczmę polem, wypadła na drogę przetartą i raz wraz śmigała batem. Konie szły z kopyta najtęższym cwałem. Saneczki taczały się z wyboju w wybój, sunąc po grubym śniegu. Do miasta były dwie drogi. Dalsza — gościńcem, a później szosą — i bliższa, tak zwana „na las”. Ta druga droga była zawsze niebezpieczna ze względu na wilki. Lecz w danej chwili była bezpieczniejsza od pierwszej ze względu na ludzi. „Na las” jechało się pustkowiec, porębą, krzaczyskami i wygonami wśród pastwisk, wreszcie szczerem, zwartym, głuchym borem. Ciarki chodziły po skórze panny Mii, kiedy wyminęła odludzia i miała przed sobą głęboki, zamilkły bór. Zasiadła się mocniej na snopku kłoci, nogi oparła o literkę sanek, cięła kradzione konie po nogach i gnała przez knieję galopem. Droga była dość szeroka — w porze letniej bagnista, lecz teraz po śniegu zupełnie dobra. Konie brały ją w skok, unosząc za sobą saneczki, jak pióro. Lodowaty strach przenikał do szpiku kości i mrozem obejmował serce. W uszach brzmiał dźwięk niewiadomy... Gonia! Pościg! Tętent! Któż to leci za saniami? Wojska zżerające się w dzikiej wojnie —

słudzy jakiegoś między ludźmi prawa — zbóje, nie szanujące praw żadnych — czy zwierzęta, walczące z ludźmi? Nie wiedziała nic... Przeciwno wszystkiemu, co mogło być, niosło się w niej jedno jedyne prawo: — proste uczucie. Nie wiedząc o tem, ślepo wierzyła w wolną moc swej młodej duszy i w siłę wolnych koni. Pędziła jak wichur. Zdumiała się, nie spostrzegając już lasu po bokach swej drogi... Przebyła go niewiarogodnie szybko. Do miasta nie było już więcej nad milę drogi. Dała koniom wytchnąć i mknęła ostrożniej, pilnie bacząc na wszystko. Za lasem trzeba było mijać wioski, mosty, opłotki — skręcać w prawo i w lewo. Oczy, przyzwyczajone do grubego mroku, dobrze się orientowały w miejscowości. Wykonała prawidłowo wszelkie zakręty i nawroty. Ze wzgórza, obok murowanej karczmy, zwanej „Stara wiecha”, zobaczyła w dali światła w mieście. Serce zabiło niespokojnie. Zjechała z równego gościńca na podrogiatkowe pola i ostro dążyła na przedmieście. Przesunęła się cichaczem obok rzeźni, obok koszar żołnierskich, objechała tyły ogrodów, rozmaite budy, szopy, składy, cegielnie, wiatraki — wtargnęła na łąki obok parku i kołując, krążąc i nawracając, dotarła do jakiegoś ostrokołu, który już przylegał do brukowanej miejskiej ulicy. Za tym parkanem słyhać było na kamiennym chodniku kroki zapóźnionych mieszczuchów. Panna Mija wysiadła, rozkleszczyła konie, okryła je dywanem i dała im wiązkę siana do przegryzienia po tej wycieczce. Lejce mocno przywiązała do słupa w parkanie. Sama, otrząsnąwszy się i ogarnąwszy suknie, ruszyła w ulicę. Szła prędko ciemnymi bocznkami, nie spotykając nikogo — aż do obszernego rynku. Ten przebiegła, maszerując przez sam środek i wsunęła się w bramę domu, gdzie mieszkał wybitny lekarz, gubernialna sława, doktor Kulewski. Godzina nie była jeszcze zbyt późniona, bo ani brama nie została zamknięta, ani światło na schodach nie zgaszone. Panna Salomea zadzwoniła do drzwi. Otworzyła je stara, zgarbiona służąca z pewnym rozdrażnieniem. Oświadczyła, że pan doktor już się do snu zabiera. Panna Brynicka wsunęła jej w rękę ostatni jakiś pieniążek z prośbą o możliwość widzenia się ze znakomitym doktorem. Została wpuszczona. Czekwała dosyć długo. Przyćmione światło woskowej świecy dawało widzieć piękne meble starego kawalera, konsyliarza Rulewskiego — kanapy i fotele, sprzęty i graciki, wyszywane poduszki, ozdobne parawany i oleodruki w drogocennych ramach. Drzwi się wreszcie otwarły i doktor z wyraźnym na ogolonej twarzy niezadowoleniem stanął na progu. Mierzył przybyłą twardymi oczyma. Był to pięćdziesięcioletni, przystojny, dobrze zachowany viveur, tęgi mężczyzna, doskonały lekarz i najzawołany w mieście smakosz. Kilkakrotnie w przypadkach ciężkich chorób był wzywany do dzieci i dorosłych osób dworu w

Niezdolach. Panna Brynicka знаła go i była swego czasu, za lat dawniejszych, jego pacjentką. Doktor przypominał ją sobie przez czas dosyć długi, a uderzony jej niezwykłą urodą, jakoś spokojnie i wygrzeczniał. Zbliżył się z ukłonem. Panna Salomea przypomniała mu się i na uprzejme zaproszenie siadła w fotelu. Lekarz był coraz bardziej miękki i gotowy do usług. Przystąpiła do rzeczy bez żadnego wstępu. Powiedziała, co i jak jest. Prosiła, żeby kładł na się futro, zabrał narzędzia chirurgiczne i jechał. Twarz doktora stężała. Stanowczo, kategorycznie odmówił. Powstaniec — dwie mile drogi — noc, godzina dziesiąta z górą — nigdy! Nie pojedzie. Żałuje! Niezmiernie mu przykro! Tak, są to rzeczy nad wyraz pożałowania godne. Sam jest patriotą i czuje sprawę głębiej niż ktokolwiek, może jak nikt, ale jechać — pod żadnym pozorem! Ma obowiązki — mnóstwo w mieście pacjentów — być może niejedną sprawę podobną — być może niejedną ważniejszą.... być może stokroć ważniejszą. Panna Salomea słuchała tego wszystkiego cierpliwie. W pewnym momencie ujęła gestykulującą rękę doktora i przycisnęła ją do ust. Co więcej — osunęła się na posadzkę i pocałowała go w kolano.

Szarpnął się i odsunął.

— Ach, więc miłość!... — roześmiał się. — Pani kocha tego wojownika?

— Nie. Tylko spełniam, co do mnie należy.

— Doprawdy? A czemuż tyle pokornej prośby i taka ekstaza jest w oczach pani?

— Bo tak czuję.

— Powstańcy — nauczał — wyzwali na wojnę mocarstwo. Chłystki! Obląkańcy! Muszą ginąć tysiące ludzi, bo to jest wojna. Czy pani rozumie?

— Rozumiem.

— A więc! Skoro to jest wojna, to jeden człowiek nie może na sobie skupiać całego naszego współczucia.

— Pewnie, że tak, ale ja mam do uratowania człowieka, który mi został oddany w ręce Przyszedeł z bitwy przed ganek, a nie wiedział, dokąd idzie.

— I to dlatego on jedyny?

— Niechże pan doktor włoży futro, weźmie narzędzia i chodźmy, bo czas ucieka.

— To pani sobie myśli, że ja pojedę?

— Ja stąd bez pana nie wyjdę.

Lekarz patrzył z uśmiechem na jej oczy szczerze, a tak cudownie piękne — na białe czoło, wychylające się spod futrzanej czapeczki — na usta różane i śnieżne policzki, zabarwiające się od ciepła w mieszkaniu. Zakłopotał się.

— Chce mnie pani zgubić! Ja nie mogę. Patrzą na mnie, pewno śledzą... No, nie mogę!

— Musi pan!

— Doprawdy? Nawet muszę?

— Musi pan!

— Dlatego, że to pani rozkazuje?

— Nie ja — to Pan Bóg rozkazuje ratować biednego żołnierza. Co sama mogłam, to zrobiłam. Teraz już nie mogę poradzić nic więcej. Gdybym mogła załatwić, to bym tu pana o to nie całowała po rękach! Pan jest doktor, a ja prosta kobieta. Do pana przyjechałam, bo to lekarza rzecz znaleźć kulę w ranie.

— Słyszał to kto takie argumenty! A jakież otrzymam honorarium? — spytał, patrząc jej zuchwale w oczy.

— Żadnego.

— A to zachęta!

— Chodźmy, panie doktorze!

— Pójdę, pod warunkiem, że sobie odbiorę honorarium i to według uznania...

Spojrzała mu w oczy mężnie i dosyć szyderczo, powtarzając swoje:

— Chodźmy, bo czas ucieka!

Doktor wzruszył ramionami i wyszedł do gabinetu. Krzątał się tam przez czas pewien, coś otwierał, zamykał, porządkował — wreszcie stanął w przedpokoju, ubrany w futro i wojskowe buty. Zza drzwi tego przedpokoju odezwał się do panny Salomei:

— Pani mnie literalnie porywa z domu. Jeżeli nas po drodze złapią — zginąłem.

— Wiozę pana do pewnej chorej dziewczyny w żydowskiej karczmie. Nikt o to nie może mieć do lekarza pretensji, że jedzie do chorego.

— A zapewne! W takich okolicznościach i czasach... Ja wiem, czym to pachnie jeździć teraz nocą na wieś do chorego.

Wyszli cicho, przemknęli się przez sień, w poprzek rynku i tymi samymi uliczkami, ciemnymi, jak piekło, dotarli do koni. Na szczęście nikt „cugantów” nie spostrzegł i nie skradł.

Panna Salomea, uradowana z takiego zbiegu okoliczności, okiełznała konie, nakryła dywanem siedzisko dla doktora i poprosiła, żeby zajął miejsce.

— A służący gdzie? — zapytał.

— Jestem — odrzekła.

— Co takiego? Nie jadę!

- Znowu swoje!
- Przecie pani nie może i nie umie powozić.
- Zaraz pan będzie musiał zaprzeczyć własnym słowom...

Siadła na przedzie i cichaczem, noga za nogą wyjechała wskroś łąk, zaułkami na przedmieście, a stamtąd w pola. Gnała teraz tą samą, znajomą już drogą. Wesoło pędziła przez las i wertepy. Pan doktor Kulewski, stary kawaler a sławetny „kobieciarz”, usiłował eksploatować tę niezwykłą sytuację. To chciał sadowić się na przednim miejscu, pomagać w kierowaniu końmi — to wprost zamierzał otulać od zimna swego uroczego woźnicę. Ale woźnica zagroził, że go z sanek wyrzuci i zostawi w lesie wilkom na pożarcie, jeżeli nie będzie przykładnie siedział na miejscu dlań przeznaczonym i dywanem okrytym. W półtorej godziny niespełna sanie dopadły dworu w Niezdołach.

Panna Salomea podjeżdżała z ostrożnością, omijając karczmę i pilnie patrząc, czy we dworze nie ma gości. Na szczęście ciemno było wszędzie. Stare, wysokie topole huczały głucho hymny, od wczesnego dzieciństwa znane sercu i uchu. Zastukała w szybę. Szczepan otworzył i poszedł pilnować koni zgrzanych, zmydlonych i zionących parą. Wprowadził je do stodoły i rozkiełznane puścił pod sienne zapole. Przymknął szopę i wrócił do dworu. Doktor zabrał się natychmiast do badania chorego. Opatrzył rany oka i głowy, później na plecach i między żebrami — wreszcie w nieszczęsnym biodrze. Znalazł wrzód ledwie zbierający i zdecydował, że trzeba go przeciąć.

Szczepan poszedł sprawować wartę na dworze — panna Salomea musiała podsuwać i trzymać miednicę, dostarczać ciepłej wody, ręczników i szarpi. Doktor bezlitośnie rozciął nabrzmienie i jał sondą szukać kuli w głębokościach rany. Chory wił się w katuszy, żywcem krajany. Operacja dokonywała się przy blasku, rozchodzącym się z płomyka świeczki łojowej w latarni. Lekarz męczył się, szarpał, mocował, szukając swymi narzędziami kuli i w pasji najgłębszej nie mógł jej znaleźć. Próbował raz, drugi, trzeci, czwarty — i dziesiąty — nadaremnie. Księżę raz wraz mdlał z bólu, krzyczał pod nożem — wreszcie począł bronić się, bić, policzkować doktora i pannę. Lekarz musiał odstąpić. Pościel była zalana krwią — podłoga, sprzęty i naczynia okrwawione. Założył tedy umiejętny opatrunek, zawiązał wszystkie rany i oświadczył, że odjeżdża. Zaznaczył, że trzeba czekać. Chory miał nadal leżeć w łóżku. Panna Salomea kazała Szczepanowi, żeby podał konie. Była głęboko zasmucona. Cały jej wysiłek poszedł na marne. Wskoczyła na miejsce furmańskie i gdy chirurg się usadowił, pognąła w cwał tą samą drogą.

Jakże przykra była ta jazda, ileż znów w niej było beznadziei! W dodatku doktor nie zachowywał się poprawnie — był dość brutalnym poszukiwaczem swego honorarium. Znużona odtrącaniem go, pełna gniewu, ohydy i męki dusznej odstawiła eskulapa do miasta. Z dala od rogatek, w polu wysiadł i dla ostrożności udał się do swych pieleszy na piechotę. Panna Brynicka pożegnała go i cwałem wróciła w swe strony. Nad ranem, lecz jeszcze o ciemnej nocy odstawiła i oddała w ręce Ryfki kradzioną parę i sanki.

Szczepan pod jej nieobecność obmył chorego, zmienił zakrwawioną pościel i bieliznę, wyszorował z plam podłogę i sprzęty. Odrowąż jęczał przez sen. Panna Salomea poszła spać znużona na ciele i duszy, pełna wewnętrznego zimna i wzgardy.

## VII

Jednej z następnych nocy po trudach i niewywczasach zasnęła twardo, jak jeszcze nigdy. Chory powstaniec, ciągle z gorączki na pół przytomny, drzemał w mroku izby. Nawiedzały go sny znikome, pełne potwornych zjaw i koszmarów...

Wtem wyrwał go z tej na pół przytomności odgłos końskiego stąpania za ścianami domu. Książę słyszał najwyraźniej, że ktoś do dworu podjechał na koniu, że się ostrożnie posuwa wzdłuż ścian i że tuż za oknem koń z nogi na nogę przestępuje. Każde o grudę uderzenie kopyta odbijało się w uchu, w mózgu i w duszy. Gorączkowa wyobraźnia stawiała w mroku przed oczy postać ciemnego jeźdźca. Nagle rozległo się ciche kołatanie w szybę palcem, ostrożne, a natarczywe. Chory je słyszał. Począł budzić pannę Miję, wołać na nią coraz wyraźniej. Gdy wciąż twardo spała, musiał wstać i na swej obolałej nodze pokuszykać do jej posłania. Dotknął ręką zwieszoną głowę i pociągnął za włosy, żeby obudzić. Ocknęła się i przez chwilę siedziała na pościeli, nie mogąc przyjść do siebie. Szepnął jej nad uchem, że stukają. Pojęła sama i wciąż nasłuchiwała. Odrowąż zrozumiał, że musi być chyba coś najgorszego, bo poczęła modlić się z cicha, szeptem bolesnym i lęklwym, przez szczękające zęby. W mgnieniu oka porwała się, wciąż łykając stargane modlitewne sylaby, wrzuciła na się ciepłe okrycie i rękoma febrycznie drżącymi zapaliła świeczkę w latarni. Jak ptak wionęła do zimnej sali, otworzyła drzwi wejściowe i ze zduszonym piskiem na dwór wypadła. Chory

wychylił się ze swego łóżka, podpatrując, co się też okaże — i czy trzeba będzie ukrywać swą książęcą mość w stodole. Usłyszał w sieni dworskiej radosny krzyk panienki i po chwili zobaczył przy blasku latarni wniesionej do sali, że jego opiekunka wisi u szyi i kołysze się w ramionach wysokiego, starego człowieka. Pocałunek tych dwojga był niemy i ekstatyczny, trwał bez końca. Gdy nareszcie przychodziń postawił pannę Miję na ziemi, Odrowąż zobaczył jego twarz. Był to człowiek wysoki, z siwymi wąsami — ubrany w kubrak z futrem, w baranią czapkę i wysokie buty. Książę domyślił się, że to jest ojciec. Stary Brynicki wszystek jeszcze śniegiem zaspany i w soplach zlepiających włosy przypatrywał się córce. Coś do niej, czy do siebie szeptał, gładząc ją po głowie ręką, z której nie zdążył ściągnąć prostackiej rękawicy o jednym palcu. Blask latarni padł w głąb sypialnej izdebki. Rzuciwszy tam okiem, starzec dojrzał nagle człowieka w łóżku córki i z głębokim zdumieniem skinął ręką. Panna Salomea zaczęła prędko, jednym tchem rozpowiadać historię rannego — przybycie po bitwie małogoskiej, wszystkie przejścia i okoliczności, rewizje i jazdę do miasta.

Stary Brynicki słuchał posępnie, bez ufności i niecierpliwie. W trakcie tego wywodu wszedł do izby sypialnej. Zdjął czapkę i wzniosłszy wysoko latarnię, z bezwzględnością przypatrywał się rannemu. Ten podźwignął się na łokciu i bezmyślnym uśmiechem witał ojca swej opiekunki.

— Gdzież to kolega zostałeś tak poraniony? — zapytał starzec.

— Pod Małogoszczem.

— To was tam poczciwy rodak Dobrowolski z Gołubowem i Czengierym macał. Niezbyt wam tam poszło...

— O, nie!...

— I to aż tak ciężkie są rany, że panińskiego łóżka trza było do opatrzenia?

— Panna Salomea była tyle łaskawa, że mnie tu umieściła, gdym przyszedł.

— Jakież to są rany? Bo to ja stary jestem praktyk. Na ranach się od dawna rozumiem. Może uśmierzę te delikatne bóle.

Bez pardonu odchylił kołdrę i począł lustrować rany na głowie, pod okiem, na plecach, piersiach, w biodrze... Nie były to jednak oględziny zaradcze, lecz raczej badanie prawdy i istoty zjawiska. Rany nie wzruszyły starego żołnierza. Coś tam półgębkiem radził przykładać — a kuli szukać wciąż, tnąc miejsce naokoło rany, nawet samemu... Zakonkludował:

— A jak tu kolegę zdybają, to nie tylko puszczą z dymem wszystko, co zostało, ale i tobie nie zborgują. Lepiej może na kurację do lasu uskoczyć. Świerczyna wyciąga



gorączkę. Błoto, jak się na nim śpi, podgaja te tam postrzały. Sama kula prędzej by wypadła, bo ją do ziemi ciągnie.

— Ja tego samego pragnę. Żebym tylko mógł ustać na nogach i chodzić!

Brynicki spoczął na sofce i patrzył w tego gościa zaczerwienionymi oczyma. Panna Salomea przysiadła u jego nóg i całowała ręce, nogi, nawet pasy rzemienne i steranę, w śniegach i błotach unurzana kurtę.

— Buty mi się oto drą! Przemakają do kaduka! Niech no mi Szczepan szuka tamtej pary. Choć to i podniszczone, aleć będą lepsze. Żeby mi je tylko łojem tego wysmarował!

— Łojem... — szepnęła w żalu.

— Nie ma?

— Ani odrobiny.

— No to trudno i tak wciągnę na sucho. Ile to tygodni onuczki te same! Koszul mi, dziecko, szukaj! Jakie tam są, zabieram. Przewdzieję — i hajda!

— Znowu?!

— No, a co — mały mój ptaszku?

— Och, Boże!

— Źle nam, ptaszku... Złe przyszły czasy. Gorsze przyjdą... Przecierpimy! Były już i jeszcze gorsze... W Sybirze, dziecko... To nic! Uszy do góry!

— Tyle czasu czekam, wyglądam!...

— Tyle samo akuratnie, ptaszku, co i ja za tobą! Jak tu partia pociągnęła w nasze strony, ażem zadygotał. Koło Świętej Katarzyny my się trzymali — a powiadają w samsonowskie lasy pociągniemy. Zboczyli my trochę na Kostomłoty, na Strawczyn... Tom już nie wytrzymał. Konia między nogi — i do ciebie!

Wszedł Szczepan. Kazano mu przynieść długie buty. Patrzył w twarz pana Brynickiego. Przyglądał mu się, jakby go teraz dopiero zobaczył, choć obok siebie przeżyli na świecie kilkadziesiąt lat.

— Cóż ty na mnie patrzysz? — rzekł stary rządca. — Pilnuj!

— No, ja ta pilnuję. Aby ino było czego.

— Zawsze jeszcze zostało co nie co.

— Niedługo, widzę, orać będą na tym placu.

— Może będą. Tylko nie wiadomo jeszcze — kto. A ty czekaj!

— Ja ta czekam. Szkoda, że ostatni.

— Nie mędrkuj, bo to nie twoja sprawa. Skrzywdziłem cię kiedy?

— Czy ja ta wiem, kto mnie krzywdził. Juści nie.

— Lepiej mi warzy jakiej ugotuj. Mięsa kawałek smażonego...

Stary kucharz boleśnie westchnął.

— Kucharz ci ja, kucharz... Skończy się toto kiedy?

— Tylko bez jęków! — Skończy się — rzekł twardo Brynicki.

— Państwa nie ma. Wieści też ta jakiej o nich?

— Nic nie wiem. W lesie tylko świerki szumią, a wieści żadnych nie słychać.

Brynicki kiwnął palcem na Szczepana i przywołał go blisko do siebie. Obadwaj poszli do sieni i tam rządcą zaczął głośno szeptać kucharzowi do ucha:

— Co to za jeden ten, co tu leży?

— Kto go ta wie? Panienska na niego woła „książę”.

— To mi tam ani śmierdzi, ani pachnie. Łobuz jaki?

— Z oczów mu złodziejstwo nie patrzy.

— Słuchaj no!... Wiesz, co ci się chcę spytać?

— No, wiem.

— Więc jak?

— Widzi mi się, że jej nie tknął.

— Gadaj, psiakrew, prawdę!

— Upilnuje to dzieuchy, skoro by się namówiły? Abo, jakby ją ciągnęło do takiego, to kto poradzi? Ale mi się widzi tak, jakby nie było nic. Przecie leży, jak pień... A ciężka jucha, jak go nieść do stodoły, nikiej ten ogier. Książę, co psy wiąże!

— Szczepan!

— Hy?

— Pilnuj mi tego dziecka... — wyjęczał w głuche ucho kucharza stary rządcą.

— Już ja ta i bez prośbów mam oko na ten interes.

— Skoro by sama — dopust boski! Ale jakbyś wypatrył, że ją na siłę, albo sztuką chce brać, ostatni kołek z płota wywlec i pal po łbie! Nie pytaj! Tak jakbyś moją ręką prał!

— No!

Wrócili do zimnej stancji i tu Brynicki przebrał się z rozkoszą w czystą bieliznę, wdział nowe buty. Szczepan ugotował i przyniósł swej wiekuiestej kaszy. Postawił dużą miskę w pokoiku rannego i rozdał drewniane łyżki. Sam się odsunął. Ale Brynicki wetknął mu łyżkę w rękę i kazał jeść pospołu. Stary kuchta zawstydził się i wymawiał. Cóż ta znowuj za prawo z państwem wieszerać! Jeszcze takiej sztuki jak świat światem nie było — po prawdzie — za pan brat świnia z pastuchem... Przecież przykucnął obok

stołka, na którym miska stała i zaczął uroczyście, skromnie i jakby z nabożeństwem pojadać kolejką za państwem. Sięgał ze swego łóżka do miski chory książę.

Po wieczerze Brynicki przyłożył się do snu na kanapce w sypialni rannego. U wezłowania klękała panna Mija. Starzec objął jedynaczkę ramieniem. Zadrzemowali, szeptali, milkli i znowu ciągnęli opowieść o dniach i nocach. Przeplatały się rady, wskazówki, prośby... Modlili się wraz — cicho — z głębi. Stary żołnierz napomynał o marszach, odstąpieniach, nocnych legowiskach, klęskach... Wymieniał miejsca szczerze pomaczane krwią, Wąchock, Suchedniów, Święty Krzyż... I znów to samo...

Książę przysłuchiwał się jego powieści i dorzucał szczegóły o swym oddziale. Szeptali tak po ciemku przez noc. Miało się pod świtanie, kiedy stary pan przywołał Szczepana i kazał mu podać konia, który się pasł w stodole. Objął córkę, przytulił do serca w bolesnym, wieczystym pocałunku. Poleciał jej wynieść na dwór i przytroczyć do siodła różne węzélki i drobiazgi. Gdy odeszła, wyciągnął rękę do chorego i uściśnął jego dłoń.

— No, kolego, na mnie czas. Życzę zdrowia i daj Boże spotkać się w wolności.

— Daj Panie Boże!

— A pozdrowiejesz, dziecku mojemu pomóż, poradź, obroń.

Książę skinął ręką.

— A jeślibyś ją skrzywdził — jęknął starzec — strzeż się! Bo cię dopadnę żywy, czy umarły.

Z tym słowem znikł za drzwiami. Słysząc było cichy płacz dziewczęcy. Potem głuchy, równy tętent.

## VIII

Nad wieczorem pewnego marcowego dnia stanęła przed gankiem w Niezdołach parokonna bryczka i wysiadło z niej dwu podróżnych. Jeden z nich był w wieku lat mniej więcej pięćdziesięciu — drugi młodszy. Starszy miał dużą skórzaną torbę, przewieszoną przez ramię, a ubrany był jak podróżujący kupiec albo rękodzielnik. Młodszy był w cienkich butach i miejskim odzieniu, a wyglądał przy swym towarzyszu jak pomocnik, czy sekretarz. Bryczka, skoro tylko ci dwaj panowie stanęli na ganku, momentalnie odjechała. Nikt nie spostrzegł, z jakiego była dworu. Przybysze weszli do domu, a nie spotkawszy na progu nikogo, zasiedli przy stole w pierwszym obszernym salonie. Wszystko to stało się tak prędko, że mieszkańcy dworu w Niezdołach nie

zdążyli ani zabezpieczyć rannego, ani przywitać i zabawić przybyszów. Dopiero po chwili panna Salomea do nich wyszła. Goście oznajmili, skłoniwszy się uprzejmie, że proszą o nocleg, posiłek i konie nazajutrz do jednej z sąsiednich miejscowości. Młoda gospodyni oświadczyła, że koni tu wcale nie ma — a o posiłek trudno, gdyż dom jest zupełnie ogołocony ze wszystkiego. Może im tylko dać nocleg, to znaczy niewyszukaną pościel na kanapie i sofie, które były w tymże pokoju. Przyjezdni skłonili się znowu i z delikatnością rozpytywali o stan rzeczy. Przyzwyczajona do grubiaństw, gróźb, napastowania, a nawet szarpaniny i podniesionych kułaków, zdziwiła się tej względności. Ujęta nią zaznaczyła, że może ich poczęstować jedną tylko potrawą — codzienną kaszą, przejadającą się, a która przecie również jest na wyczerpaniu. Dwaj rozpytywali wciąż o wszystko — o imiona i nazwiska gospodarstwa i osób przytomnych w domu — o szczegóły rozgrabienia dobytku, spalone budynki, stosunek do chłopów i służby — o przemarsze stron walczących, noclegi, postoje, sposób zachowania się wojsk i rodaków. Starszy z tych ludzi bardzo przypadł do serca panny Salomei. Oczy miał siwe, głębokie, szczere, nad wyraz mądre, a czujne, pomimo wielkiego znużenia, które się malowało na twarzy. Gęste, krótko strzyżone włosy już mu z lekka siwiały. Wyniosły, kościsty, mocno zbudowany, naprzód nieco pochyły, był niewymownie jakoś bliski, ni to ojciec lub brat. Gdy na pytanie, kto jest w tym dworze, wyjaśniła, że siedzi tu sama jedna ze starym kucharzem, zastanowił się i rozmyślał. Cechował go jednak spokój, który się niczemu nie dziwi i niczym nie przeraża. Tylko oczy jego stały się jeszcze uważniejsze, lepsze i jeszcze bardziej przychylnie. Drugi z przybyszów był znacznie surowszy i mniej cierpliwy. Spoglądał na sprzęty i w oczy rozmówczyni nieufnie, aczkolwiek milczał i zgadzał się na wszystko. Pierwszy długo nie przestawał informować się o najrozmaitsze szczegóły, tak długo, że panna Brynicka, nauczona przez ojca ostrożności i powściągliwości w udzielaniu jakichkolwiek informacji osobom nieznanym, zaczęła stosować tę właśnie metodę. Starszy z podróżnych zdawał się to rozumieć i oceniać, a nawet pochwalać taką wstrzemięźliwość. Sam dopytywał się inaczej. Pod pretekstem konieczności wydania zarządzeń co do pościeli panna Salomea odeszła z dużego pokoju oświetlonego przez latarnię, do ciemnej sypialni, gdzie leżał ranny. Drzwi zostały otwarte. Odrowąż przywołał ją najcichszym szeptem, nachylił jej głowę do swych ust i niemal bezgłośnie, samym ruchem warg wymówił do ucha:

— Ten wysoki, starszy pan, co stoi w pierwszym pokoju, to główna figura, komisarz rządu narodowego. Nazywa się Hubert Olbromski.

Panna Salomea obejrzała się i zobaczyła w świetle latarni profil tego człowieka. Trzymał znużoną głowę na ręce opartej o stół i uważnie słuchał tego, co mu szeptem wykladał młodszy.

— A ten drugi? — spytała.

— Tego nie znam z nazwiska, ale twarz gdzieś widziałem. I to jakiś figurant.

— Starszy bardzo miły.

— To potężny człowiek.

— Pan go zna?

— Z twarzy i z działalności bardzo dobrze. Widywałem go w Paryżu.

— Cóż on tam robił?

— Organizował, jeździł jako emisariusz...

Szeptali jak najciszej, a jednak ta ich gawęda zwróciła uwagę dwu gości. Obydwaj zamilkli i pilnie patrzyli w ciemność. Po pewnym czasie młodszy ujął latarnię i szybko skierował się we drzwi mrocznej bokówki. Zaświeciwszy, ujrzeli chorego. Młodszy miał w ręku podniesiony pistolet.

— Kto to jest? — spytał ostro.

— Jestem powstaniec, nazwiskiem Józef Odrowąż.

— Z jakiego dowództwa?

— Z jazdy pod naczelnikiem Langiewiczem.

— Co tu waszmość robisz?

— Zostałem raniony w bitwie pod Małogoszczem. Leczę się za łaskawym pozwoleniem tej pani.

Olbromski i jego towarzysz surowymi oczyma patrzyli w twarz księcia. Zapytywali go kolejno o szereg rozmaitych szczegółów i stwierdziwszy, że mówił prawdę, coś między sobą mruknęli i wrócili do pierwszego salonu. Nie czekając na zapowiedzianą kaszę, wydostali z kieszeni płaszcza flaszkę gorzalki, chleb, suchą wędlinę i pożywali te zapasy. Jednocześnie zanieśli prośbę do młodej gospodyni, żeby im przyniosła atramentu i pióra. Z mozołem odnalazła wśród rupieci te zarzucone przybory i podała. Obydwaj zaczęli coś pisać. Starszy dyktował z głębokim namysłem i skupioną uwagą. Młodszy pisał. Później ów sekretarz odczytywał dyktando, a Olbromski czynił adnotacje i uwagi. Skończywszy z tym, przeglądali poszczególne papiery, jakoweś wykazy, czy sprawozdania, coś wykreślali na składanych mapach, wymierzali cyrklem i kreślili w długich registrach. Oczy ich były w tę robotę wlepione, rysy stały się ostre i surowe, twarze wyrażały przejęcie się do cna i do ostatka. Skończywszy swoją robotę, obejrzel

starannie drzwi i okna. Młodszy wziął ze sobą latarnię i wyszedł, ażeby zlustrować cały dom, wyjście na tyły dworskie, skąd można było uciec w ogród. Hubert Olbromski siedział w wielkiej izbie. Zapalił świecę woskową, którą miał w torbie i podparłszy na rękę głowę, czytał jakiś papier. Weszła panna Brynicka, żeby ułożyć na posłaniach cieplejsze okrycia. Olbromski zagadnął ją:

— Przepraszam, że panią zapytam o jeden szczegół. Pani wymieniła swe nazwisko — Brynicka, nieprawdaż?

— Tak jest.

— A czy też w rodzinie pani nie było krewniaka, żołnierza z rewolucyi?...

— Mój ojciec służył wojskowo w rewolucję.

— Wysoki, tęgi, z sumiastym wąsem? Twarz pociągła... Małomówny... Nazywał się Antoni.

— Mojemu ojcu Antoni na imię.

Olbromski uśmiechnął się. Oczy mu zaszczyły mgłą. Mówił jakby o rzeczy nieważnej, przygodnej:

— Widzi pani... Gdy byłem małym chłopcem — miałem dziesięć lat — przed tamtą rewolucją, aresztowali mojego ojca — Rafał mu było na imię — za dawne — dawne sprawy z Machnickim. Byłem w szkołach i sam na świecie, sam w mieście, które mi się wtedy wydawało wielkie jak świat. W tym samym miejscu, gdzie na kwaterze mieszkał, były koszary strzelców konnych. Zaznajomiłem się z jednym wojskowym, nazwiskiem Brynicki Antoni. Przychodził on do mnie na pociechę, że to ojciec mój zamknięty był w dalekiej twierdzy... Brał mnie ten wojskowy ze sobą do koszar, sadzał na swym koniu i na innych, których tylko zapragnąłem. Pokazywał mi na pociechę rynsztunek wojenny — pałasze, karabinki, kule i proch, ładownice, siodła, uzdy i ostrogi... Nosił mnie na rękę i nie spuszczał z kolan... Opowiadał mi śliczne wojenne historie... Tyle to lat! Gdzie to człowiek nie był, czego nie widział po świecie, a każde jego słowo jak żywe! Gdzie teraz jest ojciec pani?

— W partii.

Olbromski przytwierdził skinieniem głowy. Spytał się:

— Dowodzi może jakim oddziałkiem? Jakie ma przezwisko?

— Tatko jest za prostego powstańca.

Skinął głową. Uśmiechnął się do tej panienki.

— A pański ojciec gdzie? — zagadnęła, ośmielona jego dobrotliwym wyrazem oczu.

— Mojego ojca dawnymi laty, w rzeź galicyjską, podjudzeni chłopci okrutnie zamordowali pod wsią Stokłosa nad Wisłoką. Piłą go żywego przetrzęli w pół, gdy przyszedł w tamte strony z dalekiej Francji bić się ostatni raz o wolność... A ja sam musiałem na to zdarzenie synowskimi oczami patrzeć. Taka to jest tragedia polskiej szlachty... — uśmiechnął się swym mądrym, żalonym uśmiechem.

Odwrócił na chwilę głowę. Rzekł jeszcze:

— To pani jest córką Antoniego Brynickiego! Nawet jest w oczach i w ustach podobieństwo. Kochaliśmy się z nim onego czasu, choć on był tak duży żołnierz, a ja żak mały ze szkół wojewódzkich...

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, ścisnął ją i mówił:

— Szczęść ci Boże, panienko! Daj ci wszystko dobre!

Panna Salomea chciała podziękować za to życzenie, lecz nie wiedziała jak. Słowa w gardle uwięzły. Podniosła na tego człowieka oczy nieulękłe i surowe.

— A co? — zapytał.

— Ja tu sama! — wyszłochała. — Ojciec był parę dni temu i poszedł znowu!

— Taki los.

— Taki los! A kto go zrobił?

— Kto zrobił?

— Pan!

Spojrzał na nią z uwagą i ze spokojem. Czuła, że popełniła nie tylko ogromny nietakt, lecz i okrucieństwo. Nie wiedząc, dlaczego i co czyni, zsunęła się z krzesła na ziemię i znalazła u jego kolan. Chciał ją podnieść, lecz chwycił ją za rękę i zajrzał w samą głębię oczu.

— Panie! — krzyknęła.

— Słucham!

— Co wy robicie?

— A co?

— To powstanie!

— Powstanie.

— Niech mi pan wytłumaczy ze swego rozumu i z głębokiego sumienia. Ja jestem prosta i głupia... Nic nie mogę pojąć!

— Wszystko powiem, wszystko, co tylko wiem.

— Z sumienia swego?

— Z sumienia.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że prawdę usłyszy. Rzuciła mu w oczy z krzykiem:

— Któż z was ośmieli się mówić, że pobije tych, co tu nocami przychodzą szarpać nas, ludzi bezbronnych? A jeżeli ich nie możecie pobić, to kto z was ośmielił się rozpętać w nich dzicz, co ją ze sobą z okrutnych śniegów w duszach przynieśli? Czy macie w sobie siłę, równą ich dziczy i taką, żeby tamto złe zgmiotła?

Olbromski milczał. Łkając oskarżała:

— Sołdactwo pali dwory — rannych dobija na placu bitwy. Chłopi wiążą powstańców...

Przerwał jej głosem innym, twardym:

— Wolicie ich dzicz niż rany i śmierć? Będziecie mieli dzicz za wiecznego pana!

— I tak go mamy, choć tyle ran...

— Polskie plemię popadło między dwa młyńskie koła zagłady — między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Nie ma wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tym słowo.

— Jaką mieć wiarę? Czym żyć?

— Serce mężne uzbrój w sobie.

— I cóż z serca mężnego! — jęknęła z rozpaczą.

— Nie czas już pytać i odpowiadać.

Zbadawszy budynki, ścieżki i zarośla dookoła domu, wrócił do stacji młodszy z przyjezdnych. Panna Salomea wyszła niezwłocznie. Dwaj urzędnicy rozebrali się i, broń nabitą mając przy wezgielciu, udali na spoczynek.

Noc była cicha w podwośnie. Łagodne tchnienia ciągnęły nad ziemią i zdawały się przenikać izby mieszkalne. Chory był rozdrażniony. Obecność dwu osób z góry krępowała go, a cierpienia dokuczały tym mocniej. Wił się po łóżku, wzdychając. Z izby sąsiedniej dochodziły odgłosy twardego chrapania dwu komisarzów. Obydwaj spali jak zabici. Panna Salomea długo nie mogła usnąć. Zmora leżała na jej sercu. Tęsknota za ojcem po rozmowie z Olbromskim dokuczała bardziej niż kiedykolwiek. Smutek nieokreślony przejmował duszę. Bezprzedmiotowa nocna trwoga raz wraz musnęła włosy na ciemieniu... Co pewien czas panna Salomea dźwigała się na swym leżaku, żeby nasłuchiwać. To ciągle, ponocne na nieprzyjaciół oczekiwanie wypełniło jej ciało i duszę jadem odrazy do ludzi. Musiała wciąż mieć się przed nimi na bacności, czuwać i czyhać na ich podstępne przyjście. Tej nocy trwoga zwiększyła się. Zjawił się niepokój o starszego z przyjezdnych rządowców. Człowiek ten stał się jej bliski od pierwszego wejrzenia. Lękała się, żeby go tutaj nie spotkało coś złego. Pragnęła, żeby ta noc



nieskończenie długa przeszła i żeby ci dwaj odjechali szczęśliwie w daleką swoją drogę do wolnej ojczyzny. Usiłowała zasnąć sama, lecz żadną miarą nie mogła. Były chwile, że drżała jak liść. Trwogi uderzały w nią, ni to bicie na gwałt jakichś dzwonów. Nasłuchiwała w śmiertelnej męczarni. Wydawało się, że tamten chodzi po domu. Ucho zasłuchane w ciszę chwyciło szelesty być może całkowicie nieistniejące. Coś przez sąsiednie izby przeszło, przewiało. Coś wzdycha... W głębokiej ciszy coś ostrzega. Skrzypnęły deski starej podłogi. Jakiś trzask odległy... Czy to drzwi zaschlým oblepione pokostem skrzypnęły? Jest tak, jakby ktoś potrzebował krzyczeć, a nie mógł wydobyć głosu. Za chwilę poczną bębnić beczki, ciskane spod sufitu na ziemię...

Wsparta na łokciu, słuchała.

Usnął głęboko nawet ranny powstaniec. Uciszyli się w sennem oniemieniu dwaj przyjezdni panowie...

Oczy wlepione w próżnię zdawały się odróżniać lica Dominika. Stoi w rozwartych drzwiach z ręką na ustach, jakby w sobie samym dusił krzyk. Nie chce krzyczeć, a nie może odejść. Powiew zimny ciągnie przez pokój — odgarnia włosy znad czoła — mrowiem płynie wskroś ciała...

Zakryła głowę chustką, oczy włosami, i w przerażeniu przypadła do wezłowania, żeby nie widzieć. Tak niespodziany zleciał na nią sen i dał szczęśliwe godziny długiego wytchnienia. Zapadła się wszystka jak gdyby w niezgłębiony dół ciemności. Przed chwilą oparła na wezłowaniu czoło i nakryła je, żeby nie dojrzeć upióra — była czarna noc — a oto rozwarte oczy widzą jasny poranek. Biała tafla okna w szarym pokoju... Kanarek podśpiewuje zaranną piosenkę... Cóż to? — Huk! — Dominik kadzie ciska! Znowu huk! Znowu! Zbawicielu!

Otworzyła oczy... Przysiadła na posłaniu. Huk znowu! Ocknęła się. Zrozumiała. Wałą kolbami we trzy okna frontowe! We drzwi! Porwała się na nogi i zatoczyła ze snu jak pijana. Co robić? Kogo wołać? Wszyscy śpią! Huk się rozległ ze wszystkich stron dworu. Krzyk, który już dobrze знаła, ścinający krew w żyłach, mrozący szpik w kościach:

— O piraj!

Drzwi od strony kuchni uchylły się. Wbiegł na palcach Szczepan — blady, trzęsący się, straszny, w popłochu. Odtrącił pannę ręką i wskazał powstańca. Sam skoczył do dużego salonu. Tam począł szarpać nocnych gości. Targał ich oburącz za włosy, pięścią bił w piersi. Trząsł głowy z całej siły. Nareszcie ocucił obydwu. Porwali się! Nasłuchiwać! Burzenie we drzwi postawiło ich wreszcie na nogi. Momentalnie wciągnęli spodnie, buty. Młodszy zdążył narzucić kurtę. Starszy nie mógł swej znaleźć

i wdział tylko przez głowę torbę skórzaną, kiedy wyrwano okiennicę, rozwalone okno z rumorem i brzękiem wyleciało, a żołnierze jeden przez drugiego poczęli pchać się do sali. Wszystkie wejścia były już obsadzone. Przy wszystkich słychać było łoskot. Szczepan co tchu poprowadził komisarzy na tamtą, Dominikową stronę. Otworzył drzwi i wypchnął obydwu. Przeskoczywszy dużą salę z beczkami, wbiegli do mniejszej. Z cicha otwierali okno. W tej stronie domu było wysokie podmurowanie na pół zwykłego piętra. Gdy rozsunęli okiennicę, zamykającą się od wewnątrz, ujrzeli dwu żołnierzy, jak podsadzali się właśnie, żeby do okiennej ramy dosięgnąć. Olbromski i jego towarzysz cofnęli się w głąb, za framugę muru i uważnie opatrzyli pistolety. Szczepan zostawił ich i wybiegł z powrotem. Obydwoje z panną Salomeą wynieśli przez małą sionkę rannego księcia na materacu i spuścili do wielkiej kadzi w dawnym salonie. Gdy to zostało dokonane, schronili się obydwój do pokoju Dominika. Ujrzeli tutaj młodszego z nocnych gości, jak się wciąż czał we framudze okiennej, czyhając na żołnierzy. Nagle w otwartym oknie ukazała się czapka żołdata, wdzierającego się w otwór. Towarzysz Olbromskiego wypalił mu z pistoletu między oczy, przystawiwszy momentalnie lufę do czoła, skoro się tylko wychyliło zza futryny. Żołnierz runął na wznak. Drugi strzał powalił na ziemię drugiego dragona.

Tymczasem z wnętrza domu słychać było tumult, łoskot i krzyki żołnierzy, przetrząsających mieszkanie. Wtargnęli tam już przez okna i drzwi. Trzeba było uchodzić na świat przed pościgiem. Olbromski i jego kolega, mając drogę wolną po zwaleniu na ziemię dwu żołdatów, wychylili się z okna i zaczepieni o futrynę, następnie zsuwając się po chropowatej ścianie — dosięgli ziemi.

U wejścia na dziedziniec, przy zrujnowanej bramie stało uwiązanych około piętnastu koni spieszonych dragonów, którzy dom zdobywali. Koni tych pilnował jeden tylko żołnierz, siedzący jeszcze w siodle. Towarzysz Olbromskiego co sił w nogach poskoczył wprost do tych koni i żołnierza. Wyrwawszy zza pasa drugi pistolet, z odległości zaledwie paru kroków strzelił, zranił i obezwładnił dozorującego jeźdźca. Wnet jednym susem skoczył na siodło pierwszego z brzegu rumaka, odwiązał od sztachety wodze, zawrócił koniem na miejscu i okładając go ze wszech sił po bokach rzemieniem uzdy jak błyskawica wypadł za bramę. Olbromski przesadził płot i chciał iść za przykładem swego sekretarza — ale już nie zdążył. Żołnierze, usłyszawszy strzały i zobaczywszy przez okno, co się dzieje, pędzili do koni i odcięli mu do nich drogę. Przeskoczył tedy drugi, rozwalony płot i na oślep pobiegł w dół ogrodem prowadzącym w kierunku rzeki.

Panna Salomea, stojąca w oknie, widziała te obadwa wypadki, które się dokonały z szybkością dziesięćkroć większą, niż ich opis wyrazić to może. Uczepiona rękami o futrynę okienną patrzyła, jak młodszy z komisarzy przebiegł na dragońskim wierzchowcu w tumanie bryzgów błota i tającego śniegu drogę do mostu, most na rzece, wypadł w łąki i gnał płaskimi błoniami coraz bardziej chyżym przecwałem. Schylił się, położył na szyi końskiej tak, że go prawie widać nie było. Ogier jego stawał się od najtęższego galopu coraz niższy, coraz dłuższy. Leciał po niskiej ziemi jakoby dziwaczne ptaszysko. Sześciu dragonów w skok za nim pognało. Błękitne kłębki dymu raz wraz nad nimi pękały. Strzelali do uciekającego — bezskutecznie, bo pędził wciąż, pędził — ku lasom. — Wreszcie znikł.

Panna Salomea wychyliła się z okna, szukając oczami drugiego, starszego... Ale Szczepan oderwał jej palce od okna i nieprzytomną z wrażenia powłókł ze sobą. Nie pozwolił również zatrzymać się przy ukrytym powstańcu. Wyszli co tchu przez sień, drzwiami opuszczonymi przez żołnierzy, przemknęli się niepostrzeżeni przez ogród i pobiegli na wzgórze. Szczepan, uciekający teraz jak mały chłopak, coś mamrotał. Ciągnął za sobą pannę Salomeę. Za jednym z większych krzaków jałowca przycupnął jak lis. Towarzyszce kazał uczynić to samo. Wychyliwszy się zza kępy, patrzyli, co się dzieje. Poprzez bezlistne drzewa, w świetle łagodnego poranka widzieli nad rzeką rzecz straszliwą — słyszeli strzały — zwierzęce krzyki... Panna Mija przycichła. Ręce jej konwulsyjnie pochwyciły kłujące gałęzie jałowca. Ciało się zachwiało. Omdlała. Szczepan cucił ją, wycierając skronie grudkami czerniałego śniegu, który się jeszcze taił w głębi szorstkiego krzaka.

Tymczasem nad brzegiem rzeki Hubert Olbromski staczał swój ostatni chwalebny bój. Oficer dragonów nazwiskiem Wiesnicyn — ten sam, który już był rewidował niezdolski dwór i zapalał dziką miłością do panny Salomei — ścigając z rozkazu swych władz od miejsca do miejsca dwu komisarzy rządu narodowego, po śladach dopadł ich tutaj. Widział z ganku ucieczkę jednego z nich na koniu, należącym do dragońskiego oddziału. Miał rozkaz schwytać obudwu żywcem, gdzieś na noclegu. Wykonał zlecenie z całą ścisłością. Przybył w sam czas. Toteż płonął od zawziętej żądzy, żeby przynajmniej drugiego pojmać. Pędząc za żołnierzami w dół ku rzece, wołał na cały głos:

— Trzymaj żywego! Żywcem go brać! Tylko żywcem! Nie waź się strzelać! Rękami bierz! Trzymaj! Osaczyć!

Olbromski słyszał ten rozkazujący krzyk. Poczul w sercu śmierć. Na sobie miał torbę ze wszystkimi dokumentami, z tysiącem sekretów rządu, ze wszystkim, co się

dokonywało i działać jeszcze mogło. Niósł w tej torbie jak gdyby serce walczącej Polski, w którym żywa pulsowała krew. Nie mógł tej torby ani nigdzie ukryć, ani w biegu porzucić, ani zniszczyć, gdyż pędziło za nim z dziesięciu żołnierzy. Olbrzymimi skokami uciekał. Przesadzał krzaki, zmurszałe płoty, rozmiękle zagony, rów pełen jeszcze lodu. Dopadł łąk. Ujrzał jakoweś na błoni zarośla. Tam gnał. Lecz oto nagle przerażenie jak ogień zapaliło się w jego głowie. Niespodzianą ujrzał przed sobą — rzekę. Wezbrana po same górne brzegi od wiosennego roztopu i wylewu, pełna czarnej, wijącej się wody, która bujnymi mknęła baniami — głęboka rzeka zamykała drogę półkolem w prawo, półkolem w lewo. Uderzył ucho niemy jej szum, ukazał się zdziaczalym oczom zbiega czarny jej wąż jako przeklęta, szydząca moc, która przecina ostatni szlak ucieczki. Zmyliła się rozważna myśl. Przepadł jedyny sposób ratunku. Ciemna rozpacz oślepiła oczy.

Wtedy tajemnicza, skłębiona woda rozwarła swój czarny nurt, jakoby łono. Pojął. Jęknął. Zdarł z ramienia rzemień i z zamachem cisnął skórzaną torbę — sekret Ojczyzny — w głębinę. Rzeka plusnęła — na znak — ni to głuchą odpowiedź. Zawarła się. Tysiącem zawinęła fal skarb powierzony. Popłynęła w krętą, prastarą, a wiecznie nową, daleką drogę. — Westchnął. Widzieli ten jego ruch żołnierze. Dopadli go, osaczając ze wszech stron. Obrócił się do nich twarzą. Z tyłu biegł oficer Wiesnycyn, krzycząc swoje:

— Żywego rękami brać! Żywego! Nie waż się ubić. Osaczaj!

Olbromski wzmógł się na duszy. Wzgardził długim więzieniem — konaniem na szubienicy. Przystanął. Pierwszemu z żołdatów, który doń podbiegł, wypalił w łeb z pistoletu. Poderwał szablę, która trupowi z ręki wypadła i ciął z ramienia w szyję drugiego. Lewą ręką wyrwał zza pasa drugi pistolet i trupem położył nowego napastnika. Za sobą miał rzekę, przed sobą siedmiu. Bronił się jak osaczony tygrys. Żołnierze, słysząc nieustanną oficera komendę, żeby go brać żywego, prawie nie zażywali oręża. Szli nań kupą z gołymi rękami. Korzystając z tego rozkazu, ciął z wysoka, rąbał na odlew, sztychem przebijał i odskakiwał brzegiem, szukając dogodnego miejsca, gdzie by skoczyć w wodę i uchodzić na drugą stronę. Oficer, spostrzegłszy, że trzech żołnierzy leży na ziemi, a reszta boryka się z tym jednym człowiekiem, rzucił się nań sam z gołą szablą. Olbromski zobaczył go za pierścieniem żołnierskim. Krzyknął nań z pogardą:

— Ty! Tchórze!

Zakipiał w sobie ponury oficer Wiesnicyn. Skoczył sam w dragoński szereg z pałaszem w ręce, ażeby powstańcowi szablę z ręki wytrącić. Trzasnęły w siebie klingi piorunowym strzeleniem — raz, dwa!

Lewą dłonią ujawszy pistolet za lufę, Olbromski rozwalil głowę żołdatowi, który go w trakcie tej walki chciał chwycić za ręce. Pałaszem ciał w ramię oficera. Zwalil między oczy żołnierza z prawej strony.

— Bierz go! — ryknął oficer.

Skoczyli. Siekl młyncem. Uchodzil. Wlókł ich za sobą. Siepał się w tłumie. Rozszalały dowódca dragonów zajechał go szablą w kark — potem ciał w twarz. To rozpętało furię żołnierzy. Zapomnieli o rozkazie. Rzucili się rąbać osaczonego pałaszami w głowę, ścinać szyję ślepyimi razami. Olbromski puścił broń z ręki. Zachwiał się. Potknął. Rozłupali mu ciosami czaszkę, aż trysnął mózg i wywalił się na trawę. Siekli ręce, piersi i żebra. Rąbali leżącemu brzuch, nogi — dopóki zeń nie wyciekła wszystka krew. Spłynęła z jego żył, wsiąkła w pastwisko i napoiła rozmiękłą, chciwą, wiosenną ziemię.

Ponuro i wyniośle spojrzal nań ogromny czarny oficer Wiesnicyn, chowając do pochwy utłuszczony pałasz, ociekający krwią. Zemścił się jako żołnierz, lecz źle wykonał zlecenie władzy. Rozkazał dragonom szukać natychmiast w rzece skórzanej torby buntownika. Lecz woda była głęboka na chłopa z górą — lodowato zimna — pędziła wartkim popławem. Pierwszy z brzegu żołdat, który zzuł buty, rozebrał się i zanurzył w tej wodzie — zdrętwiał z zimna. To samo drugi i trzeci. Szukano tedy, macając po dnie rzeczonym raz koło razu żerdziami. Bezskutecznie. Oficer polecił zegnać wszystkich dorosłych chłopów ze wsi i przede wszystkim na rozkaz — później z obietnicą sowitej nagrody — zlecił wszelkimi sposobami szukać skórzanej torby zarąbanego „miateżnika”. Chłopi, zbici w kupę nad brzegiem, medytowali w kilkudziesięciu — dużo, długo, szeroko radzili, udzielając sobie nawzajem i żołnierstwu nieomylnych wskazówek, mądrych uwag. Klócili się zajadle o plany działania, przyskakując jedni do drugich z pięściami. Rzeka — „dopraszali się łaski u naczelnika” dragonów — jest przepadzista — doły w niej okropne, karpki głębokie pod brzegami, korzenie, kłody stare na dnie leżą od niepamiętnych czasów, co je powodzie Bóg wie skąd w to miejsce przyniosły — woda w niej wartka, zimna, zła...

Niektórzy na ochotnika zanurzali się po szyję, szli nurkiem wzdłuż brzegów — żeby niezwłocznie wyskoczyć i uciekać do wsi, szczękając zębami i trzęsąc się z zimna.

Inni poprzynosili saki i nimi przeszukiwali głębinę na znacznej w dół przestrzeni. Jeszcze inni sunęli od miejsca do miejsca, bobrując w wodzie tłukami i osękami. Trwało to aż do południa. Nadaremnie.

Nie wydała rzeka powierzonego sekretu. Oficer dragoński w złowieszczym usposobieniu wrócił znad wody do dworu. Nakazał sołtysowi, żeby mu niezwłocznie dostarczył kilka podwód dla odwiezienia do miasta rannych żołnierzy. Miał dwa trupy, trzech ciężko rannych i dwu łżej okaleczonych ludzi. Prócz tego utracił konia. Walczyło z nim dwu powstańców pierwszorzędgo znaczenia, których miał rozkaz ująć żywcem. Jeden mu żywcem uszedł, a drugi został zabity, nie udzieliwszy o sobie żadnej wiadomości. Nade wszystko — akty, które rozsiekany miał w ręku, przepadły, utopione w rzece.

Oficer był wstrząśnięty aż do granic rozpaczy. Zabronił chłopom pod najsrozsza karą chować w ziemi ubitego buntownika. Kazał — że ma tak zgnić, jak tam leży na błoni — i żeby go w oczach całej wsi ptacy w sztuki roznieśli. Kiedy ranni i zabici żołnierze złożeni zostali na wozach wysłanych słomą i karawana podwód wolno odjechała — dowódca rozkazał jednej grupie swoich podwładnych paść konie w stodole sianem, a innej przeszukiwać dwór, dziedziniec, ogród, piwnice i najbliższe otoczenie folwarku. Czuł konieczność wywarcia na kimś swej wściekłości i wzięcia odwetu za tak fatalne niepowodzenie. Chciał mieć w ręku pannę, co w tym domu mieszkała, a której nigdzie, wśród najdzikszych zdarzeń tego czasu nie mógł zapomnieć. Wszakże to ona ukrywała tutaj dwu inspiratorów sprzysiężenia. Posłania ich jako nieodparte dowody winy jeszcze w dużej stancji leżały. Groźny oficer przemierzał cały dwór pusty najzupełniej — sam zaglądał w kryjówki, boczne izdebki, w sienie i na schody. Idąc tak ze stancji do stancji, znalazł się w wielkiej sali z gorzelnianami statkami — a stamtąd wkroczył do następnego pokoju, gdzie ongi mieszkał legendarny Dominik — a skąd tego ranka wyskoczyli przez okno w ogród dwaj spiskowcy. Pokój był długi, bez mebli. Pobudzał niejako do tego, żeby w nim spacerować. Oficer Wiesnycyn chciał być sam. Zaczął machinalnie, nie wiedząc o tym zgoła, wałęsać się z kąta w kąt. Zwały się na niego okrutne myśli i potworne uczucia. Ten pusty, zniszczony dom przypominał mu gniazdo rodzinne w głębi Rosji. Przygoda, która mu się dopiero co zdarzyła w pościgu i walce z dwoma powstańcami, ukazała w szczególnym świetle wszystkie zdarzenia tej wojny. Głucha mściwość, nie dająca się ugłaskać zgryzota, wynikająca z nieszczęśliwej miłości, nurtowała w tym wszystkim. Oficer czuł w sobie wzdarcę do siebie... Tamten, obskoczony przez żołdatów, stojąc w koszuli nad urwistym brzegiem, wołał słowo,

szarpiące, jak razy knuta. Słowo rozjuszało, paliło do kości. Trupem legł za to na pastwisku, oddany wronom. Lecz oto inne słowo drgnęło w pamięci — i zakrakało — zakrakało jak dzikie ptactwo nad trupem. Frazes z hercenowskiego artykułu, ciśnięty rosyjskiej duszy ku obronie Polski: „idź stąd precz, albo szarp jak kruk nasze trupy...” Głęboki śmiech, jak gdyby czyjś śmiech zewnętrzny, zahuczał w piersi: „...kluj wronom naszi trupy...”

Nie były to wyrazy, lecz jakby widok krwi ściekającej po nagim pałaszu. Treść ich zlepiała się ze wspomnieniem dokonanych zdarzeń, zeschła w rude jedno. Młody dragon, chodząc po izbie, coś przeklinał najstraszliwszymi wyzwiskami Moskwy — szarpał się w sobie, jak wilk na łańcuchu — co pewien czas szlochał w głębi piersi, łzy nie roniąc z oczu. Och, tak niedawno... W kole młodych przyjaciół czytał sam wzniosłe inwektywy genialnego emigranta. Nie tylko brał je w serce, nie tylko nimi oddychał, lecz stał w szeregu tamtych. Teraz „ogarnięty uczuciem powinności” jak kruk trupom wydziobywał oczy. Wiedział, że się w nim nie oprze nic tej „powinności”, którą w duszy rosyjskiej nitowały wieki na pniu pod katowskim toporem — i lkał.

Nagie ściany tego pokoju zdawały się nawiewać do serca rozpacz, wpędzać w żyły jad śmierci. Było coś w tej izbie, co się wyśmiewało z samopewności dzikiej potęgi, z siły i jej rozpętania, ze zdrowia ciał i z życia istot. Coś tu stowarzyszało się z człowiekiem — takie samo jak on, a zgoła inne — wałęsało z nim w samotni tej — nieistniejący cień — patrząc wygniłymi oczami truchła w jego żywe czucia, w mężną jego męczarnię, wyzywającą na rękę przeciwność. Kiedy jeździec oglądał się za siebie, widział tylko dawny pył i śmiecie podłogi, kurz grubą warstwą zalegający kąty, na którym niczyja od dawien dawna nie stanęła noga. Widok tego kurzu nie uspokajał, lecz podniecał. Oczy szukały na nim śladu stóp tego, co się w tym miejscu nie mógł, nie zdołał zwalczyć za życia i z życiem walczył po własnej śmierci. Oficer Wiesnicyn słyszał był za dawniejszych bytności klechdę o „Dominiku”. Teraz ją miał i czuł w sobie. Ogarnęła go tutaj, chwyciła ni to ramionami samowładna nuda życia — wstręt do czynów, które wykonywał i miał wykonać — zrozumienie jałowości wszystkiego, co było w tej walce męstwem, tęgością charakteru, wojennym rozumem i świadomym czynem. Po tylu trudach i czynach puste miał ręce, a w sobie nie duszę czującą, lecz jakby wycie wilka w ostępie. Po męstwie, walce, pracy, niespaniu — zajrzało mu w oczy moskiewskie pytanie: — po co to wszystko?

W trakcie gdy tak defilował z kąta w kąt gabinetu Dominika, usłyszał cichy, przeciągły jęk, nie wiedzieć skąd wychodzący. Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Jęk

powtórzył się i trwał z nieznośną monotonią. Oficer spostrzegł, że ten głos płynie z sąsiedniej sali. Skradając się na palcach, przyszedł do jego źródła. Wsparłszy się na rękach o brzeg kadzi, gimnastycznym podźwignięciem uniósł swe ciało z ziemi i zajrzał do wnętrza wielkiego naczynia. Z jego dna patrzyły nań oczy powstańca gorejące jak płomienie. Dragon siadł na brzegu obwodu kadzi, przerzucił nogi i zeskoczył do wnętrza. Zaśmiał się z grubiańską radością. Nareszcie coś znalazł, czym można będzie zdławić „chandré”, ściąć jednym zamachem łeb wzburzeniu duszy.

Wydobył zza pasa pistolet i skierował jego lufę między oczy leżącego.

— Kto jesteś? — spytał.

— Powstaniec — rzekł Odrowąż.

— Skądś się tu wziął?

— Jestem ranny.

— Gdzie cię raniono?

— W bitwie.

— Jakie masz rany?

— Mam ranę w biodrze od kuli...

— Kto cię tu ukrył?

Ksiązę milczał. Wiesnicyn pokiwał głową. Zrozumiał. Oczy mu przesłoniła zadymka wściekłości. — Spytał:

— Ta panna ukryła cię tutaj?

Ksiązę milczał.

— Aresztuję cię! — rzekł Wiesnicyn.

— Po co? Zabij mnie. Trzymasz w ręce nabity pistolet. Jeżeliś żołnierz! Jeżeliś oficer! Wystrzel! Przecie umiecie rannych mordować.

Wiesnicyn patrzył mu w oczy, broń odwiedzioną trzymając w obwisłej ręce. Było dlań odrażające to polskie męstwo... Mruknął:

— Wstawaj! Aresztuję cię!

— Gdy mnie stąd zabierzesz, umrę wam w drodze. W więzieniu nic nie powiem, gdybym wyżył. Jestem prosty żołnierz. Wystrzel!

— Postąpię, jak zechcę.

— Jeżeli pan nie wystrzelisz, postąpisz jak tchórz!

— Milczeć!

— Gdybym mógł stanąć na nogach, zabiłbym cię jak psa! Więc i ty mnie zabij jak psa! Jesteśmy śmiertelni wrogowie.



– Nie jesteś wrogiem, godnym mnie, niewolniku.

– Niech już raz przestanę cierpieć! Och!...

– Leż tutaj, kochanku pięknej panny.

Oficer, stojąc nad tym człowiekiem, zamyślił się, zadumał głęboko. Miałże podnieść rękę i wystrzelić między oczy tamtego? Miałże odejść? Jeszcze bardziej wzmogła się w nim zgryzota. Znowu ów śmiech... Odwrócił się ze wstrętem, uczeplił brzegu kufy, dźwignął na rękach i wyskoczył na zewnątrz. Właśnie nadciągnęła partia żołnierzy, która ściagała była powstańca na koniu. Jeźdźcy wracali na rumakach zhasanych, dymiących się, żółtą obwieszonych pianą — z niczym. Wachmistrz zdał raport, że buntownik na dragońskim kasztanie dopadł do lasu, skoczył w bok z drogi — jak to wytropili — a później, widocznie, kluczował po mchach i trawach, bo już jego śladów nie mogli odnaleźć. Rozdzielili się i obławą idąc, przeszukali cały las na wylot. Zjeździwszy go w różnych kierunkach, nigdzie na trop nie trafili.

Część żołnierzy, która czyniła poszukiwania panny, wróciła również z niczym. Pytano ludzi we wsi, śledzono i tropiono, lecz, widać, daleko uciekła...

Oficer wysłuchiwał obydwu sprawozdań w posepnym milczeniu. Czuł wstręt do tego domu, jaki się ma do starych grobowców. Wszystko mu było jedno — strzelić między płonące oczy powstańca, czy jechać w dalekie lasy. Namyslał się. Kazał okiełznać rumaki, zebrać się i siadać na koń. Lecz jeszcze wciąż wałęsał się w ganku. Czekał. Pragnął, żeby wróciła piękna panna. Chciał zrobić jej podarunek — oświadczyć z owym śmiechem wewnętrznym, że składa w prezencie owego w kadzi. Widział go i nie zabił, nie zabrał ze sobą. Chciał w jej oczach zobaczyć błysk wdzięczności, iskrę wzruszenia, bladość strachu, róż wstydu, ludzkie spojrzenie... Nic nie wskazywało na to, żeby nadeszła, a przecie czekał z ufnością, znaną tylko rozkochanym duszom.

Żołnierze od dawien dawna siedzieli na koniach. Wskoczył na swego. Odjechał z zamkniętymi oczami, z nocą w duszy i z niepojętym krzykiem w tej nocy.

## IX

Nad wieczorem, gdy już oddział dragoński od paru godzin znikł w lasach, panna Salomea wróciła do domu w towarzystwie Szczepana ze swej kryjówki na górze. Pobiegli obydwójce do rannego, żeby go z kadzi wyciągnąć i złożyć na posłaniu. Niezwłocznie też udali się nad rzekę. Ze zwłok Olbromskiego wypłynęło tyle krwi, że cały spłacheć ziemi nią nasiąkł. Panna Salomea przysiadła nad zabitym. Nie mogła

płakać. Człowiek, który wczoraj patrzył na nią rozumnymi i dobrymi oczyma, jedyny, któremu by zawierzyła, leżał w postaci zeszeconych szczątków. Nie rozumiała ani kolei zdarzeń, ani zależności wypadków od głębokich przyczyn, ani tego straszliwego chaosu, który ją w sobie obracał jak młyńskie koło kropelkę wody. Nie wiedziała, że i ona sama jest maleńką przyczyną obrotu wielkiego koła. Nie mógł jej tego wszystkiego wytłumaczyć ojciec, prosty, wierny żołnierz — ani ranny powstaniec — prosty entuzjasta — ani nikt z ludzi, przeciągających przez ten dom, który się stał jak sień publiczna. Czowała, że jedni rzucili się w odmęt walki wskutek zaślepienia, które nie liczy i nie mierzy — inni popchnięci przez błędny rachunek — inni porwani przez wielki sen wolności, albo jej nadzieją — jeszcze inni z rozkazu, dla mody, idąc w stadzie — inni z tchórzostwa przed opinią. Ten jeden, wczorajszy gość, wiedział, co cały chaos znaczy, mierzył jego siłę, badał kierunek i nastawiał go na jakąś, sobie wiadomą drogę. On byłby jej wytłumaczył wszystko, byłby nauczył, co znaczą zdarzenia, bo mądrość i sprawiedliwość świeciły się w jego oczach jak gwiazdy w nocy. Lecz oto ten właśnie leżał u jej nóg, z głową rozciętą, z której goły pałasz wyłupał mózg.

Nie mogła płakać. Dusila się od czegoś, co zatkało gardziel. Kazała Szczepanowi, żeby przyniósł rydel i wykopał grób dla tego człowieka. Stary kucharz siedział na zgnitym pieńku wierzby i żuł skibę żołnierskiego razowca, którą był porzuconą znalazł na stole w kuchni. Gdy powtarzała rozkaz, jął mruzczyć:

— Będę ta kopał! Nic ino toto noś, dźwigaj, obsługuj, brudy jeich wynoś. Tera znowu kop!

— Cicho! Popatrz...

— Będę ta na niego patrzył!

— Szczepan!

— Chce się takiemu gzić, to się gzi. Roboty dla nich na świecie nie ma. A ty mu znowuj dół kop!

— Cicho — cicho!...

— Dy ja nie wrzeszczę. Nie robię, co potraza?

— Jeśli Szczepan nie chce, to ja mu sama dół wybiorę.

— A no rydel jest, stoi.

Po chwili wstał ze swego pniaka i począł oglądać miejsce na małym wzgóreczku, bliżej ogrodu. Pchnął rydel nogą w miękką ziemię... Wykreślił nim na murawie miejsce na chłopa. Plunął w garść i wziął się do kopania jamy. Pracował w milczeniu, z najzupełniejszą obojętnością. Przez cały ten czas panna Brynicka siedziała w głowach

zmarłego. Nie spostrzegła, że zza węglów stodoły, zza drzew wysuwali się gospodarze wiejscy, baby i dzieci. Łączyli się w gromadki, szepczące pomiędzy sobą. Utworzyło się z nich koło ciekawych widzów. Szczepan wykopał niegłęboki grób. Zmierzch padał, gdy przyszedł, ujął trupa za nogi i pociągnął do dołu. Panna Salomea szła za zwłokami do grobu. Złożone zostały w wilgotnej, wodą podmokłej ziemi i prędko zasypane czarnymi bryłami.

Wolno wracali obydwójce ze Szczepanem do dworu. Było ciężko iść. Było nudno i zimno w sercach. Patrzyli z odrazą na czarny dach nakrywający siedlisko niedoli. Niechętnie wkraczali w progi. Gdy weszli, pierwszą czynnością było uprzątnięcie dwu pościeli wczorajszych gości, które jeszcze w dużym pokoju leżały. Panna Salomea, świecąc sobie latarnią, zabrała się do roboty. Lecz gdy się zbliżyła i dotknęła prześcieradeł, kołder, poduszek, przejęła ją awersja. Obydwie pościele pokryte były mnóstwem wszy. Przyniesione tu zostały z żydowskich zajazdów, z chłopskich tapczanów, z wyrobniczych legowisk — ślad terania się polskich wozów po norach polskiej nędzy... Wszy zostały żywe, gdy dwaj ludzie znikli jak cienie...

## X

Upłynęła połowa kwietnia. Długotrwała, wciąż nawracająca się zima wreszcie zelżała. Z góry za dworem, na której wciąż jeszcze tały się w krzakach szmaty śniegu, spłynęły strumienie wiosenne. Wodne warkocze splatały się między sobą w ruczaje lśniące na słońcu i biegły przez piaszczyste pochyłości ogrodu. Zniszczone zostały płoty, parkany, klomby, drogi gracowane — a wiosenne wody brały w posiadanie stok góry, niepostrzeżenie czyniąc zeń pustkowie. Strumień, nieznany dawniej, biegł tera; przez środek i w ukos ogrodu, ku rzece. Tylko jeszcze dwór stał na jego drodze. Młoda trawa puściła się wszędzie.

W tych czasach zdrowie powstańca zmieniło się na lepsze. W okolicy kolana przestrelonej nogi utworzył się olbrzymi wrzód i po kilku tygodniach pękł wreszcie pewnej nocy, jakby rozdarty od spazmatycznych krzyków ранego. Jakież było zdumienie trzech osób, gdy z wnętrza tego wrzodu wytoczyła się ołowiana kula! Po tym wypadku Odrowąż przyszedł do siebie, choć był jeszcze bardzo wychudły i osłabiony. Rany na jego głowie i ciele pogoily się. Rozdarcie pod okiem dobrze zarosło i źrenica była zupełnie zdrowa. Gęste włosy osłoniły blizny rąbane na czasce. Książę podnosił

się z łóżka. Sam już kusztykał, gdy trzeba było uciekać i kryć się w stodole podczas przemarszów wojsk. Sam o kiju słaniał się po domu.

Pewnego wiosennego dnia stali z panną Salomeą w oknie sypialni. Pupinetti śpiewał, przekrzywiając główkę — a co zobaczył, że słońce tryska zza wiosennych obłoków, to coraz głośniej szczebiotał. Przed oknem, na pustym dawniej gazonie puściła się jasna trawa, lśniąca w ogniach wiosny tysiącem młodych piór. Wśród tego gazonu stała brzoźka młodociana, wysmukła i w drzewo już przerastająca, lecz jeszcze wiotka i chuda. Wątle kłobuczki stulonych listków osypały jej pręty, czub i boki. Poprzez tę szatę przezroczystą widać było wszystkie pręty i witki, każdy pęd i jego odnóżkę. Brzoźka stała w wiosennej zasłonie jak anioł, który by z przelotnych spłynął obłoków i spoczął przez krótki czas na nieszczęśliwej ziemi. Ruczaje, pędząc tu i tam w ogrodzie, pozamulały dawne ścieżki, rozmyły granice, niszcząc wszystko, co na tej pochyłości zaznaczyła swego myśl i wola człowiecza. Radość niestrzymana, igraszka rozkoszy bytu, drgała w skrętach i splotach nagłych strumieni, co z zatraconą szybkością pędziły w nizinę. Jeden z takich przewijał się w poprzek dawnych alejek i zahaczał o gazon, na którym brzoźka jaśniała. Zmulił tu trawę i rozpostarł na niej żółtą powłokę gliny obcej, przyniesionej z góry. Brzoźka piła jego zimne wody — i przedziwny uśmiech spływał z niej na strumień, łącząc oboje. Taki sam uśmiech zakwitł na ustach księcia Odrowąża i panny Brynickiej. Cieszyli się widokiem drzewka i bujnej wody. Od tyłu tygodni, w udręczeniu przeżytych, swobodne tchnienie wesołości pierwszy raz z ich piersi wybiegło. Skończyła się wreszcie sroga zima, której okrucieństwo najgłębszą miarą odczuwania zmierz yli. Ciepłem znowu tchnął wiatr i żywotwórcze swe soki puściła martwa ziemia. Ta zima miniona zdała się być jak przepaść pusta, pełna mroku, jako czas niebyły. Przypatrywali się trawom, obłokom i podnieśli wzrok na siebie.

— Czy też i Dominik widzi tę wiosnę? — zapytała panna Salomea nie towarzysza, lecz raczej ogrodowej przestrzeni.

— Żadnego Dominika nie ma... — odpowiedział.

— A zapewne! Nie ma... Sama go tu widziałam.

— Sen, jak moja choroba...

— Pańska choroba to także sen?

— Zły sen.

— A ta kula, co z rany wypadła? To także sen? Prawda! Chciałam pana o coś prosić...

— Mnie prosić? „Choćby połowę królestwa”!

— Na razie to tylko o tę kulę, ale za to całą. Niech mi ją pan daruje.

- Dobrze.
- Dziękuję.
- A cóż pani będzie nią robiła?
- Cóż się kulą robi? Będę wojowała.
- Z kim?
- Mało to mam wrogów przed oczyma?
- Jacyż to są wrogowie?
- A już! Będę wyliczała...
- Żeby wymienić chociaż jednego!

– Niedługo pan stąd zniknie, jak poznikało wszystko. Skoro będę znowu samiuteńka jedna i wyda mi się, że pan był — sen — spojrzę sobie na tę kulę i przekonam się, że pan tu był naprawdę.

Odrowąż zamilkł. Głowa jego bezsilnie wsparła się o futrynę. Myślał... Tyle nieopisanych, odrażających cierpień zniósł w tej izdebce, w tym domu bezpiecznym jak Polska — a teraz na myśl, którą mu podsunęto, że trzeba stąd „zniknąć”, odejść — drapieżna boleść, stokroć gorsza niż wszystkie fizyczne, nowym, nieznanym narzędziem rozdarła mu serce. Z ukosa, nie odrywając głowy od futryny, spojrzął na pannę Salomeę. Po tyłu trudach, niespaniach, biedach i prywatjach była przepysznie zdrowa. Pierwszy wiosenny wiatr, który jej przybladłych lic dopadł, pomalował je różem najsubtelniejszym, ozdobił czoło i szyję lekką pozłotą. Zęby, białe jak najczystszy obłok kwietniowy, uśmiechały się w pąsowych usteczkach. Mówiła, kiwając głową:

– Już się Żydy w karczmie zwiedziały, że we dworze ktoś jest. Ryfka mnie ostrzegła. Dojrzeli pana ludzie ze wsi, kiedy się to kuszykało do stodoły. Jestem przez pańską tutaj obecność skompromitowana.

- Politycznie.
- Nie tylko.
- Umknę do partii za dwa, trzy dni i wszystko się skończy.
- Proszę, jaki to pan wartki do umykania! A potrafi też wasza książęca wysokość chodzić prosto na nogach? Bo uczyli mnie w klasztorze takiego wierszydelka: „Pierwej, niżeli latać, nauczcie się chodzić...”
- Sama mnie pani przed chwilą wypędzała.
- Z tym wypędzaniem! Myślę co tu dalej robić...
- Z czym?
- Ze wszystkim.

— Nie rozumiem.

— A cóż tam panu po rozumieniu? Był pan tutaj, a teraz wstanie i odejdzie. Ważniejsze przecie rzeczy są na głowie, niż to wszystko.

— Niż co?

— Och, z dopytywaniem się znowu! Nic, tylko mnie się wszyscy dopytują: — a kto, a co, a jak, a kiedy, a jakim sposobem? Zdecyduj! Przecie mnie to już mogło na śmierć zanudzić! Nie? Niechże też i księżę pan odrobinę poradzi!

Wszystko, co mówiła panna Salomea, było jak zewnętrzne litery słów maskujących wnętrze duszy. Już od dawna czuła w sobie niepojętą zmianę. Nie była dawną sobą. Przestała być wolną dziewczyną. Wszystko niby to było normalne i w porządku — wszystko jak trzeba. Skrwawiony wojak przyszedł, doznał opieki i oddali się do ciężkiego obowiązku żołnierza. Cóż prostszego? A oto na myśl o tym, że on pójdzie, coś wstrętniejszego niż wszystkie przeżyte męczarnie, coś gorszego niż sama śmierć zaglądało w oczy. Panna Mija krążyła teraz wciąż w myślach, że skoro tylko ten Odrowąż przepadnie, trzeba będzie zrobić coś takiego, by przyspieszyć swą śmierć. Trzeba wymyślić jakąś sprawę, która by była sama przez się dostateczną przyczyną do zadania śmierci. Zostać znowu samej w tej pustce, z chodzącym po niej cieniem, z głuchym, ponurym Szczepanem! Czekać znowu po nocach na fenomeny tragedii, co się wciąż stawała: nocnych najść, rewizji, grubiaństw... Widzenie tych przyszłych dni było po tysiącokroć ohydniejsze (choć to tak trudno udowodnić!) — od krótkiej śmierci... Żal było tylko ojca. Cóż będzie, gdy na swym zdrożonym koniku w nocy przyjedzie, w okno zastuka, a pustka mu odpowie? Pójdzie z powrotem i dla przegranej ojczystej sprawy, jak mężnie żył, walecznie zginie. Toteż pragnęła go pocieszyć tym przynajmniej, żeby samej skończyć w sposób sercu jego miły — czyli śmierć ponieść. I śniły jej się piękne czyny, ponurym oświetlone urokiem. Widziała je jak rzeczywistość, żyła się z nimi. Odrowąż w tym wszystkim jakby nie istniał. Kiedy niekiedy tylko przypominała sobie, że to będzie z jego powodu i wówczas, gdy on będzie nieobecny. Żywiła do niego za to wszystko raczej niechęć niż jakiegokolwiek inne uczucie. Obarczała go najrozmaitszymi wyrzutami, a w obcowaniu z nim była zawsze szorstka i nieraz przykra. Ale za to w sekrecie jakże bez miary lubiła na niego patrzeć — osobliwie, gdy spał! Włosy miał długie, zwisające czarnymi pasmami jak przepyszne pióra — rysy twarzy ostre i w jedyny sposób ocienione młodym zarostem. Już to od dawna, gdy znosił bóle fizyczne, męczyła się z nim, a raczej dziesięćkroć więcej — za niego, dla odkupienia tych cierpień.

Rany jego były w jej ciele i w duszy, w sercu i w snach. Ileż to snów przeniknęły, niby krwawe, bezkształtne zjawy — te głuche i ślepe rany!

Widziała go wielokroć nagiego i zachwycała się bezwstydną pięknnością męskiej postaci. Gdy zagoiły się rany i w oczach piękniał, rosło tajemne w jej sercu nasienie tego uroku. W miarę powrotu do świadomości stawał się sobą, wracał do arystokratycznych upodobań, wstrętów, gustów, przyzwyczajień, nałogów. Każdy z jego odruchów brała w siebie jako niewzruszony zakon. Lubiała, co lubił — nienawidziła, co mu sprawiało najlżejszą przykrość. Na to, żeby mu dogodzić, żeby sprostać jego książęcej potrzebie, nie mogła nic zaradzić, więc trwała w biernym wyczekiwaniu. Ale każdy jej krok, ruch, myśl, każde uczucie i zamiar — były na jego skinienie, dla jego dobra. Nie chciała, żeby o tym wiedział. Wstydziała się jak śmiertelnego grzechu tych usposobień. Kryła się z nimi przed nim i osłaniała je zewnętrzną szorstkością, ale też tym boleśniej łamała się i męczyła w sobie. Dawniej spali w jednej izdebce. Gdy noce nie były już tak zimne, wynosiła posłanie do dużej stancji. Dopóki nie miała w sobie tych szczególnych uczuć, mogła spać w tamtym pokoju, obok rannego i nic sobie nie robić z opinii wszystkich ludzi, którzy by o tym wiedzieć mogli. Teraz, gdy poczuła ową niezdlawioną, niezniszczalną obawę przed odejściem Odrowąża, wstydziała się być z nim nocami razem — wstydziała się nieobecnych i niewiedzących ludzi, a nawet siebie samej. Co prawda — zatliło się w niej pragnienie, żeby go całować w łagodne usta i w smutne, cieniem zasnute oczy. Często w nocy umyślnie przy jego łóżku zostawiała latarnię i skradając się na palcach z drugiego pokoju do drzwi sypialni, patrzyła bez końca na te usta i na oczy, zakryte powiekami. W tym topieniu oczu w jego ustach była rozkosz śmiertelna.

Pocałunek nie był obcy jej wargom. Wychowana w domu, gdzie było wielu chłopców dorastających, kuzynów, krewniaków — gdzie trwał nieustanny zjazd gości, sąsiadów i znajomych — piękna panienka była przedmiotem ciągłej wszystkich pokusy. Nie miała możliwości odeprzeć wszelkiego rodzaju nagabywań i zalotów, a ulegając im, sama zapoznawała się ze zdradziecką siłą powłóczystych spojrzeń, pierwszych powiewów upodobania, przyjemności zetknięć w ciemnym pokoju i gwałtownych całusów w lica i szyję, niby to wydartych i skradzionych, a właściwie dobrowolnie ofiarowanych. Nikt jednak z przelotnych szczęśliwców nie posiadał uczucia panny Mii. Była to raczej łobuzeria pięknej dziewczyny, rozwydrzonej swym powodzeniem, fuga surowej a bujnej natury. Pewien starszy już kuzyn, który przez czas dłuższy bawił w Niezdołach, podobał jej się jako mężczyzna. Był bardziej niż inni elegancki, miły, a co najważniejsza

przystojny. Tego odwiedzała nawet dwa razy w jego stacji gościnnej, ulegając prośbom. Pierwszy raz nie broniła mu pocałunków swych rąk, drugi raz objęć w pół i całunków w policzki i szyję. Następnie jednak, gdy spostrzegła, że kuzyn darzy względami każdą przystojną białogłową, żalowała swego afektu i z całej tej przygody wyniosła głęboką niechęć. O krewniaku, gdy wyjechał, zapomniała. Życie towarzyskie i stosunki płciowe na dworze niezdolskim nie odznaczały się subtelnością. Było to życie zamożnej szlachty bez poważniejszej oglady. Rozmowy były dość trywialne; stosunki z płcią piękną niemal ordynarne. Toteż panna Salomea pochwytała mnóstwo najrozmaitszych wiadomości od służby, a głównie z rozmów męskich, które tyczyły się życia płciowego. Myśli jej stały na poziomie niezdolskim.

Teraz dopiero w obcowaniu z księciem Odrowążem spostrzegła coś innego: wyjątkową miękkość traktowania, grzeczność, czystość, powściągliwość w słowie, pomimo że współżycie było tak bliskie i z konieczności bezpośrednie. O jego stosunkach rodzinnych nic prawie nie wiedziała. W czasie choroby z okrzyków w bólach wydawanych, z gorączkowych wzmianek powzięła wiadomość, że ma matkę. Kiedy indziej w momencie przytomności wspomniał, że się kształcił w Paryżu i że tam długo przebywał. Z rozmaitych wreszcie szczegółów wywnioskowała, że musiał być z bogatej sfery, a w powstaniu uczestniczył wbrew woli najbliższej rodziny. Te wszystkie okoliczności otoczyły go mgłą uroku, niezwalczonym zapachem powabu. Jeżeli się musiała wydalić z pokoiku rekonwalescenta, ogarniała ją natychmiast niezwykła tęsknota. Skoro można tam było wejść, coś ją niosło jak wichurę. Gdy teraz zaczął wracać do zdrowia, w ciele jej obudziły się jego siły. Wzmogły się także troski o bezpieczeństwo. Cała dusza pełna była zmian i wzruszeń, niespodzianych ogni bijących z dna serca — a najczęściej bezmyślnego zatracenia.

Tego wiosennego dnia wszystko stało się bliskie i jasne. Powiew zdawał się wydobywać słowa z ust ściśniętych — nieść je i dopowiadać dźwięki, których brakło w zduszonej piersi. Książę, w pół leżąc na parapecie okna, oparty o futrynę, spoglądał w zniszczony ogród. Uśmiechnął się łagodnie, mówiąc:

— Gdyby nie pani, to bym już leżał w tej mokrej ziemi. Wyrosłaby na mnie młoda trawa.

— Byłby z pana jaki taki pożytek. A tak, to tylko zmartwienie.

— Zapewne. Przynajmniej koń moskiewski uskubnąłby mnie i spożył. A tak, to rzeczywiście tylko zmartwienie. No, ale przecie prosiłem nieraz, żeby mnie zgładzić. Nikt nie chciał. Nawet dragoński porucznik...



— Widać pan jest przeznaczony do wyższego jakiegoś celu.

— Do celu wysokiego — i z drewna.

— O, już swoje! Ciągłe wskazywanie na tę swoją bramę tryumfalną...

— Ja? Gdzież tam!

— Dopiero by się to różne księżniczki zapłakiwały, gdyby mogły wiedzieć, jak się pan w kadzi na sucho gotował! Szczęście, że się o tym nigdy nie dowiedzą, bo by się pan utopił w powodzi łez...

— Co ma wisieć, nie utonie.

— Och, z tą szubienicą! Jakoś się pana śmierć nie ima, więc co będzie, to będzie, a szubienicy nie będzie.

— Jeżeli mnie pani będzie bronić zawsze od śmierci, to mi ona nic nie robi.

— Zawsze! To „zawsze” będzie trwało — może dzień, dwa, tydzień i drugi niecały. Jakże tu ratować, gdy pan zniknie...

— Jakoś mnie pani wciąż stąd słowami wypycha.

— To się wie. Taka już ze mnie niegościnna gospodyni. W spiżarni pustka, zęby wbij w ścianę I A tu nieoczekiwany gość, — w dodatku księżę...

Odrowąz podniósł ciężką głowę, odwrócił się i patrzył w inną stronę. Wiedziała dobrze, że ważkie łzy kapią z jego oczu na odrapany mur podokienny. Coś ją ścisnęło za gardło. Własne nieopatrzne słowa werznęły się w piersi jak zęby piły. To się uśmiechnęła złośliwie, to spoglądała nań bezradnie, co począć sama nie wiedząc. I oto wbrew woli, gdy włosy nad czołem zdawały się ogniem zajmować od niezwalzonego wzruszenia — wsparła rękę na jego ramieniu. Położywszy zaś dłoń, uczuła, że jej oderwać nie może. Wstrząsnęła go z lekka za ramię. Nie odwracał głowy. Łzy wciąż kapały z jego oczu. Wtedy, nie panując nad sobą, podniosła drżącą rękę i zaczęła nią głaskać mu długie, lśniące, czarne włosy. Uspokajała go jak dziecko nieszczęśliwe, łagodnie szepcząc zalęknione, ciche wyrazy. Wreszcie nachyliła się i wszystka w uśmiech przeistoczona zaczęła całować jego białe czoło. Całowała je łagodnie, delikatnie jak kwiat, którego niepodobna napatrzeć się, ani nawąchać — aż go wreszcie same usta przytuliły do siebie. Z zapomniałą miłością prowadziła wargami po pasmach jego włosów. Nie odwracał głowy przez czas długi, ani zdumiony, ani przejęty tym jej występkiem. Serce jego zatopione w głębokości smutku nie zdziwiło się i nie rozradowało. Gdy podniósł oczy, wciąż jeszcze pełne były łez. Patrzył na nią przez te łzy bez ustanku napływające i szlochał o straszliwej doli kraju — o klęskach, których wspomnienie w lód krew ścina... Mówił jej, jakie były przewidywania siły — i jak

zawiodły — o wierze i nadziei, z których tylko rozpacz została. Przytuliła jego głowę do swojej i coś radosnego szeptała mu w oczy i w uszy. Nie mogliby wyznać, gdyż nie pamiętali, czy to były pocałunki, czy tylko słowa i spojrzenia. Dusze ich nawzajem znalazły się w sobie, pobrały i zakochane jedna w drugiej niosły się nad ziemią, jak dwa wiosenne obłoki.

## XI

Pewnej nocy wiosennej gwałtowna ulewa zdawała się zatapiać świat. Potoki deszczu dudniły po dachu i pluskały za okiennicami na głucho zawartymi. W pokojach panowała nieprzenikniona ciemność. Panna Salomea od wielu godzin leżała bez snu na swym posłaniu w dużym salonie. Drzwi od Odrowąża były przymknięte, gdyż zawsze teraz te drzwi, idąc spać, przywierała. Wszystkie myśli nieszczęśliwe, z miłości wyrosłe, rozpostarły się nad nią w tej nocy głuchej i potwornej. Zdawało się, że krążą jak przeklęta czereda dookoła pościeli, że koślawe palce zapuszczają we włosy i wynoszą głowę ze snu. Co począć? Co przedsięwziąć? Jak wyjść ze sprzeczności i dać sobie radę? Jakimże środkiem uśmierzyć niezwalczone cierpienia serca, zadusić szlochy i ciskanie się ślepe wewnętrznej potęgi bólu?

Już w tej nocy tysiąc razy odważała się na rozmaite uczynki. Uciec z tym człowiekiem! Zginąć z nim gdzieś w bitwie, w jakimś dzikim, zwierzęcym, istic moskiewskim zdarzeniu! Skonać z nim razem, tutaj lub gdzie indziej — byleby tylko samej w tym miejscu bez niego nie zostać!

Jakże to będzie? Nie wiedzieć, dokąd poszedł i nie wiedzieć, co się z nim stało! Przybył obcy człowiek, a stał się wszechwładną siłą, która w duszy rządzi i świat sobą napęlnia. Terazze czekać na wieść i nie doczekać się nigdy niczego! Żyć, gdy go nie będzie, skoro on jest życiem! Być w tym samym miejscu i wspominać każdą chwilę, przeżywać po wtóre wszystkie wypadki — i nadaremnie czekać, czekać na jakąś zbójcką wieść! Każda rzecz przestanie być sobą — stanie się obrazem, albo wspomnieniem. Czy znowu — dowiedzieć się, że gdzieś jest, ocalał, ale jest z inną kobietą, mieszka tam i tam... Spozrzegała poprzez nocny mrok obcą twarz, oczy kobiece w jego oczy wpatrzone i umierała od tego widoku w najgłębszej męczarni. Och, jakże znieść takie cierpienie?

Porywała się tedy ze swego legowiska do jakiegoś dzieła, które by go jej oddało. Przecie on jeszcze jest! Tu, za przymkniętymi drzwiami! Zawołać go półgłosem — i

obudzi się. Odezwie się cichym, najśłodszy szeptem. Można go widzieć, dotknąć rękoma, mówić i słuchać. O, radości, radości! Przeżywała szczęście swoje, pieszcząc się nim jak matka dzieckiem. Kładła na sercu gorejącym w płomieniach tę chwilę, która biegła i kołysała ją na łonie swym, błagając, żeby jak najdłużej, żeby nieskończenie ta chwila trwała! Lecz świadomość szczęścia wzniosła się jeszcze wyżej i odsłoniła prawdę bezwzględna, że chwila upływa — dzień — noc przeminie, a następna doba to już może ostatnia. I znowu wybuchała podnieta: co czynić? Jaki znaleźć ratunek? Jak zacząć? Co zacząć? Na co się odważyć? Wspominała ojca — i konało w niej serce. Patrzyła w tę miłość nieustraszoną źrenicą i przeważała ją po tysiącokroć dokładną miarą swojej nowej, nieszczęsnej miłości. Ta niepojęta dla wszystkich siła, to nic — stało się wszystkim i wszystko pochłonęło w sobie. Słyszała głosy: oto Mija! Na tym skończyła! Zwyczajne, pospolite rzeczy, ordynarne dzieje. Puściła się z powstańcem, który do domu zaszedł. Nikt jej nie pilnował, więc skorzystała. Bezgraniczna, niezgłębiona męka, straszliwa moc miłości — i ta siła sądu ludzkiego, co się w powyższych zawierała słowach! Jakież okrucieństwo! Jaki szal ludzki! Płomienie biły na głowę i serce dziko wrzało. Szlochała w poduszkę.

Więc cóż uczynić? — „Milczeć, zapomnieć” — jak to mają zwyczaj nauczać starsze niewiasty. Porwała się ze swego miejsca z dziwą rozpaczą: wiedziała, że nie zapomni i że sobie rady nie da. Gdy przyjdą te dni, które w dalekim mroku widziała — udusi się z męczarni. To znaczy zapewne rozkaz: „milczeć, zapomnieć”. Jakże zapomnieć o tej głowie, tych oczach, o tym uśmiechu, o dźwięku jego wyrazów! Jakaż jest na to siła, co jest za sposób, żeby zapomnieć? Wiedziała, że takiej siły nigdzie nie ma i że nic na świecie wydać jej ze siebie nie może. Bo jakże wyjąć z duszy cały jej świat, jak wyrwać wszystko, co tym światem rządzi?

Postanawiała znowu... Przedsięwzięcia dziwaczne, najbardziej nieprawdopodobne, wobec których przed chwilą mróz jej plecy przenikał, wydawały się naturalne i łatwe do wykonania. Lecz nim chwila minęła, wyrastał mur rzeczywistości. Zamykała się brama z prawej i brama z lewej strony, a głuche życia więzienie kładło na ręce kajdany.

Cóż uczynić z miłością ojca? Podeptać, odepchnąć? Przyjedzie w nocy i nie zastanie. Szczepan go zawiadomi, że tak i tak. Nie zabili jej wrogowie, nie „zgwalcili” przemocą żołdacy — co by dla świętej sprawy z żołnierską mocą przeboleł i Bogu oddał na sąd — lecz ohydnie puściła się z powstańcem. Uciekła z nim i gdzieś się wałęsa. I oto miłość ojcowska, głębokie, naturalne czucie jak oddech proste — ukazało się jako złe, jako przemoc i tyrania. O, rozpacz, rozpacz! Jakże to mogła zrozumieć w sobie, osądzić —

jaką wszechmocą pokonać i skarać? Leciała do straszliwego zjawiska, żeby je szarpać i deptać, a nagłym tkniętą wspomnieniem patrzyła w inną stronę. Ukazywały się cudne widoki. Pojechała z nim, ze swym małżonkiem, w dalekie, obce, szczęśliwe kraje. Nie ma już tej ohydnej zbrodni, co się wśród nocy wałęsa po drogach, placach i domach ziemi zdeptanej, kołace do okien i rozrywa ludzki sen! Nie ma już tortur poniżenia i zgryzot wstydu, drgania kobiecej nagości pod okiem cudzoziemskich żołdaków! Wyciągnęła ręce w ciemność do szczęścia, które było za lekko przymkniętymi drzwiami.

Lecz wyciągnięte ręce chwycił i załamywał los... Musiały się cofnąć. Siedząc na łóżku z głową nisko zwieszoną, z rozpuszczonymi włosami, zatopiła w nich palce. A jak włosy palcami, tak samo myślą przebierała pasma i widoki swoich zagadnień. Przelotne marzenie, szczęśliwy mrok uczuć a omdłałość woli — poniosły w kraj półjawy, gdzie takty nieprawdopodobne stają się dokonaniem. Widziała obce miasta, słoneczne krainy. Przesuwali się ludzie, obcą gwarzący mową. Nawijały się przygody niewiadome duszy, zagadnienia, o które jeszcze nigdy nie zahaczała myśl. Widziała twarze ludzi, kształty gmachów, barwy pól, aleje i zagaja drzew w słonecznej, wyśnionej stronie. Tam to — daleko — odbywała się wędrówka z jej księciem panem...

Nagle, wpośród tego półspania dał się słyszeć daleki w domu łoskot, jakby kto strzelił z palnej broni albo uderzył z mocą w puste naczynie. Potem nastąpiła cisza tym głębsza i zupełniejsza. Włosy zjeżyły się na głowie. Trwoga wionęła przez zmartwiałe ciało. Natężony, a pobudzony słuch powziął złudzenie nowego huku. Był ten drugi łoskot — czy nie? Zapewne był, bo ciało po nim drży jak liść. — Dominik! — Jeszcze chwila i coś pokojem wionęło, jakby się drzwi do wielkiego salonu na rozcież a bezszelestnie otwarły. O, Boże! Stoi we drzwiach! Czarna postać — biała twarz.

Zakryła dłońmi oczy, zwinęła się w kłębek, wtuliła głowę w poduszkę, lecz widoku postaci nie mogła z oczu wytrącić. Lęk począł nią miotać. Coś pędziło z miejsca, uderzając w kości, gnąc zebra. Nie mogła! Porwała się na nogi. Przerażliwie krzyknęła.

Za przymkniętych drzwi książę odezwał się raz i drugi. Szeptem pytał, co się stało. Czy to żołnierze we drzwi łomocą? Plusk deszczu zagłuszał jego słowa, a dudnienie ulewy po dachu przeszkadzało rozróżniać wyrazy. Nie wiedząc ze strachu, co się z nią dzieje, drżąc na całym ciele, panna Mija wysunęła się z pościeli i w białiznie szła przez ciemność, patrząc rozwartymi oczyma we drzwi salonu, gdzie niemal na jawie widziała stojącą Dominika postać. Jeszcze zakrzyknęła i straciwszy rozsądek, dopadła drzwi Odrowąza. Wskoczyła do tego pokoju wszystka w ognjach przerażenia, szczękając zębami — i z krzykiem. Dopiero tam, gdy stanęła obok łóżka powstańca, opamiętała się,

co zrobiła. On wtedy, dostrzegłszy białą jej postać w ciemności, wyciągnął ręce i trafił na zaciśnięte dłonie.

— Co się dzieje? — pytał.

— Dominik! — wykrztusiła, nie mogąc ustać.

— Gdzie?

— Tam — za mną!

— Ależ nie ma nikogo!

— Stoi we drzwiach.

— To złudzenie.

— Przecie rzucał już beczkami.

— Co się też pani wydaje!

— Pan nie słyszał?

— Dzieciństwo! Kadzie porozsychały się, stojąc w przewiewnej sali, a teraz od ulewy znowu nasiąkają wilgocią i trzaskają.

— Lepiej tak nie mówić!...

Gładził pieśczośliwie jej ręce, żeby ją uspokoić. Każde takie pogłaskanie w istocie uciszało wzburzenie, lecz zarazem tchnęło językami ognia. Chciała wydostać dłonie z jego rąk, lecz ich nie puszczał. Przeciwnie przyciągał, przygarniał je do siebie — do ust, do piersi. Tulił je do swej szyi, do czoła, gładził się nimi po twarzy. Nachyliła się niepostrzeżenie, przyciągana przezeń i uczuła oddech na policzku. Nie mogła odejść, dźwignąć głowy. Niebiańskie zstąpiło szczęście, gdy ręce jego opasały ją poprzez bieliznę i pociągnęły bezsilną w to jego łóże. Radość niewysłowiona wytraciła do cna rozum, pamięć, świadomość, odczuwanie ciemności, wzrok i słuch. Sama jedna zastąpiła wszystko. Z westchnieniem nienasyconej rozkoszy przytuliła się cała, wzdłuż do tego człowieka, którego tak kochała! Na szept odpowiadała szeptem, na każdy pocałunek pocałunkiem, na każdą pieśczootę pieśczootą. Stała się jak nie wiedząca fala morza, która tonie w innej fali — jak powiewny obłok, który się w inny obłok zamienia — jak gałązka drzewiny, co się posłusznie za wiatrem kołysze, nie wiedząc w jakim miejscu i czemu. Rozwiązały się wszystkie myśli, ustała trwoga przed rozstaniem i straszliwe zagadki proste znalazły wytłumaczenie. Poczęła coś mówić o myślach, które ją prześladowały, gdy się sama jedna tarzała po łóżku w tamtym pokoju. Na pytanie, czemu od dawna nie przyszła, skoro się bała tak bardzo i martwiła tak głęboko, nie znalazła odpowiedzi. W istocie, wydała się sobie głupia i tchórzliwa. Poznała tę chwilę swego życia jako szczęście bez granic, bez miary, bez początku i końca. Oto ta chwila

rozstrzygnęła wszystko. Podłożyła prześliczne ramiona pod głowę ukochaną, przygarnęła do siebie tego człowieka odebranego śmierci i kołysała go na czystym łonie, jak niedawno kołysała samą chwilę miłosnego szczęścia obcowania z nim pod jednym dachem.

Odrowąż, poczuwszy rękami jej twarde, jędrne ciało — dziewiczą piękność jej bioder, piersi, ramion i nóg — ogłuchł i oślepl, stracił rozum i oszalał z rozkoszy. Zdawało mu się, że umiera. Istność jego zatoneła w niej i znikła jako odrębny byt. Wtulił się w nią i przeistoczył w samo szczęście. Pocałunki stawały się coraz bardziej nienasycone, bez końca, ogniste. Krzyk radosny wymykał się z ust. Nazwy pieszczotliwe spadały na usta, na oczy, na piersi, na włosy...

Deszcz bił w dach, zaciął w ściany, bulgotał za zawartymi okiennicami wśród ciemnej, nieprzeniknionej nocy.

## XII

Zajechała nareszcie przed ganek żydowska parokonna bryka, a z głębi jej półkoszków wysiedli obydwój państwo Rudeccy. On sam został za dużą kaucją uwolniony z więzienia dzięki staraniom żony — ale był chory. Niby to chodził o lasce, lecz wyglądał bardzo niedobrze i nic nie mówił. Pani Rudecka była także nie do poznania zmieniona. Mało ich wszystko, co zastali, zdawało się interesować.

Zasłano łóżko panu w jego dawniejszej kancelarii i bez zwłoki się położył. Pani obeszła z Salomeą izby i zakamarki domu. Spozrzegłszy obcego człowieka w alkierzu swej wychowawicy, gospodyni domu nie wyraziła zdziwienia ani niechęci. Kiwała tylko głową, zamyślona ponuro, gdy jej rozpowiadano, kto to jest i dlaczego tu leży. Dwaj jej synowie przepadli w tym powstaniu. Jednego tak rozsiekano, że szczątków nie znalazła. Drugiego widziała w śmiertelnym gźle z trójkolorową kokardą pod szyją. Patrzyła, jak go razem z towarzyszami broni bez trumny spuszczone w pospólny dół. Trzeci syn był jeszcze kędyś w polu, nie wiadomo żywy czy umarły, zdrów czy ranny. I cóż z tego, że gdy jej synowie włóczeni byli po ugorach zimowych przez zdziczałe konie, nie znaleźli dachu nad głową, ani nawet trumiennych desek w tym kraju, za który ponieśli śmierć — obcy człowiek doznawał w ich ojczystym domu opieki i wygody? Wszystko już było jedno jej sercu. Zamyśliła się, pokiwała głową i odeszła z tej izdebki.

W tym czasie Odrowąż znowu był popadł w chorobę. Pewnej nocy, na dwa tygodnie przed przyjazdem państwa, Ryfka pukaniem w okno dała znać, że wojsko idzie. Nim

zdołano obudzić kucharza, dwór został otoczony i księżę bosy i w bieliznie musiał umykać boczną sionką w ogrody. Pobiegł na górę za folwarkiem i krył się w zaroślach aż do odejścia żołnierskiej roty. Gdy go znaleziono nazajutrz rano, był przemarznięty do szpiku kości i prawie nieprzytomny. Dostał silnej gorączki i popadł w ciężką chorobę, o której nie wiadomo było, jaka jest, bo nie było lekarza, który by ją nazwał. Były dni i noce, że z gorączki majaczył. Zdawało się, że zaraz umrze. Gdy obydwój gospodarstwo wrócili do domu, choremu było już znacznie lepiej, ale jeszcze stan był zatrważający. Gorączka trzymała. Nic nie jedząc, ani pijąc, chory szklanym wzrokiem patrzył w przestrzeń.

Pan Rudecki, przetrwawszy bezsennie pierwszą noc w swym pokoju, wstał wcześniej następnego dnia – mimo upomnień i protestów żony, ubrał się w grube buty, w dawniejsze swoje odzienie i wyszedł z domu. Zstąpiwszy z ganku, oglądał wszystko: rozebrane płoty, ogród, który chwastem zarastał, ślady końskich postojów wokoło dworu, spalone budynki gospodarskie, co w postaci okopconych słupów sterczały wśród zieleni... Zajrzał do pustej stajni, do pustych obór, pustych dołów kartoflanych. Przypatrywał się polom niezoranym i niezasianym – i całej pustce, która te miejsca osiadła.

Stał tak na gumnie, z uwagą rozglądając się wokoło. Po czym wrócił do mieszkania. Ale znalazłszy się tutaj, gwałtownie zaniemógł. W złym stanie przeniesiono go na łóżko. Pani Rudecka poleciła Szczepanowi, żeby za jaką bądź cenę wynajął na wsi lub u żydów parę koni i sprowadził z sąsiedniego miasteczka znanego felczera, który miał wielką w całej okolicy sławę i praktykę. Nad wieczorem felczer, starozakonny, w podeszłym wieku człowiek, przyjechał. Oglądał dziedzica Niezdołów, badał stan rzeczy, cmokał ustami. Zalecił spokój i przepisał rozmaite środki zaradcze. Na gorące prośby panny Salomei obejrzał również powstańca – co uczynił w wielkim strachu i jeszcze większym sekrecie. Znalazł ciężką, niebezpieczną chorobę. Nie chciał wymienić jej nazwy. Zabronił rozmawiać z nieszczęśliwym księciem, zbliżać się do niego – przestrzegał przed jakimkolwiek jego wzruszeniem, otwarcie mówiąc, że może go ono zabić. Wreszcie, mądrze i tajemniczo przewracając oczy, oświadczył, że jak Pan Bóg da, to obydwaj chorzy mogą jeszcze powrócić do zdrowia. On sam nie wiele tu może poradzić. Z tym odjechał.

Pan Rudecki nie przeżył widoku, który nań czekał w Niezdołach. Po trzech dniach zakończył życie. Pogrzeb jego był prosty i ubogi, odpowiedni do tego czasu i warunków. Gromada wiejska nie stawiała się. Tylko paru starszych włościan zajrzało do dworu

popatrzeć na dziedzica, jakby z ciekawości, czy naprawdę umarł. Trumnę zbił wiejski majster, który zaopatrywał w to ostatnie schronienie sąsiadów wioskowych.

Gdy zwłoki pana Rudeckiego wywieziono na cmentarz parafialny i pochowano, w domu niezdolskim nastały czasy jeszcze smutniejsze. Lały się nocne łzy wdowy i matki osierociałej. Splątały się teraz w jedno: niechęć do życia i potrzeba tego życia dla dzieci pozostałych — wstręt do jakiegokolwiek czynu i konieczność zabiegliwej czynności. Znowu szły kolejną rewizje żołnierskie i postoje rozbitków powstańczych.

Obok tego wszystkiego w głuchej pustyni żalu przewijało się wiekuiste złudzenie wędrowek Dominikowego cienia, który zdawał się ze wszystkiego natrzasać. Wdowa słyszała wciąż jego kroki, trzaskanie drzwiami, jego śmiech w pustym, dalekim pokoju, za dziesiątymi drzwiami... Zdawało się jej, że tamten wciąż chichocze z radości, iż się tak wszystko zepsuło w tym dziedzictwie, w tym domu, w tym szczęściu. Jego męka, nuda życia i dzika śmierć — wzięły odwet. Chadzał tedy nocami po pustym dworze, przesuwiał się obok sprzętów, zaglądał przez szpary uchylonych drzwi, czatował za szafami... Przypatrywał się wszystkiemu — i chichotał do rozpuku zły cień niezdolskiego dworu.

### XIII

Nadszedł już piękny miesiąc maj, a Józef Odrowąż nie powrócił jeszcze do zdrowia. Wiosenna zieloność okryła rany poszarpanej ziemi. Pióra, liście, szypułki, pokrętne badyle i wielorakie odmiany barw osłoniły rany ziemi i zalecały się oczom ludzkim. Podobnie, jak wsysały w siebie wilgoć i zgniliznę, tak samo barwami, kształtem i nieskończoną potęgą swego rozrostu chciały wessać w siebie cierpienie dusz, zniszczyć pamięć o tym, co już padło i umarło. Na dobro nowego życia rosło i bujało wszystko — na stratę śmierci. Słowik śpiewał nocami nad wodą, w sąsiedztwie wzgórzka, pod którym Hubert Olbromski znalazł schronienie. We dworze niezdolskim inne cokolwiek zaczęło się życie. Pani Rudecka jęła godzić i przyjmować służbę, parobków, skupować inwentarz, zaprowadzać ład, pracę i rygor w gospodarstwie. Myślała już o odbudowaniu stodoł, obór i spichlerza. Gotowano obiady i wieczerze. Szczepan stał znowu przy patelni, rondlach i saganach. Miał do dyspozycji popychadło, brudne dziewczysko, szturmaka od szorowania statków i skubania kurcząt. Krzyczał na nie dzikim głosem za wszystkie czasy i poszturchiwał je, odbijając w dwójnasób dawną kucharską bezwładzę. Stosownie do zastarzałego przyzwyczajenia gadał z ogniem, coś mu oświadczał,



dowodził, kłócił się, twierdził i zaprzeczał. Nieraz, widocznie, ogień bardzo mu się sprzeciwiał, bo stary tupał krypciami i wygrażał mu pięścią.

Czekano wciąż, że ojciec panny Salomei, stary pan Brynicki, rzeczywisty od wielu lat gospodarz w Niezdolach, rządca całego majątku, niepostrzeżenie z partii wróci, obejmie władzę, zaprowadzi na nowo porządek, nastawi i w ruch puści cały ten wielki, dawny zegar gospodarski. Czekano nadaremnie... Pewnego odwieczera przyszedł do dworu zdrony wieśniak z odleglejszych stron, ze świętokrzyskich lasów, przynosząc wieść okropną: ojciec panny Salomei już nie żył. Raniony w bitwie kędyś w górach, krył się ciężko chory po chałupach wieśniaczych w pobliżu klasztoru Świętej Katarzyny, u dobrych ludzi pewnej leśnej wsi. Kurował się sam, jak mógł i umiał, starymi, żołnierskimi sposobami. Przykładał różne maści na rany, pił odwar z ziół sobie wiadomych. — Nadaremnie! — Nadeszła chwila, kiedy pojął, że już koniec żywota.

Uprosił tedy wieśniaka, który go u siebie krył i przechowywał, ażeby zaniósł wieść do córki. Napisał list. Na szorstkim i twardym skrawku siwego papieru, który w pochodach gdzieś zdybał, w braku przyborów pisarskich zaostrzywszy kozikiem ostatnią ołowianą kulę, która w torbie została — napisał do córki przedzgonne posłanie. Bogu ją polecał i zacności krewniaków, z którymi tyle lat trudy dzielił i chleb łamał. Zaklinał, żeby strzegła dobrego imienia, żeby żyła i pracowała uczciwie. O sobie donosił, że jest ciężko chory i nie sposób mu już z tego miejsca, gdzie pisze, ani się wydostać, ani kurować gdzie indziej. Nogi odjęło. W głowie huk. Mrok w oczach. Pisał także, że w duszy nie czuje dawnej mocy, a w sercu ma wielki smutek. W przypisku dodawał, że posyła drogiej córce Salomei ostatni grosz, jaki ma, czterdzieści siedem złotych polskich. Raz jeszcze polecając „córeczkę Miję” Bogu, z którym w sercu umiera, Jemu, co — „niezmiennie czuwa nad światem” — żegnał ją i błogosławił.

Włóścianin, który list przyniósł, dodał ustnie, że ów starszy powstaniec pomarł był wkrótce po napisaniu tego listu i nocą, cichaczem pogrzebany jest przez wiejskich ludzi na starym cmentarzu kapliczki tej wsi górskiej w świętokrzyskich stronach. Chłop ów rozsypał węzełek i uczciwie wyłożył na ławie ganku doręczone mu czterdzieści siedem złotych polskich. Opowiedział potem wiele szczegółów o ostatnich chwilach życia tego starszego powstańca. Człowiek ten był zgoła inny, niż chłopci niezdolscy. Stał po stronie „wiary”, jako i wszystkie sąsiady we wsiach tamecznych. Głęboko się dziwował chłopom, odgrazającym się na „Polaków”, których spotykał w drodze swej, gdy szedł w daleki, pierwszy raz przemierzany świat, niosąc zlecenie. W jego bowiem okolicy ludzie wierzyli swoim i na polską patrzyli stronę — pomagali w przeprawach, ukrywali

rannych, a nawet sami, co młodszy a ognistszego ducha, z partią chodzili. Obdarowany dziękczynieniem i nakarmiony, poszedł nazad, gdyż trzeba było śpieszyć co prędzej w dużą drogę, a ścieżkami nieznanymi, mało uczęszczanymi, wskroś lasów, żeby się z wojskiem nie zetknąć. Panna Salomea odprowadziła go parę wiorst miedzami pól — ostatniego świadka, bolesnego zwiastuna. Po rozstaniu, patrzyła za nim długo — długo — za gońcem, co przyszedł do niej od ojca, a teraz szedł w to miejsce, gdzie on jest. Postać jego malała, czyniła się podobna do ziemi... do zmierzchu... Gdy się oddalił i znikł, popadła w głęboką rozpacz. Zabiła ją na duszy ta wieść. Podwójnie, potrójnie, po tysiąckroć wielkie było jej cierpienie, gdy zestawiała daty i przekonała się, że ojciec dogasał w samotności wówczas, kiedy ona oddała się kochankowi. Umierał w tym czasie, czy w pobliżu owej nocy niezapomnianej, kiedy ciężką i niewolę nakładającą wydawała jej się ojcowska miłość. Zmartwiała, bez łez w oczach biegła teraz rozkwitłymi polami do tego domu. Krzyk bóleści wydzierał się z jej ust. I oto nagle — tym większą, straszliwszą, jedyną i bezgraniczną zapałała do kochanka miłością.

#### XIV

Pani Rudecka postanowiła działać w imieniu i za całą rodzinę. Brała się do gospodarstwa. Lecz wszystko się teraz rwało, szło na marne, leciało z rąk. Stosunki uległy bezwzględnej zmianie. Ludzie byli inni, tym nieżyczliwsi i hardsi, im bardziej nisko schylali dawniej głowy. Wszystko ginęło, skradzione w sposób niemal jawny. Rozsypywały się wszelkie trudy i wsiąkały w nicość.

Panna Brynicka, jako młodsza i zdrowsza, musiała wziąć na barki lwią część roboty. Toteż nie dosypiała teraz, a nie jadła prawie wcale. Troska o księcia doszła do stanu nieprzerwanej rozpacz, wciąż pokrytej doskonałą miną, konceptem i wesołością dla odwrócenia podejrzeń. Sen zamienił się na półjawę-półmarzenie, znane tylko kochającym kobietom. Jedno ucho w zaświecie sennych marzeń, a drugie nasłuchiwało oddechu, czujnie chwytając każdy szelest. Myśl pryska, unosi się i leci o sto mil od ziemi, a zarazem trwa nieustające baczenie, rokowanie i logiczne wnioskowanie o postępach i stanie choroby.

Przemarsze i najścia wojsk nie były teraz tak częste, gdyż powstańcy, zaszyli w lasy, odciągali nieprzyjaciela od ludzkich siedlisk. Nadto główna akcja gerylasówki w inne czasowo przeniosła się strony.

Obydwie mieszkanki starego dworu korzystały, ile sił starczyło, z tego zbiegu okoliczności i pracowały od świtu do nocy. Tyle było zaległości! Śmiały się głośno i mówiły tylko o rzeczach wesołych dla pokrycia uczuć istotnych, wewnętrznych — może dlatego zresztą, żeby przez śmiech wyrzucić ucisk na duszę i odczuli serce nałogu płakania. Ale nie zawsze się to udawało. Wietrzono w ogrodzie pewnego słonecznego dnia kufry, na głucho pozamykane tej zimy. Wydobyte rzeczy obydwie krewniaczki rozwieszały w ogrodzie. Pracowały żwawo i było im wesoło od tej czynności. Ale oto pani Rudecka weszła do mieszkania i długo nie nadchodziła. Wtem młoda panna usłyszała z głębi domu spazmatyczny krzyk. Pobiegła. Szukała, wpadając z pokoju do pokoju. W kącie jadalni — dużej izby przy kuchni — zastała panią Rudecką siedzącą na ziemi, za szafą. Nieszczęśliwa matka znalazła w szufladzie ubranko dziecięce Gucia — syna rozsiekanego w powstaniu. Schwyciwszy dawną kurteczkę ze złocistymi guzikami między zawarte w krzyż ramiona, przycisnęła ją do piersi i siedząc w kucki na ziemi, kołysała się tam i nazad, ślepa, głucha, nieprzytomna z bóleści. Krzyk dziki, podobny do pisku kani, wypadał pomiędzy jej ściśniętych zębów. Podniesiona z ziemi, otworzyła oczy, przysła do siebie, przeprosiła za tę niewłaściwość i wzięła się do roboty. Wszelkie wieści ze świata, wszelki turkot na dziedzińcu sprowadzał drżenie, panikę i męczarnie ucieczki. Toteż we dworze niezdolskim znieawidzono turkot i tętent. Tymczasem pewnego popołudnia, w drugiej połowie maja, przed gankiem dworu stanęła wielka, lśniaca kareta, zaprzężona w cztery spasione i zgrzane konie. Pani Rudecka z przerażeniem wybiegła do sieni i stanęła za wejściowymi drzwiami, patrząc na świat przez boczne okienko w oczekiwaniu jakiejś nowej klęski. Panna Salomea przypatrywała się również karecie, ukryta za firanką dużego pokoju. Na szczęście nie mężczyzna wysiadł z pojazdu, lecz kobieta, co było już pewną ulgą. Przybyła pani była wysoka i, pomimo siwiejących włosów, ze śladami piękności na twarzy. Podniosła zasłonę czarnego kapelusza i rozglądała się na wszystkie strony, widocznie, oczekując, że ktoś wyjdzie ją przyjąć. Lecz w czasach tych niegościnne były domy i ludzie nie byli spragnieni widoku ludzi. Gospodyni nie śpieszyła się z powitaniem w nadziei, że owa dama, jak przyjechała, tak pojedzie sobie w błyszczącej karecie. Czarna pani zbliżyła się do ganku i wstępowała na jego schodki. Schodków tych było kilka — a zdawało się, że nie może na nie wkroczyć. Trzeba było drzwi otworzyć i wyjść na spotkanie. Gdy pani Rudecka stanęła w progu, przybyła, zobaczywszy ją, skinęła kilkakrotnie głową. Była blada jak papier, z podkrążonymi oczami i sinością dokoła ust. Stojąc na pierwszym stopniu

schodów ganku, potknęła się na drugim i z dziwną niezgrabnością na nim przyklęła. Głosem dygocącym, przez zęby, które szczękały jak w febrze, zapytała:

— Wszak to jest dwór w majątku Niezdoły?

— Tak... — odrzekła gospodyni.

— A to może pani Rudecka?

— Ja jestem...

— Mówiono mi... Powzięłam wiadomość, że się tutaj leczył w zimie ranny... Szukam od trzech miesięcy... Powiedziano mi... To młody chłopiec. Brunet. Szczupły. Wysoki.

— A jak nazwisko?

— Nazwisko Odrowąż, imię Józef.

— To pani może jest jego matką?

— Matką...

— Proszę wejść.

— Czy jest?

— Jest.

— Żyje?

— Żyje.

— O, Boże! Tu w tym domu?

— Tutaj. Niechże pani wejdzie.

Ale przybyła nie miała już siły wejść. Uśmiech szczęścia, który na jej usta i twarz wystąpił, był, zdawało się, ostatnią kresą mocy, resztą wszelkiej siły. Osunęła się na kolana i wyciągnąwszy ręce do pani Rudeckiej, zemdląła. Panna Salomea przybiegła na pomoc, dźwignęła i otrzeźwiła wodą matkę księcia. Furman, który tę rozmowę słyszał, dał koniom po tęgim bacie, nawrócił czwórka w podwórzcu i szybko odjechał. Księżna Odrowążowa wniesiona została przez obydwie panie niezdolskie do stancji na prawo, leżącej z dala od sypialni rannego. Zaledwie przyszła do siebie, patrząc na pannę Salomeę, spytała:

— To pani uratowałaś od śmierci mego chłopca?

— Skądże ta wiadomość?

— Od doktora... — wyszeptała.

— Od doktora Kulewskiego?

— Tak. Szukałam na wszystkie strony, zjeździłam wszystkie pola bitew, zajazdy, dwory, wsie, rozpytywałam wszystkich ludzi. Nareszcie...

— Ale on jest ciężko chory...

— Chory! Cóż mu jest?

— Nie wiem. Był poraniony...

— Te rany znam. Na głowie, na plecach... oko... Mówił mi doktor wszystko. Czy ta kula jest jeszcze w ranie?

— Kuli już nie ma.

— Już nie ma!

— Ale się przyplątała jakaś choroba.

— Mój Boże! A gdzie on jest?

— Teraz nie będzie pani mogła zobaczyć go, bo by mógł nie przeżyć wrażenia.

— To taki chory!

— Tak powiedział felczer, co go widział.

— Sprowadzimy doktora! — rzuciła się matka.

— Dobrze! — równie cicho szepnęła młoda.

Nachyliły się ku sobie i zaczęły szeptać, jakby wobec słuchającego nieprzyjaciela, o szczegółach tej choroby, o najdrobniejszych jej objawach, symptomatach, o przypuszczeniach i środkach ratunku. Zapomniały o świecie, nagle związane w jedno, złączone splotem uczuć, który się we dwu osobach wzajem a natychmiast objawił, zadzierzgnął i spoił. Pani Odrowążowa siedziała w rogu sofy, Salomea przy niej na taborecie. Matka objęła tę nieznaną dziewczynę rękoma niepostrzeżenie wpół — sunęła dłońmi do jej szyi, przygarnęła do siebie, przytuliła jej ramiona, głowę, plecy i razem z nią jęła się w uniesieniu wdzięczności kołysać. Gładziła jej lśniąca włosy delikatnymi palcami, muskała po stokroć dłońmi policzki. Nie wiedząc o tym, w szale swej radości, ujęła ręce panny Mii, przycisnęła je do ust tak nagle, że tamta ledwie je zdążyła wydrzeć z okrzykiem. Naprzeciwko nich siedziała w swoim fotelu pani Rudecka. Była dwornie uśmiechnięta, wykwintnie spokojna, jak należy wobec gościa. Z głową pochyloną ciekawie, słuchała rozmowy, dzieliła radość matki, która syna odnalazła na krętych, mylnych, dalekich drogach polskiego powstania. Lecz po prawdzie — oczy jej nie widziały osób i uszy niezupełnie słuchały szczegółów, które tak nieskończenie zajmowały tamte dwie osoby. Oczy jej patrzyły poprzez nie obydwie kędyś w szyby okna, czy w chropawe ściany domu, w pola, w dalekie leśne doły, a może zuchwale w niedosięgnięte oczy straszliwego Boga.

Księżna, zapomniawszy o świecie, o zwyczajach towarzyskich i wszystkim, co najpierw trzeba było wykonać, prosiła pannę Salomeę, żeby jej pozwolono zobaczyć syna. Lecz młoda opiekunka nie zgadzała się. Zbyt dobrze znając stan chorego,

wiedziała, że na widok matki popadnie w gorączkę stokroć silniejszą, a ta gorączka może go zabić. Targowały się długo. Jedna wciąż błagała, druga nie chciała ustąpić. Stało wreszcie na tym, że matka przez szparę we drzwiach zobaczy jedynaka. Zapominając o pani Rudeckiej, poszły na palcach przez wejściową sień, przez salon. Panna Salomea przemknęła się przez ten pokój, weszła do sypialni i zostawiła za sobą drzwi niedomknięte. Przez szczelinę można było widzieć twarz chorego. Pani Odrowążowa przypadła oczyma do tej szpary tak cicho, że Salomea nie wiedziała, czy ona tam już jest, gdzie być miała, czy jeszcze z dala stoi. Tymczasem matka powstańca, przysunawszy się na palcach jak najciszej do otworu między futryną a drzwiami, osunęła się na kolana i patrzyła. Z modlitwą na drżących wargach, przez strugi nieprzebranych łez patrzyła na twarz ulubioną. Minęła tak godzina i druga. Panna Salomea nie mogła jej z tego miejsca podnieść ani oderwać. Dopiero, gdy zbliżył się wieczór i zasłaniać począł chorego, księżna przemocą odciągnięta została do jednego z dalszych alkierzy, gdzie dla niej przygotowano posłanie.

## XV

Inne życie zapanowało we dworze. Księżna dla ratowania syna sprowadzała lekarzy, płacąc im szczerze za rady i trwogę. Pod rozmaitymi pozorami najęła służbę do jego obsługi. Płaciła za wszystko, sypiąc pieniędzmi na prawo i lewo, byleby tylko ukochany jedynak mógł przyjąć do zdrowia. Między innymi zarobił i na ludzi wyszedł dzięki temu zbiegowi wydarzeń stary kucharz, Szczepan Podkurek. Kiedy panna Salomea wyjaśniła, w jaki to sposób starzec tylekroć ratował życie młodzieńca — jak go obdarzył krypciami i karmił kaszą — ile dlań później uczynił, pani Odrowążowa nie wiedziała po prostu, jak dziadowinę wynagrodzić. Cóż innego mogła dlań uczynić, jak go nie obdarzyć pieniędzmi? Wręczyła mu tedy sakiewkę ze złotymi monetami, obsypawszy poprzednio tysiącem dziękczynień. Dziadowina schował sakiewkę w zanadrze i pilnował jej jak oka w głowie. Posiadanie tak wielkiej ilości złota przewróciło na nice wszystkie jego myśli. Chodził po dawnemu w zgrzebnej koszuli i spodniach wypchniętych na kolanach, dziurawych i brudnych — w starych trepach z drewnianą podeszwą. Jak przedtem głowy nie nakrywał niczym, gdyż od dawien dawna nie posiadał ani kapelusza, ani czapki. Gotował w dalszym ciągu dla państwa i czeladzi — sam wszystko musiał warzyć na żądanie przybyłej pani, a coraz wymyślniejsze potrawy dla chorego panicza. Posiadanie pieniędzy było tedy czymś zewnętrznym i nierealnym. Raz wraz wsuwał

rękę w zanadrze i ścisnął swój skarb badając, czy go zmysły nie łudzą i czy to naprawdę on sam, Szczepan kucharz, jest tym bogaczem, o którym mu się wciąż marzy. Gdy w kuchni nie było nikogo — według dawnego swego przyzwyczajenia — gadał z ogniem. Gadka była wciąż o kradzieży:

— Ukradł! — ciskał się ku ogniovi z pięściami — a komuż ukradł? To gadaj, skoro wiesz. — komu! Ukradł! Widzicie wy, moi ludzie... Tylą sakwę ukradł — a komu? Miał je tu kto, nosił, albo zostawił, czy co? Świnie, nie ludzie! Pani mi dała, jaśnie pani, żem jej syna zratował. To za to mi dała! Jeszcze mię po gębie rączką przejechała i w łeb mię cupnęła swoją gębusią. No, żebyśta wiedziały, świnie, nie ludzie! Świadka — pada — nie było na te ta sztuki... No, nie było! To ja krzyw? Wiedziałem to, co będzie ze mną robiła, jak tu do kuchni weszła? Żebyś wiedział, to bym was, sobacze, zwołał: chodźcie i ślepiaj! Mogłyście stać kaj w kącie i patrzeć. Same byście, zatracone, obaczyły, jako było. Tu se stanęła, wedle komina... I ja patrzę, i ona patrzy. Dopiero wzięła tę sakwę, z kieszonki wyjęła i w garść mi... Naści — pada — bracie — tak sama jaśnie pani księżniczka pedziała — Bóg że ci zapłać! Kup że se ta, co sam chcesz. No — to cóż teraz? Prawda, czy nie? Gadaj, ścierwa, jeden z drugim! Każą przysięgać, będę przysięgał! A ona sama przyświadczy, jako że prawda. Tu stanęła wedle komina... I ja patrzę, i ona patrzy. Dopiero wzięła tę sakwę, z kieszonki wyjęła i w garść mi... Ukradł! Nie ukradł, sobacze, ino moje...

Ogień, widocznie, wiary nie dawał — buzowało się w nim zwątpienie i podejrzliwy śmiech, bo Szczepan pokrzykiwał i grubiańskimi sypał obelgami, których powtórzyć nie sposób.

Co pewien czas, gdy chwilę miał wolną, chodził cichaczem na górę za ogrodami i tam, zaszyty w najgłębszą gęstwinę, wydobywał z zanadrza sakiewkę. Ostrożnie, sztuka po sztuce wyłuskiwał z niej złote monety, kładł je na rozpostartych liściach jedną obok drugiej i usiłował zrachować. Ale dokładne zliczenie tej sumy przekraczało jego znajomość rachunku. Nie mógł ocenić i określić swego skarbu. Coś sobie wciąż przypominał z dawniejszych lat, jakie to są wysokie liczby i rozległe rachunki, obejmujące dużo dziesiątków. Nurzał się myślami w niewiadomy mrok ludzkiego kalkulowania, medytował i wydobywał z nicości jakowąś swoją własną systematykę przyłączania jednych pieniędzy do drugich w celu wydobycia ich sumy — dodawał z mozołem, jak to czynią parobcy, ciskając na widłach snopki w zapole. Wszystko się to w pewnych miejscach plątało i myliło, zahaczone o niewiadomą wartość złotych pieniędzy. Musiał poprzestawać na tym, że leżąc na brzuchu, wpatrywał się w

błyszczące krążki, rozpostarte na zielonych liściach i wyszczerzał do nich dziurę między zębami w nieopisanego szczęścia uśmiechu. Nie ważył się nikogo poprosić o stwierdzenie wysokości majątku w obawie zdrady, oszustwa, podejścia, kradzieży i rozboju. Tak tedy trwał. Po pewnym czasie zrodziła się w nim żądza, żeby pójść w swoje „kraje”, to znaczy do wsi, odległej od kuchni o jakie trzy mile drogi, gdzie nie był już dwadzieścia parę lat, wciąż kucharząc we dworze. Śniła mu się wyprawa w te dalekie okolice, pochód tryumfalny do wsi rodzinnej ze skarbem w zanadru. Widział znowu we mgle tę wieś — błoto, drogi, chałupy, powyginane pleciaki, obdarte i zgarbione drzewa — słyszał znowu, jak tam psy szczekają, ludzie się swarzą, jak skrzypi żuraw studni w tym miejscu, gdzie przy gościńcu bajoro najgłębsze. Śmiał się w głos, patrząc w ogień i gadając mu o tym dziwowisku, gdy będzie szedł w swoje strony z wielkim skarbem w zanadru.

— Weznę się na prawo od figury bez tę dziurę w Walkowym parkanie i pójde ścieżką do przełazu u Bartosiowej stajni. Psy mię ta przecie znają — choć, kto je wie, może już i pozdychały?... Che — che — sama mię Bartosiowa pod nogi podejmie... — Siądźcież se, siądźcie, Szczepanie, boście się ta i zegnali, mały to świat o suchym pysku. — Ty, babo, nie wiesz, rzekomo, czemu tak gębą wywijasz? Ja was aby nie znam, Bartosiów!...

Coś się jednak wciąż psuło w perspektywach wymarszu, bo się stary gniewał i srożył, tupał na kogoś nogami i groził pięścią. Prawdziwa trudność nastęrczała się z obraniem chwili, bo gdy o niej myślał, to mu wobec nawału roboty znikala tak bez śladu, że jej nie mógł pochwycić. Ułożył sobie nawet śpiewkę, którą wykrzykiwał, chichocąc do płomienia pod blachą. Pieśń była niedługa, a zaczynała się od słów:

*„Nie uciekam, ino idę,  
Bom tu ciérpiał wielką biédę”...*

Lecz pomimo tej biedy i pomimo uroczych widoków w ojczystej wiosce Szczepan zabiegał około komina w Niezdołach w tym samym kostiumie i z tą samą pracowitością. Nie było żadnej nadziei, żeby wykonał plan w śpiewce zawarty. Nie było zresztą po temu możliwości, gdyż roboty przybywało coraz więcej i coraz bardziej urozmaiconej. Trzeba było choremu gotować posilne rosoły z kurcząt i wymyślne potrawy. Księżna sama stawiała przy zasmolonym kominie, gotując i smażąc dla syna pożywienie. Jakże ją miał Szczepan samą, bez kucharza zostawić? Któż miał gotować obiad własnej jego pani, no i pannie „Samolei”, której po śmierci starego Brynickiego był niejako opiekunem?



Księżna Odrowążowa nie mogła wciąż jeszcze pokazać się na oczy synowi. Przez szparę we drzwiach przypatrywała mu się w sekrecie. Salomea, spełniająca przy nim rolę siostry miłosierdzia, stopniowo przygotowywała chorego do widzenia z matką. Korzystając z każdej lepszej jego zdrowia chwili, mówiła o matce, zapytywała, czy by do niej nie chciał napisać... To znowu, czy by ona sama w jego imieniu nie mogła dać znać i prosić o przybycie. Chory początkowo nie zgadzał się, protestował. Później przystał i sam zaczął mówić o matce. Wreszcie złudzony wersją o listach, jął dopytywać się, czy nie ma odpisu. Salomea łudziła go wszelakimi opowieściami o tym, że list został doręczony, że matka jest już w drodze, że prawdopodobnie przybędzie...

Pani Odrowążowa słuchała za drzwiami tych rozmów, drżąc, żeby nareszcie do syna się zbliżyć. Łowiła oczyma z daleka jego każde spojrzenie, gest — chwytła każdy oddech i jęk — płucami odczuwała jego kaszel i sercem wzmożone bicie serca.

Tak na wszystko patrząc, nie mogła nie zobaczyć prawdy uczuć i stosunku chorego do opiekunki. Wyraz oczu syna, jakim witał i żegnał każde wejście i wyjście młodej panienki, powiedział jej wszystko już w pierwszych dniach tego dziwnego współżycia. Nieszczęśliwa matka pragnęła teraz jednej tylko sprawy: uratować życie dziecka. Ileż męczarni sprawiał jej każdy szelest, turkot, tętent, zwiastujący nadejście wojska! Była posłuszna Salomei jak dziecko, gdyż ta wiedziała, co czynić w razie nieszczęścia, jak ratować. Nieszczęśliwa matka w lot poznawała wszelkie środki, przespiewki, kryjówki, manewry — i w lot wykonywała rozporządzenia. Ponury i brudny Szczepan rządził nią w nagłych przypadkach, wydawał rozkazy nieodwołalne i w sposób nie znoszący protestu. Była posłuszna jak służąca. Biegała, dokąd kazano, wykonując wszystko bez szemrania, co tylko dawniej Szczepan załatwiał. W tych dniach niewielu zbliżenie Salomei i matki Józefa Odrowąża było tak wielkie, że stały się obydwie, niby jedna istota. Rozumiały się nawzajem umysłami, a nade wszystko uczucia ich były dla siebie bez tajemnic. To, co dla wszystkich ludzi było tylko wyrazem, nazwą — dla nich było światem. Jedna pojmowała wzruszenia drugiej, umiała je poznać, gdy tylko zostały wzmiankowane, zobaczyć, jakie są, iść nimi, jak gdyby krajem zaświatowym, pełnym wzgórz, kwiecistych dolin, skał i przepaści, śmiercią ziejących. Gdy chory spał, przytulone do siebie, opowiadały wrażenia swe i wspomnienia. Salomea po tysiakkroć wyjawiała wszystkie perypetie, związane z pobytem młodzieńca w tym domu — wszystkie etapy jego cierpień, przygody, smutki i radości. Dla matki było to tak zajmujące i wiecznie ciekawe, że musiała po tysiąc razy powtarzać. O niczym innym mówić nie mogły. Świat dla nich istniał w pokoju młodego. Im bardziej na cienkim

włosie wisiało jego życie, tym miłość wzajemna tych dwu niewiast stawała się głębszą, ekstatyczniejszą i do szalu dochodzącą. Jednym uściskiem ręki wypowiadały sobie więcej, niż zmieścić można w długiej rozmowie. Jednym spojrzeniem dawały wiedzieć wszystko. Gdy chory zakaszłał albo jęknął, biegły jak dwa skrzydła tego samego anioła osłaniać go, chłodzić czoło, pocieszać — jedna jawnie, druga tajemnie, tamta słowem i pieczołowitym dotknięciem rąk, ta tylko spojrzeniem, wyciągnięciem ku niemu dłoni i modlitwą.

## XVI

Gorączka spadła. Choroba przesiliła się i poczęła ustępować. Przez otwarte okno wpływał z ogrodu zapach rozkwitłych drzew i woń nocnych kwiatów. Ciepły wiatr kurował chorego. Zdawało się, że światło księżyca, wkradając się do tej izby, dotknięciem swego promienia uzdrawia młody organizm, że słońce poranne krzepi siły skuteczniej niż mleko. Chory zaczął siadać na łóżku, poczuł apetyt i przybytek mocy cielesnej. Wówczas matka weszła do jego izdebki. Obecność jej podziałała na zdrowieńca w sposób bardzo gwałtowny. Okazało się, że prawdę w sobie zawierało ostrzeżenie doświadczonego felczera z miasteczka. Młody książę długo nie mógł przyjść do siebie, leżąc w ramionach matki. Lecz gdy to wrażenie pokonał, jego rekonwalescencja jeszcze szybszym posuwała się trybem. Nasunęła się też najgłówniejsza troska, ażeby w takiej właśnie chwili nie nastąpiła rewizja żołnierska i nie zniweczyła wszystkiego. Już wiele osób wiedziało o obecności powstańca we dworze. Służby przybyło i niemożebnością się stało ukrycie przed nią faktu. Cała wieś wiedziała o tym dobrze. Rozpoczęcie na nowo gospodarstwa sprowadzało do dworu ludzi rozmaitych, z których każdy nie przez podłość nawet lub chęć nikczemnego zysku, lecz przez zwykłe plotkarstwo mógł zdradzić w każdej chwili obecność rannego i na zgubę go wystawić. Nie było już miejsca właściwego do ukrycia w nagłym razie, gdyż w szopie siano zostało wybrane z zapola, a o innych kryjówkach trudno było już myśleć. Pani Odrowążowa czuła to dobrze, że naraża ten dom, tak nieszczęśliwy, i jego gospodynię, która tyle poniosła ciosów, na nowe niebezpieczeństwa — że zatruwa jej dnie i noce sprawą swojego syna. Wszystko tedy skłaniało ją do decyzji, żeby go wywieźć. Dokądże zaś mogła wywieźć w kraju? Wszędzie to samo niebezpieczeństwo czyhało. Postanowiła tedy za wszelką cenę i skoro on tylko stanie na nogach, uciec z nim za granicę. Do tego postanowienia skłoniła ją nadto straszna troska, że gdy tylko

jakkolwiek wyzdrowieje, znowu się z ramion jej wydrze do partii — oraz jeszcze względ pewien... Księżna widziała od dawna, jaki jest stosunek jej syna do wychowawcy pani Rudeckiej. Miała w macierzyńskim sercu milion uczuć dla tego dziewczęcia — kochała je — uwielbiała za poświęcenie się dla Józefa — ją jedną na ziemi darzyła najgłębszymi uczuciami duszy — ale nie mogła bez wzdrygnięcia pomyśleć, żeby jej syn mógł pojąć za żonę tę osóbkę... Książę Odrowąż nie mógł przecież ożenić się z panną Brynicką. Pomimo całej miłości, jaką dla niej powzięła, księżna nie mogła oczywiście przełamać w sobie odrazy wobec rozmaitych poglądów, mniemań alkierzowych, przyzwyczajień niezdolskich i wyrażeń tej panienki. Gryzła z pasji wargi, widząc wyraz twarzy obojga, wiedziała bowiem, że to nie jest zwyczajny przypadek amatorów chorego z pielęgniarką, lecz głęboka miłość. Nie mogła spać po nocach, mocując się w sobie, jak wybrnąć z tego dylematu. Nie była w stanie skrzywdzić takiej dziewczyny, której serce trzymała na dłoni — bo ona jedna wznosiła się do tego samego zenitu miłości dla jej syna, co ona sama. Nie śmiała dotknąć i urazić jej uczuć. Nie mogła nawet w sercu swym nie zezwalać na tę miłość, której głębinę nawzajem matczynym swym sercem zmierzyła. Łamała się wśród przeciwności. Tysiąc miała w sobie sposobów rozstrzygnięcia tej sprawy, a nie była w możności wybrać żadnego. Wiedziała jedno, że musi syna z tych uczuć wyważyć, musi go choćby siłą porwać, zabrać i uwięzić. Pragnęła jednego: stanąć z nim za granicą. Gdy tam już będzie, załatwi wszystko mądrze, godziwie i dobrze. Tylko tam być! Tymczasem żyła wciąż wśród niebezpieczeństw, trwóg i załamań w duszy. Toczyła narady z panią Rudecką, a ta, oczywiście, myślała jota w jotę to samo. Pozostawała kwestia naradzenia się z Salomeą i synem. Lecz tu siły opuszczały nieszczęsną matkę. Miała do wykonania czyn prosty, a potrzebujący przezorności i rozumu najbiegłego dyplomaty — a może siły katowskiego ramienia... Pani Odrowążowa płakała rzewnymi i gorącymi łzami, patrząc na Salomeę i jej troski — na jej około rannego zabiegi i starania bez pamięci i bez rozumu — na zatraconą i oszalałą miłość, która samej panience wydawała się być starannie ukryta, a była jawna jak na dłoni. Och, jakże było podejść do tego uczucia z notą nieubłagania, która już była wypisana... Księżna nie miała siły. Bała się również syna. Nie wiedziała, co też on powie. Przeżyła już jedną jego tajemną ucieczkę do lasu, do partii. Tymczasem wśród tych wahań, odbywających się w świecie, a raczej w zaświeciu i śnie uczuć, jak zawsze — czyniło swoje — fizyczne zdrowie. Gdy młody Odrowąż począł przychodzić do siebie, jego matka, która wszystkich etapów choroby nie widziała, traciła o niej pamięć i o wszystkim, co z chorobą było związane. Malowały, oddalały się, nikły cierpienia, trudy,

starania, zabiegi i troski, poniesione i przedsięwzięte dla odzyskania i przywrócenia tego zdrowia. Tonęły w niepamięci i wsiąkały w nicość ponure okoliczności tamtej sprawie towarzyszące, a w miarę tego procesu zmniejszały się zasługi panny Mii. Przed oczyma matki wyrosła nowa góra trosk o przyszłość. Przed tą zaś przyszłością stała Salomea, jako najgłówniejsza obecnie przeszkoda. Serce matki borykało się już z nią o dobro syna. I cierń niechęci utkwiał w tym sercu...

W sekrecie przed wszystkimi pani Odrowążowa wysłała drogo opłaconego posłańca — po czemu chętny materiał znalazła w karczmie na rozstajnych drogach — do jednego z arystokratycznych domów w dalszej okolicy z prośbą o pomoc. Otrzymała przyrzeczenie koni i karet, gotowych na każdy znak odwieźć jej syna w dniu oznaczonym za granicę. Te same osoby zajęły się przez swe rozgałęzione stosunki dostarczeniem dla niej i syna zagranicznych paszportów na fikcyjne imiona. Pewnego dnia przyniósł paszport zgrzany i zdrożony posłaniec. Zdrowie Józefa Odrowąża było już o tyle lepsze, że można było podróż przedsięwziąć — chociaż jeszcze z łóżka nie wstawał. Należało tedy przystąpić do rozwiązania sprawy w sposób stanowczy i niecierpiący zwłoki. Pewnego czerwcowego wieczora, gdy wszystko było na ukończeniu, a goniec po konie i karetę wysłany, księżna zaciągnęła Salomeę do ogrodu i zeszła z nią nad rzekę, do starej altany. Wielkie drzewa okryte młodocianymi liśćmi wokoło szumiały. Dzikie wino oplatające zmurszałe słupki i dziurawy daszek tej altany zasłaniało od zewnętrznego zmierzchu i powiększało ciemność wewnętrzną. Księżna, zaledwie przestąpiła próg altany, upadła na ławkę i przyciągnęła do siebie Salomeę. Objęła ją gwałtownym uściskiem i wpiła się w nią ustami. Tuliła ją do serca i łkała zeschniętym gardłem. Słowa więzły w tym gardle i zaciśnięte zęby nie mogły się rozewrzeć. Łzy poczęły płynąć z oczu księżny, łzy tak obfite, że zmoczyły twarz dziewczyny, solą napełniły kąty jej warg, zwilżały szyję i ciekły aż na piersi pod rozchylonym stanikiem.

Salomea drżała na całym ciele. Myśli jakieś błyskały w ciemni uczuć jak letnie lśnienia po nocy zwiastujące nadejście burzy. Te łzy, co po niej spływały, w niewytłumaczony sposób czyniły się szlakami nieszczęścia, które z wolna ściekało ku jej sercu, szukając go w piersiach. Ręce księżnej jeszcze mocniej, konwulsyjnie opasały ramiona i szyję Salomei, a cichy, zduszony głos wyszeptał:

— Dziecko! Ty go kochasz...

Salomea milczała, lecz dreszcz jej ciała dał dokładną odpowiedź.

— I on ciebie kocha. Prawda?

Milczenie znowu starczyło za odpowiedź.

— A mówił ci, że cię kocha?

— Mówił.

— I ty mu to samo mówiłaś?

— I ja.

— Odpowiadaj mi, natychmiast! Mów mi prawdę całą, bez jednego zatajenia!

Będiesz mówiła prawdę?

— Będę.

Salomea uczuła konieczność posłuszeństwa i mus wyznawania całkowitej, samej tylko prawdy. Była jakby wyzuta z sukien, z bielizny, z ciała i stanęła przed ciemną władczynią swoją jako bezwładna i drżąca dusza.

— Całowaliście się?

— Tak.

— U niego, w nocy, tam?

— Tak.

— Oddawałaś mu się?

— Tak.

— Ile razy?

— Nie pamiętam.

— Obiecywał ci, że się z tobą ożeni?

— Obiecywał.

— I dlatego mu się oddawałaś?

— Nie.

— A powiedz no! Tylko szczerą prawdę!... Odpowiedz mi?

— Odpowiem.

— Ale przysięgnij no mi! Niech ten Dominik co noc staje nad twoją pościelą, jeżeli powiesz jedno słowo nieprawdy!

— Ach!

Salomea z jękiem przypadła do ramienia pani.

— Więc mów prawdę! Czy już tak samo, jak z nim — byłaś z kim kiedy?

— Nie!

— Nigdy, z nikim?

— Nigdy!

— I nikt cię nigdy przedtem nie całował?

— Owszem, całował mnie...

— Kto?

— Jeden tutaj...

— Kto taki?

— Jeden kuzyn.

— Kochałaś tamtego?

— Nie.

— Więc dlaczego dałaś mu się całować?

— Bo mi się dosyć podobał.

To wyznanie zdawało się dodawać księżnie mocy. Głos jej stał się pewniejszy. Przebijała się przez ten głos niezwykła i zwycięska siła jasnego rozumu.

— Słuchaj, dziecko! Czy chcesz, żeby Józef poszedł znowu do partii?

— Och, nie!

— Nie chcesz, żeby go tam znowu poranili?

— Och, nie!

— Czy chcesz, żeby wyzdrowiał?

— Czy ja chcę?

— Więc co począć, co przedsięwziąć, żeby wyzdrowiał?

— Nie wiem.

— Myśl całą głową, wysil całe serce!

— Nic nie wiem.

— A czego byś ty chciała, sama dla siebie?

— Być z nim, służyć mu...

— Tak! Otóż słuchaj... Czy nie tak trzeba zrobić? Jeżeli nie tak, to radź! Ja zrobię, co ty zechcesz.

— Nie mam rady. To ja będę posłuszna.

— A więc słuchaj! Ja myślę, że trzeba go stąd koniecznie wywieźć.

— Wywieźć...

— Nie to myślałaś?

— Nie wiem...

— Gdzież go tu wywieźć w kraju? Pojadę tam — znajdą! Pojadę w inne miejsce — wszędzie go znajdą! Wezmą do więzienia! Powieszą w moich oczach, albo i za oczami! Więc co? Trzeba go wywieźć za granicę.

— Mój Boże!

— Ale on tam nie pojedzie dobrowolnie. Trzeba mu przyobiecać, że skoro się tylko jego zdrowie polepszy, będzie mógł iść do swego oddziału. Ty mi musisz dopomóc w przekonywaniu go, żeby pojechał.

— Ja to muszę!...

— Bo gdzież on się tutaj wyleczy? Powiedzże, co myślisz!

— Tu się wyleczył.

— Lecz czyż dłużej może tu zostać? Czy on sam zechce zostać, gdy się wyleczy.

— Nie.

— Tam ja go prędko postawię na nogi. A gdy mu będzie lepiej — żeby nie poszedł do partii — wywiozę go do Włoch.

— Do Włoch!

— Bo tylko tam może wyzdrowieć zupełnie. A przecie i ty chcesz, żeby wyzdrowiał, — żeby już nie szedł bić się i otrzymywać takie same rany. Czyż nieprawdę mówię?

— Owszem, prawdę.

— A jeśli mówię źle, nieprawdę, to ty mi daj inną radę! Cóż mi z twojego twardego głosu.

W duszy Salomei przewinęło się jak boleść krwawa dawniejsze marzenie o wędrówce z małżonkiem po dalekim, nieznanym, włoskim kraju. Wspomniała sobie wyśnione miasta, obrazy gór i mórz, których jeszcze nigdy nie widziały oczy. Podźwignęła się naprzeciwko tej groźnej pani swego losu i spytała:

— I to już żadnej innej rady nie ma, tylko ta, żeby on jechał teraz za granicę, a potem do Włoch?

— Nie ma.

Głos matki Józefa był mocny, ostry i przesywający jak kula. Salomea milczała. Zimno ją kłuło w ramionach i dosięgło wnętrza. Rozpacz mrowiem wpełzała we włosy. Głos wewnętrzny odezwał się przez jej usta:

— A ja?

Pani Odrowążowa mówiła coraz ciszej, coraz wyraźniej, przyciskając ją do swego boku:

— Jesteś przecie młodziutka... Kochasz go. Uratowałaś mu życie. On ciebie kocha. Byliście ze sobą. Ja wszystko wiem i przebaczam. Lecz on teraz jest tak chory! Pomyśl, ty, jedyna, która go kochasz... Przecież musi się w spokoju, w dobrym klimacie leczyć, z dala od tych strasznych pól i lasów. Musi innymi spojrzeć oczami na wszystkie sprawy. Musi w swej duszy przekląć te lekkomyślne przedsięwzięcia, te obłąkane zamysły!

Salomea w głębokiej swojej boleści nagle ujrzała cień ojca — i cień tego, co w sąsiedztwie tej altany leżał w ziemi. Dumny żal w niej drgnął. Niezłomny honor, którego dotąd nigdy w sobie nie odczuwała, kazał powiedzieć:

— On nie przeklnie tych obłąkanych zamysłów!

— Otóż musi! Co jest godne przekleństwa, musi być przeklęte!

— Nie! To, co oni czynili, nie jest godne przekleństwa.

— Mój syn musi sobie przypomnieć, że nie jego to rola terać się w zgniłych barłogach, ukrywać w sianie — że on jest — pan — i z rodu — książę!

Salomea dosłuchała się w mowie swej pani ostatniego akcentu i zrozumiała go. Zacięło się w niej coś, jak gdyby zamek, do którego klucza już nikt nigdy nie znajdzie. Milczała. Znikł dreszcz i tylko jednolite rwanie bólu w sercu samo jedno zostało w jestestwie. Słuchała jeszcze, gdy księżna mówiła:

— Ty jesteś moje drugie dziecko... Moja jedyna! Nigdy, przenigdy o tobie nie zapomnę. Na śmiertelnym łożu będę pamiętała twoją twarz i twoje imię. I on — wierz mi, kochana! Będzie o tobie jak o najdroższej pamiętał. Nie ja to będę, która bym przeciwko tobie słowo do niego powiedziała. Skarż mię Boże, jeżeli nie mówię prawdy! Ale masz obowiązek. Wychowała cię pani Rudecka, matką ci była, gdyś tu została sierotą. Czy nie? Czy nie była ci matką i opiekunką?

— Tak.

— A teraz ona jest sierotą, najbiedniejszą z ludzi, matką pobitych synów w tym pustym domu. Czy miałabyś serce opuścić ją samą, gdy na twojej głowie stoi cały ten dom i gospodarstwo?

Salomea zdobyła się na męstwo i zapytała w szaleństwie swej beznadziejności:

— Czy ja nie mogłabym się przydać na co w tej włoskiej podróży?

— W jakimże charakterze? W jakim?

— Jako służąca.

— Nie, dziecko, nie możesz być służącą. Na takie twoje ponizenie ja bym się nigdy nie zgodziła. Właśnie dlatego, że towarzysko nie stoimy na równi, nie zgodzę się na twoje ponizenie. Mogłabyś towarzyszyć Józefowi tylko jako żona... Ale to jest przecie niemożliwe. Sama dobrze rozumiesz, że to jest niemożliwe.

— Więc cóż mam począć?

— Wezwij na pomoc Boga, miłość Józefa i tej opiekunki, która cię wychowała. Może i moją, jeżeli w twym sercu tę łaskę znajdę. Nakaż milczenie swemu sercu... Czas zagoi



tę ranę, którą ja ci teraz zadaję... Córeczko moja, córeczko moja miła! Najdroższa! Najdroższa!...

Księżna zsunęła się na kolana i w szlochach opasała Salomeę ramionami. Łkała:

— Gdybyś mogła odczuć, jak moje serce nad tobą i nad twoją nieszczęsną miłością płacze! Zawsze na wskroś widziałyśmy nasze serca, a tylko teraz... Teraz, gdy ty tak cierpisz, ja ci pomóc nie mogę. Ja ci zadaję ten cios! Nóż wbijam w serce, które mi wróciło syna... O, Boże! Nim to przyszedłam powiedzieć, oczy wyplakałam we łzach. Ach, prawda — zapomniałam...

Księżna poczęła szukać czegoś w kieszeniach. Mówiła :

— Nie weźże mi tego za złe i nie przypuszczaj nic pospolitego... Chcę się z tobą podzielić wszystkim, co posiadam, duszą i majątkiem. Gdy wrócę do domu, przekonasz się sama... A teraz, — połowę tego, co mam ze sobą... Musisz przyjąć! Musisz!

Księżna włożyła w rękę Salomei długą i grubą sakiewkę, wypchaną złotymi monetami. Zachyliła jej palce dookoła tej sakiewki, podniosła rękę i martwą wsunęła ofiarowany skarb w kieszeń jej sukni. Panna Salomea przelotnie pomyślała:

— Ach — pieniądze...

Serce jej przeszywała wiadomość, że on odjeżdża na zawsze i że ona sama jedna tutaj zostaje. Poza tym była ciemność. Jak echo piorunu leciały przez serce słowa:

— „Czas zagoi tę ranę”...

Wsluchiwała się w dźwięk i treść tych słów — z oddali, ze swego samotnego miejsca. Pragnęła już odejść. Być samą! Gdzieś uciekać! Coś niezrozumiałego wyszeptala, nie odrywając ust od ramienia swej pani. Księżna przytuliła do siebie młodą dziewczynę, objęła ją rękami. Łzy obfite, niestrzymane, isticie macierzyńskie, poczęły płynąć znowu z tych możliwych oczu na twarz Salomei. Były tak szczerze i tak serdeczne, że wsączyły do zranionego serca jakiś cień pocieszenia. Objęły się obydwie i zamilkły, patrząc w otchłań swych uczuć i widząc nawzajem głębiny serca. Salomei zdawało się wciąż, że już z tego miejsca odeszła i że dokądś idzie, w bardzo daleką drogę. Dowlokła się uczuciami na jakąś wielką wyniosłość. Patrzyła na tamtą, nigdy niewidzianą stronę. Westchnęła pod naporem nieznannej myśli: ach, więc to znaczy słowo — matka... Widziała serce matki i wszystkie w nim uczucia... Zrozumiała, co taka czuje i jak płyną jej myśli. Patrzyła na to, jakby na leżącą ziemię i płynące obłoki. Dziwiła się, ile jest w matce uczuć, jakie są. Rozróżniała ich załamania, skręty... Uśmiech przepłynął przez wszystkie owe dalekie widoki, jak święty słońca połysk przez sierocą okolicę. Chciała

otworzyć usta i powiedzieć, że przecie i ona ma już płód w łonie, lecz to zewnętrzne słowo cofnęło się we wstyd i znikło na dnie serca.

Księżna z zamkniętymi oczyma tuliła w ramionach Miję. Widziała jej uczucia miłosne. Były to uczucia niemal jej samej. Kwiecista łąka, którą raz jeden widzą za życia człowiecze oczy... Noszą się w woniejącym wietrze motyle, kołyszą wielobarwne zioła. Radosna pieśń wymknęła się z dziewczęcych ust, gdy bose stopy biegną w rosach kwiecistej łąki.

Toż to ona sama na ten zakątek raj, na boski pierwiastek w ludzkim żywocie, ma cisnąć przekleństwo śmierci, wytracić kwiaty, pobić motyle, zagasić światło, a kwietny zapach przemienić w trupi zaduch!...

Ścisnęła ręce, zwiesiła głowę na ramię przyjaciółki i wszystko widząc, płakała. Po cóż są kwiaty i po co to słońce? Czemuż musi uczynić to dzieło straszne? Czemuż musi zdobyć się na męstwo potworne i nieuniknioną tyranie? Czemuż musi podnieść rękę, czemuż koniecznie ścisnąć dłoń i dusić gardziel, którą miłosnym oplotła uściskiem?

Jęk głębokiej męczarni wymknął się z ust, łkanie zamuliło słowa.

## XVII

Przekonywanie Józefa Odrowąza o konieczności wyjazdu dokonano się na innej zasadzie.

Księżna nie przeczyła młodzieńcowi, kiedy się zrywał i zabierał do partii — a w miarę postępów wyzdrowienia i przybytku sił niecierpliwił się coraz bardziej. Prosiła go tylko o jedno, żeby się zupełnie wyleczył i zdrowy poszedł na nowe trudy. Ażeby się zaś w zupełności wyleczyć, wyspać z tylu chorób na dobre i odpaść po wychudnięciu, trzeba było kilkunastu nocy spokojnych i kilkunastu niezakłóconych dni. Gdzież to było znaleźć, jak nie za granicą?

Matka wymogła na synu, że właśnie dla jak najszybszego dostania się do partii pojedzie z nią najprzód do Krakowa i zaopatrzonej na nowo w odzież, broń i rynsztunek wojenny, z nową jakowąś partią, pod nowym dowódcą, o której to formacji, podobno, słyszała — a nade wszystko z nowymi siłami ciała i duszy — ruszy w pole. Młody przystał. Nie wiedział, gdzie się znajduje jego dawny oddział. Gdzie go szukać? Od kogo powziąć języka? Gdzie się zaopatrzyć w jaką taką broń? W Krakowie rozpatrzy się w sytuacji, dowie o postępach ruchu, rzuci przecie okiem na jakąś mapę, wybierze nowy oddział, ujrzy nowe oblicza i nową odetchnie nadzieją. Zachodził w głowę, kto też

tworzy nową partię, o której matka wspominała. Jakże tęsknił do wodza, do nieubłaganego, żelaznego strategika, który uderzy nogą w krwawą ziemię i obudzi legiony! Pragnienie walki w młodym księciu było tak głębokie i potężne, jak potężne były cierpienia, przez które przeszedł. Zimnymi oczami wpatrywał się w przestrzeń i widział w niej wojnę scytyjską, nieznaną światu walkę na śmierć, która się z polskiej wywinęła nędzy. Zagasły w nim wszystkie wspomnienia i została jedna tylko żądza: stanąć w szeregu, słuchać rozkazu.

Te uczucia, a nadto obawa rewizji, podniecenie i lęk pani Odrowążowej, ażeby nie wpaść teraz w ręce władzy, sprawiły, że zgodził się wyjechać niezwłocznie. Salomea go nie wstrzymywała. Przeciwnie — zachęcała. Cichy uśmiech błąkał się około jej zaciśniętych ust, gdy go zachęcała do tego wyjazdu... do partii... Mówili ze sobą o mądrym, przebiegłym, twardym i nieustraszoną wodzu, który przecie jest gdzieś na tej ziemi, Napoleon z duszą Machnickiego. Mówili o wielkiej bitwie, która zgładzi i zniweczy niewolę, wszystko bolesne odkupi, nagrodzi rany poległych i bohaterską ich śmierć. Cóż znaczy dostać kulą w łeb, jeżeli to się stanie — i dlatego, aby się stało? Czyliż nie będzie to szczęście najwyższe skonać na placu odrodzenia z tej hańby?

Opowiadał o pewnym pomniku w Paryżu, na którym wyobrażony jest żołnierz umierający, który ostatnim uściskiem objął lufę armaty i na niej kona. Mówił jej o niepojętym ogniu, który jego duszę na widok tego spiżowego żołnierza zawsze przenikał. Była to radość. Teraz taka właśnie doskonała radość w nim jest, gdy ma iść znowu.

Oczy panny Salomei z płomiennie czarnych stały się matowe i szare, gdy na niego w osłupieniu patrzyła. Księżna nie zostawiała teraz obojga sam na sam. Stała się czujna i niezwyciężona w swym postanowieniu. W kole tych trzech osób miała się dokonać gra szczególnie na wytężonych strunach uczuć. Miody książę szedł w nieświadomości do swego rzekomego czynu i dla tego czynu poświęcał miłość, wdeptywał ją bez litości w ziemię. Bezlitość jego była tak wielka, jak bezlitosnym jest los Polski. Z zaciśniętymi zębami, z uśmiechem połyskliwym na ustach patrzył na Salomeę.

Śpiewał o zachodzie słońca Pupinetti. Książę skinął ręką ku Mii, wskazując ptaszka. Było wszystko w tym jednym skinieniu. I ona je dobrze zrozumiała. Przywodziła skinieniu ruchem głowy. Ale w tej samej chwili pomyślała, że trzeba będzie otworzyć klatkę i wypuścić ptaka na wolność — bo jakże będzie znosić jego śpiew, gdy zostanie tutaj sama? Niech leci w słoneczne kraje, tam, gdzie będzie jej kochanek! Krzątała się pilnie, składając rzeczy pani Odrowążowej w mocną, skórzaną walizę. Zajęta była

jakimś urwanym uchem tej walizy, drobiazgami, bielizną, zapasami, przygotowanymi przez Szczepana na drogę. Wszystko stało się nagle. Za chwilę mógł się dać słyszeć tętent najścia wojsk albo turkot zajeżdżającej karety, która niezwłocznie zabierze... Zabierze na wieki. Pozory były, że tylko na pewien czas... Lecz ona przecie wie dobrze, iż to na wieki. On sam zapomni w dalekich krajach. Książę pan... Tylko jeszcze Bóg mógłby wszystko wywrócić, złamać straszną wolę, potargać zamysły. On tylko jeden mógłby zesłać pomoc niewiadomą, wszechmocne zdarzenie swoje — czyjaś śmierć...

Wyjazd miał się odbyć w nocy, żeby jak największą część drogi — pierwszy etap do majątku przyjaciół księżnej, leżące nad granicą — odbyć lasami i nie za dnia. Noc powiększała straszliwy niepokój serca. To zacichało na jakiejś błahostce pociechy, na złudce nikłego olśnienia pozorem spokoju. Wielki ciężar na włosku... Jakaś nadzieja bezmyślnego — co mi tam! — rozszerzyła się aż do granicy cynizmu. Już — już było sercu lepiej. I oto niepostrzeżenie wszystko waliło się w straszliwą, śmiertelną ciemnicę. Włosy wstawały na głowie, dym dzikiego opętania kłębami buchał w uczucia i w językach ognia palił się oszalały rozum. Cóż to się dzieje! Za chwilę będzie pustka w tym miejscu! Ten przerażający dom... Dominik przejdzie opuszczonymi pokojami, stanie nad pustym łóżem rozkoszy, przechyli głowę tam-nazad, wsłucha się w śpiew żółtego ptaszka — i zachichoce niedosłyszalnym śmiechem. Jakże tu oddychać? Jak żyć? Co począć! Podnosiła oczy na tego młodego człowieka, który jej życie zabrał i sam stał się jej życiem. Wyznawała mu oczami całą, bezdenną prawdę. Nie powiedzą mu usta — nie! — nie powiedzą. Lecz oczy nie mają nad duszą władzy. Zapłakał — on, szlachetny i silny, co się nie lękał śmierci i nieraz prosił o nią — co teraz znowu szedł ku niej śmiało, pewny, że ku niej idzie... Zawrzało serce od uwielbienia. Kupiły je na nowo te męskie łzy. Nie zdradzi się przed tobą i nie zdradzi ciebie serce kochanki, polski rycerzu! Będzie milczało, cokolwiek się stanie, aż do ostatniego momentu! Stojąc z dala, przyciskała do oczu i ust jego włosy, usta i ręce — oddawała mu oczyma swe ciało, swą nagość i dumę, honor swój i życie, aż do ostatniego momentu!

Józef Odrowąż, ubrany już w podróżny kostium wykwiutnego pana, nie mogąc jeszcze po chorobie chodzić, słał się z łóżka na sofkę, z sofki na fotel. Jakże był inny! Ubranie przywiezione specjalnie z miasta zmieniło go zupełnie. Tenże to jest, którego z krwawych ran obmyła? Jak niewidziany i niesłychany, żalony ptak zjawił się przed oczyma. Ciemna szrama, przeorująca pod okiem policzek, nadawała mu wyraz wzniosły, pół boski. Włosy ostrzyżone przy samej skórze czyniły jeszcze młodszym tego rekruta. Oczy mu goreją. Usta zacięte. Uśmiech...

Przesiadł się na fotel — zatonął w nim. Ręce oparte na poręczach, głowa w tył odwalona... Nie podnosząc tej ciężkiej głowy, wpatrzony z odległości w matkę i pannę Salomeę, zanucił cicho, z niezłomnym entuzjazmem:

„Precz z tytułami — książę i pan —  
Zetrzyjmy ślad haniebnych lat!...”

Pani Odrowążowa przypatrywała mu się także z dobrotliwym i łagodnym uśmiechem. Przez chwilę. Wnet poczęła zabiegać w dwójnasób około swych i jego rzeczy, nie opuszczając już ani na moment tego pokoju, gdzie był jej syn i Salomea. Ci obydwaj byli teraz okryci szatą spokoju, uciszeni w sobie. Lecz w pewnej chwili pannie Brynickiej coś się przypomniało. Przez zewnętrzne zdrętwienie jak przez skorupę przerznął się, przebił i wydarł źródło wewnętrzne. Poruszyła się niespokojnie. Coś chciała wykonać, coś zdziałać, coś powiedzieć... Dusił ją. Jęła się przeciągać z bolesnym poziewaniem. Ach, nareszcie! Prawda — prawda! Wyszukała w staniku sukni zaszytą kulę. Rozerwała paznokciami zaszyte, wyłuskała zeń ołowianą kulę, która była wypadła z Józefowej rany. Nieznacznie, krótko ucałowała tę bryłę moskiewskiego ołowiu. Podała ją na dłoni pani Odrowążowej. Jąkając się, nie mogąc znaleźć dokładnych słów, przez szcękające zęby grzecznie i spokojnie wykrztusiła:

— Ta kula... To ode mnie... Ode mnie... Na pamiątkę!...

Pani Odrowążowa wzięła kulę i ważyła ją na pięknej, białej, delikatnej dłoni. Głębokie zadumanie poryło jej mądre czoło. Patrzyła ponurymi od męczarni oczyma w twarz Salomei. Och, jakże dla niej był bolesny mściwy czyn tej dziewczyny! Młody książę tym darowaniem kuli zaniepokoił się bardzo. Coś go tknęło! Coś przed nim zabłysło! Oparł chude ręce na poręczach krzesła, żeby wstać. Patrzył oczami inkwizytora w twarz matki. Matka pokiwała bezwładną głową. Była jak gdyby przestrelona tą kulą. Ręce jej drżały. Józef chciał porwać się z miejsca i pytać, gdy wtem rozległ się turkot... Wszyscy wybiegli na ganek. Stała przed nim podróżna karetka bez latarń. Oczom Salomei kształt jej i zarys czterech koni ukazał się, jak gdyby widzenie rydwanu śmierci.

Z jękiem wewnętrznym wsparła się o ścianę. Człowiek przebrany za stangreta wymówił hasło. Z pośpiechem, co tchu, krótko popasając konie, wynoszono i przywiązywano walizę. Po krótkim ze wszystkimi pożegnaniu księżna i jej syn wsiedli do środka. Pojazd oddalił się sprzed ganku wolno, cicho, noga za nogą, żeby nie wywoływać turkotu ani tętentu. Wsiąkł w ciemność nocy. Znikł.

Pani Rudecka, znużona i jak zawsze smutna, oddaliła się z ganku co prędzej — rada, że nareszcie wywieziony został niebezpieczny gość. Szczepan, który pomagał walizę ładować, odszedł również. Panna Salomea została na ławce sama. Patrzyła w tę stronę ciemności, która pochłonęła kareteę. Kolana jej były ściśnięte. Ręce na nich złożone. W sercu spokój.

Wskutek nieprzewidzianego w sferze uczuć zawrotu, poczęła z niejaką przyjemnością myśleć o pieniądzach, ofiarowanych jej przez księżnę Odrowążową. Myśl o tym była jakby uciskiem na serce, zduszeniem wszelkich wzruszeń. Chwila, o której sama myśl przerażeniem ścisnęła duszę, chwila odjazdu, przeszła, minęła bez żadnego prawie uczucia. Salomea dotykała lekko myślami wszystkiego: pustki pokoju, klatki kanarka, trwogi wobec Dominika — i ze zdumieniem spostrzegła, że wszystko stało się niebolesne, a wszelkie czucie stępiało. Ohydłą ulgę przynosiła myśl, że tyle jest pieniędzy... Gdyby żył ojciec, jakżeby się, zapewne, ucieszył! Bo przecie uczciwie zdobyte, za rzetelną usługę... Nie byłby już tym ubogim rządcą w jednym zawsze kubraku i długich butach, co nie dosypia i nie dojada, tłucze się świątek i piątek od folwarku do folwarku na siodle, wiecznie w swarach, twardych kłopotach, zawsze w skwar albo niepogodę na powietrzu, wśród udręki i baczności o cudze zyski... Któż to wie, czy za tyle pieniędzy nie można by było wziąć dzierżawy w innej stronie — niewielkiego folwarku, gdzie na własnym spokojnie zakwitłoby gospodarstwo; miałyby się inwentarz, sprzężaj, parę lepszych koni do wyjazdu, bryczkę resorową do kościoła, ubranie godowe. Chłopi mówiliby, jak się patrzy — „wielmożny panie”... Myśl błąkała się po tym jakowymś nieznanym miejscu. Lecz że musiała wrócić z kraju bezcelowych snień do grubej rzeczywistości, więc się powłokła na daleki grób. Och — pójść tam na klęczkach, wyszukać mogiłę, przypaść do niej piersią, objąć rękoma! Powiedzieć tej garstce piasku, co się stało, wyznać jej swój grzech podły, okropny, haniebny! Wytlumaczyć upadek swój i odsłonić winę! Trzeba wznieść za te złote pieniądze żelazny krzyż na grobie... Położyć napis...

Zadumała się nad tym, jak też trafić do tego miejsca. Przypomniała sobie o liście ostatnim, pisany ołowianą kulą. Wysunął się szczegół, że jest tam nazwisko wieśniaka, u którego ojciec leżał przed śmiercią. Dostawszy z kieszeni ów list, trzymała go w ręku. Ciemność nocy nie pozwalała czytać ostatnich ojca wyrazów. Ręce opadły.

Lecz oto boża dłoń poczęła z ziemi usuwać grubą nocną zasłonę. Wyłoniły się z oćmy zarysy olch nad wodą, pochyłych w różne strony koron na wyniosłych pniach — kształtów dziwnych, niespodzianych, jak formy uczuwania w cierpieniu. Te postaci,

zarysowujące się na niebie, przytuliły pomiędzy sobą wzrok. Na chwilę — bo wnet wydarł się spomiędzy nich... Daleko, szary brzask oddzielił ziemię od nieba. Miękkie mgły śniadą smugą zamajaczyły nad rozdołem rzeczny. Ptaki ozwały się w tej mgle tak harmonijnie, jakby to jej obraz ukazujący się z mroku tymi głosami dał znać o sobie, wyraził barwę i postać swoją. Łagodny, zwilgły w nizinach wiatr ruszył senne gałęzie. Blisko, na rabatach ogrodu zajaśniały białe kolory. Ta barwa utopiła w sercu żądło wspomnienia — i sama stała w oczach jak uwidoczniony, nagi ból. Lecz mężne oczy pokonały ją. Musiała wessać w siebie zemstę i stać się tylko sobą. Przeszło...

Ciężka senność ogarniała ciało i duszę. Teraz nareszcie można będzie wypaść się po tyłu niewczasach we własnym łóżku, które przez tak długą porę obcy zajmował człowiek. — Nie będzie już serce drżało od stuknięcia w szybę. — Niechże przychodzą i patrzają, niech szukają i węszą! — Nie będzie już trudów szalonych, bieganiny bez końca i niezmiernej, bezsennej troski. — Nie ma już kogo pilnować. — Będzie spokój, cisza, porządek. — Spać — Salomea wstała z miejsca, żeby wykonać zamiar i iść do siebie. Lecz zamiast tego po krótkim wahaniu ruszyła przejść się ponad rzeką. Rachowała na to, że zanim zdąży zejść ku wodzie, rozwidni się i będzie można w liście ojca przeczytać nazwę wsi i miano wieśniaka, w którego chacie umarł. Szła wolno drogą w dół, po miękkim piasku, który nocne rosy znacznie zwilżyły, okrywając go z wierzchu ciemnym osadem. Później wtargnęła na mokrą trawę i sama nie wiedząc czemu, szła ku rzece. Przez chwilę zatrzymała się i pobyła w altanie, obrośniętej pachnącym winem. Myśli jej były ciche i umiarkowane, zabiegające około sprawy, co sobie teraz za pieniądze kupić, jakie sprawić rzeczy. Wbijała się w dumę, że już nie będzie popychadłem na łasce u dalekich krewnych — sierotą, do której buziaka zabiera się każdy przyjezdny jegomość. Pokręcą się i nakonkurują teraz, zanim z którym mówić zechce...

Wolno a niepostrzeżenie wzmagął się brzask. Rozbrzmiewał głośniejszy śpiew ptaszęcy. Widać już było daleko kwieciste, niekoszone łąki, matem rosy spojone. Krople jej wisiały na płatkach i szypułkach, szare jak kulki żywego srebra. Odległy las stał się siny. Na wielobarwnym niebie czerwonego przybywało blasku. Salomea wyszła z altany i udała się ku rzece, która wezbrała po brzegi od świętojańskiej powodzi. Wody były mętne, gliniastego koloru, krętymi wirami pędzące. Zamulały czerwone i żółte kwiaty, w pałąk gięły nawisłe badyle, garnęły prądem pławiny olszowych zarośli, wikle i wierzby. Mokry czad bił stamtąd i zapach wzmożony niezliczonego ziela. W głębokiej rannej ciszy Salomea usłyszała nagle pogłos. Krótkie dudnienie, jak gdyby daleki łoskot bębna. Nasłuchiwała. Kiwnęła głową. To powóz, uwożący księżną panią i jej syna,

przejeżdżał daleki most na tejże rzece, w łąkach, pod lasem. To tupot czterech koni w lejc zaprzężonych i stuk kół karety o okrągłaki mostu. Zadumała się nad tym dźwiękiem.

I oto nagle dusza w niej rozdarła się jak postaw sukna, który by ręce biesa we dwie strony targnęły. Rozpacz nieopisana, uczucie ślepe i głuche, dzikie jak żądza w tygrysie, kiedy się rzuca na ofiarę, wypadło z niewiadomej kryjówki ducha. Bezmyślne z szaleństwa ciało pobiegło dokądś brzegiem rzeki, zawrotami jej krętymi, to w prawą, to w lewą stronę. W pewnej chwili, w jakimś miejscu Salomea zatrzymała się. Patrzyła na burzliwą, zmaconą, rudymi baniami wirującą wodę. Rozmyślała — rozmyślała...

Coś w niej wzniosło się, wyważyło z jestestwa i dźwignęło żelazne. Roześmiała się głośno. Wydostała z kieszeni sakiewkę księżnej, nabitą złotymi pieniędzmi — odsypała ich część na dłoń i z wysoka, z zamachem cisnęła w pędzącą wodę. Woda plusnęła — na znak.

Salomea wysypała z sakiewki drugą i ostatnią część — i wsiąła złoto w pędzącą wodę.

Woda plusnęła — na znak. Ona jedna zrozumiała męczarnię serca. Ona jedna przywodziła mu dźwiękiem zrozumiałym. Załatwiwszy się z tymi pieniędzmi, Salomea odeszła z tego miejsca. Brodziła po wysokich trawach, mokrych od rosy. Przypatrywała się kwiatom wybujałym, które zdawały się jakoś litować, a nic poradzić nie mogły. Chciała wyjść na miejsce suche, gdyż trzewiki miała przemoczone. Znalazła się na piaszczystej drodze, która prowadziła ze dworu do najbliższego mostu. Już wstawał dzień i pozwalał widzieć w mokrym piasku wyciśnięte głębokie ślady kół karety i kopyt koni. Zobaczywszy zaś te świeże ślady, białe na piasku ciemnym od rosy, Salomea zatknęła się od ponownego zdumienia. Coś w niej rwało się i rozdzierało...

Szła z wolna ku domowi. Lecz na jakowymś drobnym kamyku potknęły się jej stopy. I tak tam padła twarzą w ów mokry piach.

Stary Szczepan wstał jako co dnia o świcie i szedł po wodę z wiadrami do stoku, co tam pod gruszą bił od wieków. Mruczał do siebie stary kucharz i poskrzypywał wiadrami jako co dnia. Skręcił z drogi na ścieżkę, prowadzącą do źródła, gdzie było bliżej. Aliści — zda mu się rzucić okiem na drogę — leży cosik czarnego. Tknęło go wnet złe czucie, że toto będzie jakaś bieda od polskiej strony. Już się był nawet cofnął, żeby ta przecie kto insy spotkał... Ale z samej ciekawości podszedł ostrożnie. Gdy się zaś dobrze zbliżył, cisnął wiadra na ziemię — i do niej co ducha w gnatach. Podjął ostrożnie z ziemi grubymi rękami bezsilne ciało — zachylił zwisłą głowinę sobie na ramię i niósł do domu z wolna, pojękując:



— Cóż ci też to, chudziąteczko — cóż ci to? Oj, wiedział stary, oj, wiedział... Dogodziły ci, widać — trafiły cię, oj, celnie — da postrzeliły celnie!...

*Paryż, 1912.*

---

Przeczytaj także:

*Wierna rzeka - Streszczenie szczegółowe*

*Wierna rzeka - Streszczenie krótkie*

*Wierna rzeka - Plan wydarzeń*

*Wierna rzeka - Charakterystyka bohaterów*

*Wierna rzeka - Geneza utworu i gatunek*

*Wierna rzeka - Problematyka*

*Wierna rzeka - Biografia autora*

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Wierna rzeka: klechda domowa*, wyd. J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1937